



POWIEŚĆ

GRAFFITI MOON

CATH CROWLEY



CATH CROWLEY



Tłumaczenie
Zuzanna Byczek



Tytuł oryginału: Graffiti Moon

Redakcja, skład i łamanie: Ekart

Korekta: Elżbieta Śmigielska

Copyright © 2010, 2012 by Cath Crowley

Cover design:

© 2010 Arnoldo Mondadori Editore S.p.A., Milano

© 2015 Mondadori Libri S.p.A., Milano

Cover art © Carl Nyman / SIXTEN

Polish language translation copyright © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp.
z o.o.

ISBN 978-83-7686-662-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

Podziękowania

DLA TERESY I CAŁEJ RESZTY.
I ESTHER, KTÓRA PIERWSZA
PRZECZYTAŁA TĘ KSIĄŻKĘ.

LUCY



Pedałuję z całych sił, w dół Rose Drive, gdzie domy pływają w kałużach pomarańczowego światła latarń. Gdzie ludzie siedzą na werandach w nadziei na chłodny powiew. Tak bardzo chcę zdążyć. Błagam.

Właśnie przyszedłem do pracowni. Są tu twoi goście od graffiti, Shadow i Poeta, napisał Al, a ja wyruszyłam w drogę pośród nocy, pod niebem, pod krwawiącym niebem, które powoli czerniało. Tata, siedzący przed swoim składzikiem, zawołał za mną:

– Tak wcześnie umówiłaś się z Jazz? Gdzie się pali, Lucy Dervish?

We mnie. Pod skórą.

Żeby tylko zdążyła. Żeby wreszcie spotkała Shadowa. Poetę też, ale przede wszystkim jego. Faceta, który maluje w ciemnościach. Maluje ptaki uwięzione na ceglanych murach i ludzi zagubionych w widmowych lasach. Maluje chłopaków, którym z serca wyrasta trawa i dziewczyny z kosiarkami. Artysta malujący takie rzeczy to ktoś, w kim mogłabym się zakochać. Tak naprawdę.

Tak niewiele dzieli mnie od spotkania z nim i tak bardzo tego pragnę. Mama powiada, że chwila, kiedy pragnienie zderza się z realizacją, to chwila prawdy. Chcę tego. Chcę wpaść prosto na niego, niech siła zderzenia sprawi, że nasze myśli wysypią się na ziemię, a my pozbieramy je dla siebie nawzajem, a potem je sobie

zwrócimy, niczym kopczyki lśniących kamieni.

W miejscu, gdzie Singer Street osiąga najwyższy punkt, ukazuje się miasto, wznosi się neonowo błękitne. Gdzieś w głębi nieba czai się burza, próbuje przebić się na powierzchnię przez falę gorąca. Z daleka dobiega śmiech. Na rozsypującym się murze widnieje jedno z dzieł Shadowa, serce, które pękło w wyniku trzęsienia ziemi. Pod spodem widnieje napis *Powyżej skali Richtera*. Serce nie wygląda jak z walentynkowej kartki, tylko całkiem realistycznie, ma żyły, arterie, komory i przedsionki. Las rozmiaru pięści w środku klatki piersiowej.

Odrywam dłonie od hamulców, puszczam. Drzewa i ogrodzenia zlewają się ze sobą, beton mógłby być niebem, fabryki rozciągają się przede mną jak upstrzony światłem sen.

Skrećam i pędzę dalej ulicą, przy której znajduje się pracownia Ala. Siedzi na stopniach, nad jego głową krążą maleńkie ćmy, bawią się w blasku. Pędzę w stronę cienia. Shadow. Cień. Zaraz nastąpi zderzenie.

Ostatni odcinek pokonuję w szaleńczym tempie, zatrzymuję się gwałtownie.

– Jestem. Udało się. Jak wyglądam?

Al dopija kawę i stawia kubek na stopniu.

– Jak dziewczyna, która spóźniła się jakieś pięć minut.

ED



Noc jest bardzo gorąca, zwłaszcza jak na październik. Na ulicach jest więcej ludzi niż zwykle, więc szybko maluję niebo. Oczy dookoła głowy. Wypatruję glin. Wypatruję intruzów. Maluję żagle i wszystkie inne rzeczy, które krzyczą, że chcą z puszki na ścianę. Popatrz, popatrz. Wydobądź mnie, wypuść na wolność.

Mój pierwszy graf przedstawiał dziewczynę. Drugi – drzwi w ceglanej ścianie. Potem malowałem ogromne drzwi. Potem nieba. Otwarte nieba namalowane nad namalowanymi drzwiami i namalowane ptaki przemykające po ceglach, próbujące odfrunąć. Ptaszku, ciekawe, co sobie myślisz. Pochodzisz z puszki farby.

Dzisiaj maluję ptaka, który przez cały dzień tkwił mi w głowie. Mały żółty koleś, leży sobie na pięknej zielonej trawce. Brzuchem do góry, łapki sterczą w powietrzu. Może śpi. Może jest martwy. Odcień żółci jest odpowiedni. Zieleni też. Niebo do kitu. Potrzebny mi błękit, który wrywa flaki. Tutaj takiego się nie spotka.

Bert wytrwale go dla mnie szukał. Tak z raz na tydzień pokazywał mi kolejny odcień, przysłany na specjalne zamówienie.

– Blisko, szefie – mówiłem za każdym razem. – Ale nie do końca.

Zmarł dwa miesiące temu, nie zdążył go znaleźć. Dostarczył mi wszystkie pozostałe kolory, których potrzebowałem. Zieleń, na której leży żółty ptak znalazł ponad dwa lata temu, kiedy przerwałem szkołę i zacząłem u niego pracować. W dziesiątej klasie jakoś dotrwałem do końca czerwca, dłużej jednak nie dałem rady.

– Dobry początek – powiedział Bert pierwszego dnia, wręczając mi zieleni. – Naprawdę niezły.

– Ten kolor jest zajebiście piękny – stwierdziłem, wyciskając trochę farby na kartkę. Uznałem to za dowód, że podjąłem słuszną decyzję, rezygnując ze szkoły. A mama myliła się, próbując mnie namówić, żebym został.

– Zajebiście piękny – powtórzył Bert, oglądając się przez ramię. – Ale nie używaj takich słów przy Valerie. – Bert zawsze przeklinał jak dzieciak, który boi się, że go przyłapią. Naśmiewałem się z tego aż do dnia, gdy to mnie Val przyłapała na przekleństwach. Tego dnia śmiał się Bert.

– Co cię tak bawi? – odzywa się głos za moimi plecami.

– Kurde, Leo. – Trochę niebieskiego niechący włązi na trawę. – Nie skradaj się tak.

– Wołam cię z daleka. Poza tym rada miejska pozwoliła tu malować, zapomniałeś? – rzuca, kończąc bułkę z nadzieniem kielbasianym. – Lubię tego kopa, kiedy pracujemy w miejscach, gdzie mogą nas złapać.

– A ja lubię kopa, który daje mi samo malowanie – odpowiadam.

Przygląda mi się przez chwilę.

– Dzwoniłem wcześniej do ciebie. Nie było połączenia.

– Aha. Nie zapłaciłem abonamentu. – Podaję mu puszkę z farbą. – Jestem głodny. Pisz.

Leo patrzy na rozległe błękitne niebo wiszące nad żółtym ptakiem. Wskazuje na sylwetkę dzieciaka.

– Dobrze.

Podczas gdy on się zastanawia, ja rozglądam się dokoła. Po drugiej stronie ulicy, na schodach przed pracownią szklarską siedzi ten starszy gość, który tam pracuje. Patrzy na nas i pisze esemes. Przynajmniej wiadomo, że nie dzwoni po gliny.

Leo zawsze dopasowuje swoje słowa do obrazu. Czasem używa fontów wyszukanych w sieci. Czasem sam wymyśla fonty, nadaje im nazwy. Dzisiaj wypisuje na chmurach słowo *Pokój* literami, które przypominają dym, wiją się i dryfują w powietrzu. Zabawne, że dwie osoby patrzą na ten sam obraz i dostrzegają w nim coś zupełnie innego. Ja nie widzę pokoju, patrząc na tego ptaka. Widzę swoją przyszłość. Mam nadzieję, że on jednak tylko śpi.

Leo przesuwając dłonią wzdłuż muru, składa podpis. Zawsze w ten sam sposób. Swoją, potem moją, fontem o nazwie Phantasm.

Poeta.

Shadow.

Zostawiamy za sobą starszego pana, który pije kawę na schodach, i ruszamy w górę Vine Street. Spacer prostą drogą do mnie zajmuje piętnaście minut. Tylko że Leo i ja nigdy nie chodzimy prostymi drogami. Wybieramy boczne uliczki i wąskie alejki.

Mieszkam po drugiej stronie starej zajezdni. Przeskakujemy przez ogrodzenie i ruszamy, wypatrując pracowników. Lubię patrzeć, jak ich myśli zderzają się z wagonami. Dzięki temu to miasto należy do nas w takim samym stopniu jak do całej reszty.

– Widziałem dzisiaj Beth – mówi Leo. – Pytała, co u ciebie. – Rzuca kamieniami w martwe pociągi. – Można było odnieść wrażenie, że chce wrócić.

Zatrzymuję się, wyciągam sprej i maluję serce jak z pocztówki oraz wymierzony w nie pistolet.

– Zerwaliśmy ponad trzy miesiące temu. – Pierwszego sierpnia, nie żebym zaraz liczył.

– Miałbyś coś przeciwko, gdybym się z nią umówił?

– Miałbyś coś przeciwko, gdybym zrobił wrzutę na domu twojej babci?

Chichocze.

– No tak. Zostawiłeś przeszłość za sobą.

– Lubię ją, ale nic poza tym. Czasem pochylała się nade mną, całowała mnie, potem szeptała mi do ucha różne zabawne rzeczy i znów mnie całowała. Wrzeszczałem do siebie: co z tobą? Zakochaj się w niej, palancie.

– Nie uważała, że to dziwne?

– Wrzeszczałem w myślach. Ale jednak się w niej nie zakochałem, widocznie część mózgu odpowiedzialna za kontrolowanie miłości nie reaguje na obelgi.

– Dla twojego dobra, mam szczerą nadzieję, że żadna część twojego mózgu nie reaguje na obelgi.

– Słuszna uwaga. – Żałuję, że sobie o tym przypomniałem, bo teraz czuję Beth tuż przy swoim uchu, jej ciepły oddech i słodkie łaskotanie, słyszę jej głos, przypomina błękit, którego ciągle szukam. – Byłeś zakochany w Emmie?

– Miałem totalną obsesję na jej punkcie – odpowiada bez namysłu. – Ale nie byłem zakochany.

– Na czym polega różnica?

Już ma rzucić kamieniem w reflektor, ale się powstrzymuje.

– Za to idzie się do pierdła – mówi i wkłada kamień do kieszeni.

Emma zerwała z nim pod koniec jedenastej klasy. Ja już wtedy nie

chodząc do szkoły, więc dowiedziałem się dopiero, kiedy wszedł do sklepu, wrzeszcząc, że mam pomalować ścianę jej domu.

– Ona nie wie, że to ja jestem Poetą – powiedział wtedy. – Kiedy się dowie, to do mnie wróci.

Emma mieszka w dobrej dzielnicy, w trzykondygnacyjnym szeregowcu. Nie da się malować w takich miejscach i wyjść z tego cało. Wiedziałem, że ta noc źle się skończy, ale Leo się uparł, więc w końcu powiedziałem, że zabiorę farby i spotkamy się na miejscu o dziesiątej.

Kiedy wychodziłem, Bert dostrzegł mój plecak pełen puszek. Praktycznie od początku, odkąd u niego pracowałem, wiedział, że Shadow to ja. Miał taką zasadę, że wolno mi malować tylko w miejscach, które nie są czyjąś własnością. Przestrzegalem jej, przeważnie.

– Bądź ostrożny – powiedział.

– Do odważnych świat należy, zawsze to powtarzasz.

Wbił we mnie surowe spojrzenie.

– Nie myl odwagi z głupotą.

Miał rację, ale i tak spełniłem życzenie Leo i namalowałem chłopaka ze słowem *Miłość* wyciętym w piersi i stojącą obok dziewczynę z nożyczkami. Emma wyszła przed dom, zobaczyła nas, a Leo rzucił się na kolana, chłopak z miłością wyciętą w piersi błagał, by pozwoliła mu wrócić.

Emma wyjęła telefon i zadzwoniła po gliny. Leo nie chciał odejść, a ja nie zamierzałem go zostawić, więc dziesięć minut później siedzieliśmy w wozie policyjnym, w drodze na komisariat, gdzie pobrano nam odciski palców.

– Całe szczęście, że się nie podpisaliśmy, nie? – rzucił Leo. – Byłaby kicha, gdyby Emma powiedziała glinom, że Poeta i Shadow to my.

– Aha – odparłem, podczas gdy siedzący naprzeciwko nas facet darł się, że zaraz, kurwa, wszystkich pozabija. – Dobrze, że dzisiaj wszystko przemyślałeś, bo inaczej wpadlibyśmy w prawdziwe tarapaty.

Złożyliśmy zeznanie, Leo opowiedział wszystko ze szczegółami: że Emma go rzuciła, a on chce ją odzyskać. Widać uznali, że Emma jest osobą bez serca, bo zadzwonili do mojej mamy i babci Leo i puścili nas wolno, tylko udzielając upomnienia, pod warunkiem, że posprzątamy bałagan, którego narobiliśmy. Babcia zaciągnęła Leo do samochodu, wrzeszcząc jak jeszcze nigdy w życiu. Od tamtej pory Leo musi co sobota kosić trawniki wszystkim jej znajomym.

Kiedy wyprowadzili mnie z celi, mama nic nie powiedziała. Wciąż miała na sobie uniform z supermarketu, z plakietką głoszącą, że ma na imię Maddie i życzy wszystkim miłego dnia. Zawsze nienawidziłem tej plakietki, mama wyglądała z nią na okropnie zmęczoną.

– Bardzo jesteś zła? – spytałem, kiedy wsiedliśmy do samochodu.

Włączyła silnik, z głośnika ryknęło Smashing Pumpkins.

– Oto odpowiedź.

Po chwili ściszyła.

– Tym się teraz zajmujecie, teraz, kiedy podjęłam naukę i pracuję na nocki?

Powiedziałbym prawdę, gdyby patrzyła prosto na mnie, a nie na drogę.

– To się zdarzyło tylko ten jeden raz. Emma rzuciła Leo, chciał ją odzyskać.

– I w związku z tym musiał zdemolować jej dom. Kocham go jak syna, ale kiedyś musi dorosnąć. Ciebie też to dotyczy.

– Jestem dorosły. Mam szesnaście lat, pracuję.

– Ja w wieku szesnastu lat też pracowałam i w dodatku miałam dziecko.

I wcale nie byłam dorosła.

Zaparkowała przed naszym blokiem, wciśniętym w sam koniec Pitt Street. Gapiliśmy się na cztery kondygnacje pomarańczowej cegły i balkony, na których rozrosły się ogrody ze sznurków do suszenia prania.

– Może powinnam zrezygnować ze szkoły i wrócić na dzienne zmiany do czasu, aż skończysz osiemnaście lat.

Przez rok namawiałem ją, żeby wysłała papiery do szkoły pielęgniarskiej. Dostała się, a ja zacząłem płacić połowę czynszu, żeby mogła zredukować swoje zmiany i pracować na nocki.

– Jeśli zrezygnujesz, utkniesz tu na zawsze – odparłem.

– A ty gdzie wtedy będziesz, Ed?

Nie odpowiedziałem.

– Tego właśnie się boję.

Nie przerwała nauki, ale wiedziałem, że to zrobi, jeśli znów mnie złapią, więc przez tydzień nie pomalowałem ani jednej ściany. Ale o niczym innym nie potrafiłem myśleć i w piątek znów zacząłem. Pracowałem wewnątrz starej przyczepy kempingowej niedaleko skateparku, żeby nikt mnie nie widział.

Kiedy razem z Leo pociliśmy się, zmywając farbę z domu Emmy, powtórzyłem słowa mojej mamy o tym, że powinniśmy dorosnąć. W tym momencie minęła nas Emma z grupą znajomych.

– Nie chciałbym urazić twojej mamy, ale jebać dojrzałość – powiedział Leo, odprowadzając ją wzrokiem.

Przeskakujemy przez ogrodzenie otaczające zajezdnię i przecinamy ostatnią uliczkę prowadzącą do Pitt Street. W naszym bloku okna stoją otwarte na oścież, płyną z nich skwar, dźwięki muzyki i telewizorów. Mieszkam tu z mamą, odkąd skończyłem osiem lat. Chciała, żebym miał własny pokój, na nic lepszego nie było nas stać.

Wcześniej mieliśmy jedną sypialnię. Po śmierci dziadka babcia przeniosła się do domu opieki, więc musieliśmy radzić sobie sami. W mieszkaniu były tapety w kwiaty i pomarańczowy dywan, ale mama powiodła wzrokiem dokoła i stwierdziła:

– Brzydkie, ale przynajmniej większe od pozostałych. A na brzydotę jakoś da się zaradzić.

Nie mieliśmy pieniędzy na regały, więc mama zrobiła je z dwóch starych drabin znalezionych na ulicy. Ustawiła je pod przeciwległymi ścianami w większym pokoju i zapełniła swoją kolekcją kul śnieżnych, winylami i zbiorem opakowań po cukierkach Pez, które zostawiła mi babcia. Dostałem sypialnię na wyłączność, a mama wydzieliła sobie miejsce do spania, przeciągając sznurek między drabinami i wieszając na nim jedwabną zasłonkę. Wokół okna kuchennego zaplątała sznurek lampek choinkowych. Na suficie w moim pokoju wspólnymi siłami nakleiliśmy gwiazdki. Kiedy wyłączyło się górne światło, nie widać było plam na ścianach i dywanie.

Pierwszy wiersz Leo opowiadał o nocy w naszym mieszkaniu. Byliśmy wtedy w czwartej klasie, nauczycielka nie powiesiła wiersza na ścianie, ponieważ Leo nie zgodził się na wprowadzenie żadnych zmian. Mama oprawiła wiersz i powiesiła go w większym pokoju, niczego nie zmieniając.

W środku świecą gwiazdy. Jest zajebiście pięknie.

Mieszkanie na Pitt Street, kiedy się wprowadziliśmy, było równie paskudne jak poprzednie, ale mama sprawiła, że zaczęło wyglądać całkiem okej. Teraz stać ją było na prawdziwe regały i już nie musieliśmy przeciągać zasłonki przez środek pokoju. Kupiła lampę na wysokiej nóżce, z czerwonym abażurem, bo mi się spodobał. W moim pokoju stało zapasowe łóżko dla Leo.

– No i jak? – zapytała w dniu, kiedy się wprowadziliśmy.

– Jak w domu – odparłem. Wtedy to miejsce jeszcze nie wydawało mi się takie małe i szare.

Włączam światło, Leo szuka żarcia w lodówce. Pusto. Pstrykam włącznikiem klimatyzacji. Nic się nie dzieje. Walę w niego z całych sił. Potem Leo robi to samo, o mało nie wyrywając włącznika ze ściany, ale wciąż zero reakcji.

– W październiku nie powinno być tak gorąco – stwierdzam, stając przed otwartą lodówką.

– Nie zaczynaj. Babcia od rana narzeka na pogodę w Melbourne. Powiedziałem: mieszkasz w Australii, trzeba się z tym pogodzić.

– A co ona na to?

– Kazała mi posprzątać w szopie.

– Tak myślałem. – Leo to jeden z najtwardszych gości w okolicy, ale jego babcia jest jeszcze większą twardzielką.

– Twoja mama pracuje? – pyta Leo.

– Ma dzisiaj wolne. Poszła na jakiś dziwny wieczorek do kasyna. Przepowiadanie przyszłości i różne takie hokus-pokus. Impreza trwa całą noc, bo „magia” wydarza się tuż przed świtem.

Leo chichocze.

– Nie tego rodzaju magia.

Zamykam lodówkę. Leo rozpiera się na ławie, nogami sięga niemal do przeciwległej ściany. To mieszkanie wydaje się teraz jeszcze mniejsze niż w dniu, kiedy się wprowadziliśmy, ale to nie jego rozmiar mnie przeraża – tylko szarość, która wżarła się w ściany przez te lata. Plamy na dywanie, pozostałości innego życia, które toczyło się tutaj przed nami. Kiedy przepracowałem w sklepie miesiąc, Bert zaproponował, że da mi porządną zniżkę na farby. Gdybym powiedział mamie, na pewno by skorzystała, lecz wiedziałem, że to strata czasu. Niektóre miejsca trzeba spalić i zbudować od nowa, żeby zaczęły jakoś wyglądać.

– A więc, dzisiaj skończyłem dwunastą klasę – stwierdza Leo. – Może gdzieś skoczmy, zjemy coś w Feast, zagadamy do jakichś dziewczyn?

– Zostało mi dokładnie piętnaście dolarów.

Patrzy ponad moim ramieniem na kalendarz i kółko wokół dnia, w którym trzeba zapłacić czynsz.

– Nie udało ci się znaleźć nowej pracy?

– No nie bardzo. Nikt nawet nie raczy oddzwonić.

– Rano pomagam Jake’owi, może jesteś zainteresowany. Możemy dostać po pięćset dolarów, zaczynamy o trzeciej i pracujemy dwie godziny. Trzeba tylko przyprowadzić vana, załadować i odprowadzić na miejsce.

– Jesteś debilem?

– Tak wynika z mojego świadectwa szkolnego.

– Nie żartuj. Twojego brata zatrzymują za każdym razem. – Od czasu gdy w wieku piętnastu lat namówił gościa pracującego u dealera samochodów, żeby pozwolił mu zabrać jaguara na jazdę próbną. Jest jeszcze wyższy od Leo, więc facet uwierzył, że prawo jazdy jest prawdziwe. Poza tym Jake potrafi każdego przekonać.

I zamiast pojechać jaguarem gdzieś, gdzie nikt go nie zna, on zrobił sobie wycieczkę po najbliższej okolicy, z muzyką na ful. Babcia wyciągnęła go z bryki za ucho, na oczach wszystkich sąsiadów.

Leo sięga nad głowę i jeszcze raz wali we włącznik klimatyzacji.

– Wiszę komuś kasę.

Ma zmartwioną minę i ja też zaczynam się martwić, bo Leo nie boi się nawet spotkania z grupą kiboli w ciemnej uliczce. Zostaje tylko jedna możliwość.

– Powiedz, że nie Malcolmowi Dove.

Leo spogląda za okno.

– O kurwa, Leo. Gościu jest walnięty.

– Zdefiniuj „walnięty”.

– To ktoś, kto potrafi zeżreć karalucha w ramach koleżeńskiego wyzwania.

Leo wzrusza ramionami.

– No to jest walnięty. Więc tym bardziej powinienem mu oddać kasę.

Sięgam do szafki i wyciągam garść chipsów. Sytuacja jest poważna. Malcolm jest mniej więcej w wieku Jake'a, lecz nie są kumplami. Malcolm nie ma kumpli. Ma bandę zbirów, którzy wszędzie za nim łążą i wykonują jego polecenia.

– Po co ci pięćset dolarów? – pytam. – Co sobota kosisz trawniki.

– No, ale starsze panie płacą głównie jedzeniem. Poza tym babcia potrzebuje różnych rzeczy. – Stuka w blat. – Malcolm dzisiaj mnie dopadnie. Wiszę z zapłata już dwa miesiące.

Ze względu na Leo staram się nie pokazywać po sobie niepokoju.

– Posłuchaj. Muszę przytrzymać go do trzeciej, potem będę miał kasę.

– Nie możesz poprosić Jake'a, żeby zapłacił ci z góry?

– Nie chcę, żeby wiedział.

– Malcolm był u ciebie w domu?

– Nie. Ale przypuszczam, że odwiedzi babcię, jeśli nie dostanie dzisiaj pieniędzy. Dylan powiedział, że mi pomoże. Jedna robota i zaczynamy na czysto. To byłoby nasze pierwsze wykroczenie, gliny nawet nie zdążą pomyśleć, żeby wsadzić nas do więzienia.

– Czeka nas świetlana przyszłość. – Widzę oczyma wyobraźni, jak mama dodaje po nocy te swoje smętne cyferki, rozmawia z jasnowidzami i liczy na szczęśliwe zakończenie.

– Mój syn potrzebuje pracy – powiedział nowy właściciel sklepu z farbami, wywalając mnie z roboty sześć tygodni temu. – Nic osobistego.

Zabawne. Właściciel naszego mieszkania traktuje sprawę bardzo osobiście.

Do Leo dzwoni Dylan. Kiedy rozmawiają, ja przeglądam szkicownik Berta. Valerie dała mi go na pogrzebie.

– Należy do ciebie, jesteś jego żoną – odparłem. Tak długo trzymała szkicownik w dzielącej nas przestrzeni, że w końcu go wziąłem.

Bert zawsze coś w nim rysował podczas przerw na lunch. Obrazki niemal nieróżniące się od siebie, na każdej stronie po jednym. Jego stare dłonie poruszały się, podczas gdy gadaliśmy, a pod koniec przerwy miał gotową kolejną serię. Kiedy przewracało się strony, rysunki poruszały się niczym film animowany.

Patrzę na ten, w którym jestem bohaterem. Przyglądam się sobie, jak jem kanapkę i rozmawiam z Bertem, a nad moją głową przetaczają się chmury, tam i z powrotem.

W końcu Leo kończy rozmawiać i coś notuje. Nie zdołałem nauczyć się pisać tak jak on. W piątej klasie, w niedzielę, po meczach w nogę, brał mnie za rękę i poruszał nią po kartce, aż wpadałem w taką wściekłość, że łamałem ołówki. Leo tylko się śmiał i podawał mi nowy.

– Powinienem mieć ładniejsze pismo niż ty – powtarzałem. – Nawet nie potrafisz rysować. – Wzruszał ramionami. Cóż poradzić.

– Powiedziałem Dylanowi, że spotkamy się pod szkołą, w drodze do Feast.

Zjemy coś i zaczekamy razem – mówi Leo. – Co ty na to?

A ja chciałbym wrócić do czasów, kiedy miałem na czynsz i nie musiałem kraść. Chciałbym wrócić do czasów, kiedy Bert żył i powtarzał, że mam myśleć samodzielnie. Albo chciałbym przewinąć czas do przodu, kiedy mama już będzie pielęgniarką i zacznie zarabiać pełną stawkę.

– Wchodzę w to – mówię i zamykam szkicownik. Znika rysunek, na którym siedzę z Bertem, jedząc lunch pod przesuwającymi się chmurami.

Szkoła znajduje się zaledwie kilka przecznic od mojego domu, w przeciwnym kierunku do zajezdni. Nie cierpię tego, że jest tak blisko, nie da się uniknąć widoku gówniarzy w mundurkach.

Narysowałem to któregoś dnia, siedząc w towarzystwie Berta. Budynki otoczone drutem, na górze mały człowieczek unieruchomiony przez kolce. Bert spojrzał mi przez ramię.

– On próbuje się wydostać czy dostać do środka? – spytał. Nie byłem pewien.

Dylan już na nas czeka, siedzi oparty o ścianę, na której wielkie czerwone litery głoszą *Dylan kocha Daisy*. Leo przygląda się napisowi przez chwilę.

– Jedziemy na włam, a ty wypisujesz swoje imię na ścianie? Pamiętałeś, żeby nie zamykać okna w skrzydle, gdzie odbywają się zajęcia plastyczne?

– No jasne.

– Mamy obrobić skrzydło do plastyki? Okropność – mówię.

– Tam trzymają komputery. A zresztą, co się przejmujesz? Przecież cię wywalili – odpowiada Dylan.

– Zamknij się – mówi Leo. – Ed odszedł, bo sam tak postanowił.

Potem zaczynają się kłócić, czy graffiti jest dopuszczalnym materiałem dowodowym w sądzie. Dylan mówi, że nie znajdą powiązania, nawet nie zostały mu ślady farby na rękach.

– Miałem gumowe rękawiczki. – Pokazuje parę różowych rękawic leżących obok niego na ławce. – Ta farba jest toksyczna.

– Może jednak postaramy się w żaden sposób nie upamiętniać swych imion dzisiejszej nocy – proponuje Leo. Przyglądam mu się, widzę, że się poci, i w mojej głowie rodzi się nowy pomysł – facet stojący plecami do ściany, otoczony symbolami dolara, które przypuszczają na niego zmasowany atak. Gliny nie będą pytać, po co nam potrzebna kasa, jemu, Dylanowi i mnie. Jedyne, co ich będzie obchodzić, to rzeczy w vanie, które nie są naszą własnością.

Podczas kiedy ci dwaj się wydzierają, ja zamalowuję sprejem ścianę, żeby nie został po mnie żaden ślad. Nagle w oddali rozlega się syrena.

– Mam złe przecucia – mówię, ale mój głos ginie wśród gwaru miasta.

POETA



ZADANIE PIERWSZE

POEZJA 101

UCZEŃ: LEOPOLD GREEN

Tam gdzie wcześniej mieszkałem

Kiedyś mieszkałem z rodzicami
dom śmierdział dymem z papierosów
i smakował jak piwo wystarczyło czegoś dotknąć
Stół w kuchni był jak gorzki ocean
który spływał z moich palców
Od pola bitwy dzieliło mnie troje drzwi
w nocy zamykałem je wszystkie
kładłem się do łóżka i blokowałem dźwięki
Wyobrażając sobie
że szybuję
całe lata świetlne ciszy
zakłócanej tylko oddechem

i nic więcej
Dryfowałem w przestrzeni
spadałem pośród snów
prosto w ciemne nieba
W niektóre noce
mój brat Jake i ja wychodziliśmy przez okno
przecinaliśmy park
przez chwilę huściliśmy się na drabinkach
po drodze do domu Babci
Czekała
w szlafroku i kapciach
wypatrując nas w ciemności
Czytała nam
wiersze i baśnie
w których miecze zwalczały smoki
a Jake nigdy nie mówił że to straszne gównno
wbrew temu czego się spodziewałem
Którejś nocy
babcia przerwała czytanie tuż przed szczęśliwym zakończeniem
zapytała „Chłopcy. Mam wolny pokój.
Czy chcecie w nim zamieszkać?”
Jej głos brzmiał jak kosmos i ciemne nieba
lecz tej nocy wszystkie moje sny
dostały podłogę.

LUCY



Podchodzę do muru. Żółty ptak leży na grzbiecie, z łapkami w górze, pod błękitnym niebem, na chmurach widnieje wypisane zaokrąglonymi literami słowo *Pokój*.

– Chyba za późno, pokój nie dostanie swojej szansy – mówi Al. – Wygląda na to, że nie żyje.

– Nie. Tylko śpi.

Przeważnie, patrząc na prace Poety i Shadowa, widzę coś zupełnie innego niż to, co mówią słowa. Lubię w sztuce to, że kiedy się na nią patrzy, widzi się raczej siebie niż to, co widnieje na murze czy płótnie. Patrząc na to graffiti i myślę sobie, że każdy z nas chowa w środku jakiś sekret, śpiący jak ten żółty ptak.

Patrząc i czując w środku taki wizz, gwałtowny przyływ energii. Nie ma nic wspólnego z seksem, wbrew temu, co mówi Jazz, moja najlepsza przyjaciółka. Jasne, bądźmy uczciwi, może ma coś wspólnego, ale przede wszystkim chodzi o świadomość, że istnieje taki facet, który różni się od wszystkich pozostałych facetów na świecie.

– Potrzebuję więcej szczegółów – mówię, nie odrywając oczu od muru.

– Tak jak ci mówiłem. Shadow maluje. Poeta pisze.

– Przyjrzałeś im się lepiej tym razem?

– Tak samo jak poprzednim. Są młodzi i niechlujni – odpowiada Al. – Mniej więcej w twoim wieku.

– Atrakcyjni?

– Jestem sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Nie mam pojęcia.

– W którą stronę poszli?

– Moja ulica kończy się ślepo, Lucy. Poszli w jedynym możliwym kierunku. Siadam obok niego i skupiam się z całych sił.

– Co robisz? – pyta.

– Próbuję nagiąć prawa rządzące upływem czasu, żeby zjawić się tutaj pięć minut wcześniej.

Al kiwa głową. Obserwujemy brudny jedwab wstęgi fabrycznego dymu.

– Udało się? – pyta po chwili.

– Nie.

– Spotkasz go. To tylko kwestia czasu. Od kiedy to miejsce jest legalne, Shadow często tu pracuje. – Al patrzy na zegarek. – A więc dzisiaj skończyłaś dwunastą klasę. Wybieracie się z Jazz na miasto?

– Mamy się spotkać w Feast Café około dziewiątej trzydzieści.

– Późny start.

– Jazz chce się bawić do rana. Całonocna przygoda.

– Znajdziesz chwilę, żeby mi pomóc, zanim sobie pójdiesz?

Kiwam głową i wchodzę za Alem do środka.

Jestem uzależniona od tego miejsca. Od gorąca płynącego z pieca. Od bólu mięśni, który zawsze się pojawia, kiedy pomagam Alowi dmuchać szkło. Ścisza mi się serce, kiedy czuję ciężar nowego kształtu na końcu piszczeli. Ścisza mi się serce na myśl, że w tak brzydkim miejscu, miejscu pełnym rdzy, potu i stali, może nagle pojawić się coś lśniącego, jak miłość.

Ala poznałam dzięki pani J., mojej nauczycielce plastyki. W dziesiątej klasie zabrała nas na wycieczkę do jego pracowni. Staliśmy za drucianym ogrodzeniem i patrzyliśmy, jak dmucha szkło. Palił mnie żar buchający z pieców, ale zdawał się pochodzić z mojego wnętrza. Jeszcze nigdy nie pragnęłam niczego równie mocno.

Al zaoferował darmowy sześciotygodniowy kurs jednemu z uczniów. Pani J. wybrała mnie. Pierwszego dnia miałam zacząć o siódmej rano, ale byłam tak przejęta, że stawiałam się na miejscu pół godziny wcześniej. Al już był w warsztacie, nucił do Johnny'ego Casha i palnikiem szklarskim topił ser na toście.

– Doskonale – powiedział, wyłączając palnik. – Zdążyłaś akurat na śniadanie.

Siedliśmy na schodach i zjedliśmy tosty ze stopionym serem, który smakował najlepiej na świecie.

– Piece szklarskie podgrzewa się do ponad tysiąca stopni Celsjusza – powiedział Al. – Oparzyłaś się kiedyś czymś równie gorącym?

– Nie.

– I niech tak zostanie. Masz wypełniać moje polecenia, nosić odpowiednie strój i uczyć się wszystkiego, co ci powiem.

Kiwnęłam głową.

– Denerwujesz się i dlatego nic nie mówisz? – zapytał.

– Nic nie mówię, bo jestem podekscytowana. – Opowiedziałam mu, co czuję, obserwując, jak robi szkło. Jakby tworzył świat z kuli miodu.

– Kiedy ja po raz pierwszy zobaczyłem dmuchacza szkła, nie mogłem wydusić słowa – odparł, podnosząc się. – W środku miałem tylko światło i kolor.

Po skończonym kursie Al oznajmił, że będzie dalej mnie uczył. Odpracowałam połowę kosztów, co drugi weekend sprzątając jego zakład. Rodzice zapłacili drugą połowę. Od tamtej pory nadal sprzątam i biorę lekcje. Wczoraj dzięki Alowi skończyłam swoje portfolio.

– Skup się – mówi dzisiaj Al, za pomocą mokrej gazety obracając i formując lśniąca masę. Kiwa głową, a ja dmucham w otwór piszczeli i zatykam go kciukiem, żeby zatrzymać powietrze w środku. Naczynie wzdyma się od mojego oddechu. Kiedy Al kiwa głową, wkładam je do pieca służącego do podgrzewania, by utrzymać temperaturę.

– Ze szkłem trzeba pracować szybko – powiedział Al pierwszego dnia. – Podgrzewamy je w piecu lub za pomocą palnika, by podtrzymać wysoką temperaturę. Za niska – szkło popęka. Za wysoka – naczynie straci kształt. Ale jeśli dobrze znasz właściwości materiału, możesz zrobić praktycznie wszystko, co ci się zamarzy. – Tamtego dnia stworzył słońce.

Wyciągam naczynie z pieca i umieszczam je na ławie, wolno obracając piszczel. Al za pomocą gazety nadaje mu ostateczny kształt. Papier podgrzewa się, płonie, w powietrze lecą iskry i spopielone skrawki gazety.

Potem Al odłamuje szkło na końcu, nie rozbijając naczynia. Jego dłonie poruszają się miękko jak woda. Wkładamy naczynie do odprężarki i Al mówi:

– Chyba jesteś gotowa na awans. Pomyślałem, że mogłabyś dalej tu pracować, ucząc się w college’u, a ja płaciłbym ci normalnie gotówką, nie lekcjami. Koniec ze sprzątaniami. Tylko praca ze szkłem.

– Poważnie? Chcesz mnie na asystentkę?

– Pracowałabyś z Jakiem i Liz. Jesteś zainteresowana?

Al jest jednym z czołowych artystów szkła w naszym mieście. Kiwam głową z zapalem.

– Świetnie – mówi. – Świetnie.

Znów siadamy na schodach. Mam nadzieję, że Shadow jeszcze wróci. Kiedy o nim myślę, wypełnia mnie intensywne uczucie. Nie jestem w pełni świadoma, ale też nie śpię. Znajduję się w miękkim błękitnym korytarzu biegnącym między tymi dwoma stanami.

– Jak sprawy w domu? – pyta Al.

– W porządku. Lepiej. Tata nadal mieszka w składziku, ale coraz częściej bywa w domu, nie tylko po to, żeby skorzystać z łazienki. Wydaje mi się, że niedługo wróci na dobre.

– Wspaniale wieści.

– Aha. Od początku planował wyprowadzić się tylko na jakiś czas. I już się nie kłóca, więc wiesz. – Patrzę na śpiącego ptaka. Wyobrażam sobie, jak Shadow wyciąga ramię i rozpyla żółć na szarości. Rozpyla słoneczny blask.

Mama pracuje na część etatu jako pomoc dentystyczna, a przez resztę czasu zajmuje się pisaniem powieści. Tata jest trochę magikiem-komikiem, a trochę kierowcą taksówki. Przez parę miesięcy poprzedzających jego wyprowadzkę okropnie się kłócili, o najgłupsze rzeczy. A potem, któregoś dnia, nagle przestali. Wróciłam ze szkoły i poczułam ciszę już na ulicy. Weszłam na podwórko. Tata stał przed składzikiem, sącząc lemoniadę i gotując kielbaski i ziemniaki liofilizowane na niewielkiej kuchence turystycznej.

– Co robisz? – spytałam.

– Przeprowadzam się na jakiś czas do składziku. Aż twoja matka skończy pisać powieść, a ja swój nowy występ. – Pomachał szczypcami do grilla. – Chcesz zjeść u mnie obiad?

– U ciebie to też u mnie, tato. – Siadłam obok niego i próbowałam sobie to wszystko poukładać. Jasne, kłócili się, ale byli razem od ponad trzydziestu lat. Tata zawsze opowiadał o ich romantycznym pierwszym spotkaniu w uczelnianej stołówce. Poprosił mamę o sól, a ona jego o cukier. – Taka miłość nie może się zakończyć liofilizowanymi kartoflami – powiedziałam mamie.

– Lucy, człowiek ma szczęście, jeśli miłość kończy się czymś, co po dodaniu wody jeszcze w ogóle będzie się nadawało do spożycia – odparła.

Te słowa bynajmniej mnie nie pocieszyły.

Tamtego wieczoru, po powrocie z pracy, zjadła z nami kolację, co jeszcze bardziej zamieszało mi w głowie. Nie kłócili się. Mama pochwaliła, że ziemniaki są przepyszne.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała. – Tata i ja potrzebujemy przestrzeni do pisania. Nie mogę do końca życia odsączać śliny z ludzkich otworów gębowych, a twój tata nie może jeździć taksówką.

To potrafiłam zrozumieć. Mama i tata nie są typowi. Mama ma na ścianie zdjęcie Orsona Wellesa, a na zebrania w szkole nosi T-shirt z napisem JEŚLI NIE CHCESZ, BY KOLEJNE POKOLENIE BYŁO ROBOTAMI, WSPIERAJ PRZEDMIOTY HUMANISTYCZNE. Tata potrafi wyciągać sobie kwiaty z uszu i zonglować ogniem.

Ale w kwestiach miłości i małżeństwa zawsze byli typowi. Wyprowadzka taty trwa już sześć miesięcy. Często nas odwiedza, po prostu mieszka w składziku.

Wydają się szczęśliwi, ale moim zdaniem cała ta sytuacja jest dość dziwna.

– Kto ma prawo definiować, co jest dziwne? – pyta mama, kiedy poruszam ten temat.

– Ja – odpowiadam. – Ja mam prawo.

Mama wywraca oczami.

Podjeżdżam rowerem do muru. Kiedy dotykam nieba, trochę błękitu zostaje mi na palcach. Dopiero teraz dostrzegam, że w rogu widnieje dzieciak, patrzący na ptaka ze zdezorientowaną miną.

– Tu jest też dziecko, widziałeś? – wołam do Ala.

– Widziałem.

Macham na pożegnanie i pcham rower w górę wzniesienia. Kiedy jestem w połowie drogi, dzwoni Jazz.

– Jesteśmy z Daisy na miejscu. A ty gdzie jesteś?

– Już niedaleko. Po drodze wpadłam do Ala, bo przysłał esemes, że przyszli Shadow i Poeta.

– Widziałaś ich?

– Spóźniłam się pięć minut, ale przynajmniej mam konkretny dowód, że Shadow istnieje, i wiem, że jest w moim wieku. – Wiem też, co Jazz teraz powie.

– Luce, Shadow bez wątplenia tworzy świetne rzeczy i nie powiem, żebyś się z nim nie zadawała, kiedy go spotkasz. Ale tymczasem mogę wymienić co najmniej jednego faceta i pół gotowych się z tobą umówić.

A więc jednak nie do końca wiedziałam, co teraz powie.

– Jednego i pół? Kogoś przytrzasnęły drzwi w autobusie?

– Simon Mattskey być może jest zainteresowany, ale martwi się historią z nosem. Powiedziałam mu, że to miejska legenda.

– Rozłączam się.

– Nie zapominaj, malowidła naskalne to dowód, że istnieli jaskiniowcy. Shadow może nie być facetem, na którego czekasz.

Rozłączam się i idę przed siebie niespiesznym krokiem. Jazz uważa, że w moim życiu niewiele było do tej pory akcji w kwestii facetów. Ale trochę akcji jednak miałam i dlatego wiem, że więcej nie chcę. Historia z nosem wydarzyła się jedenastego czerwca w dziesiątej klasie. Tej daty raczej nigdy nie zapomnę.

Jazz nie chodziła wtedy do naszej szkoły, więc nie słyszała prawdziwej wersji. Kiedy się do nas przeniosła, historia zdążyła mocno się zmienić, urosnąć i niemal popaść w zapomnienie, a ja chciałam, żeby tak zostało.

Facet był jednym z tych wagarowiczów, którzy często spędzają czas, siedząc pod starymi budynkami gospodarczymi na tyłach szkoły. Widziałam go już wcześniej, ale zwróciłam na niego uwagę dopiero w dziesiątej klasie, kiedy razem trafiliśmy na zajęcia z plastyki.

Tamtego roku był to przedmiot fakultatywny, przypuszczam, że facet uznał

go za łatwą opcję. Kiedy na niego czasem zerkalam, przeważnie nawet nie rysował. Siedział odchylony na oparcie krzesła i gapił się na mnie. I za każdym razem, kiedy napotykałam jego wzrok, czułam się tak, jakbym dotknęła baterii czubkiem języka. Takie mrowienie. Po pewnym czasie mrowienie zmieniło się w prąd elektryczny, a kiedy zaproponował mi spotkanie, moje ciało znajdowało się pod takim napięciem, że właściwie powinnam paść martwa. Przypuszczałam, że niewiele mamy ze sobą wspólnego, ale dziewczyna bliska porażenia prądem nie myśli zbyt jasno.

Podobały mi się jego włosy, rosnące tak jakoś bezplanowo. Uśmiech, który pojawiał się zniemacka i podobnie znikał. I to, że był wyższy ode mnie, więc w marzeniach musiałam zadzierać głowę. I bardzo podobały mi się jego T-shirty. Kiedy się ze mną umawiał, miał na sobie taki z obrazkiem psa prowadzącego człowieka na smyczy. Poza tym zawsze otaczała go szczególna przestrzeń. Przestrzeń, do której bardzo chcesz się dostać.

Nieważne. Tamten wieczór za bardzo się nie udał, ponieważ złamałam mu nos. To był wypadek, wydarzył się, kiedy walnęłam go w twarz, ponieważ złapał mnie za tyłek.

Tata mieszkał wtedy z nami, przed wyjściem zwierzyłam mu się, o czym chciałabym rozmawiać z tym chłopakiem.

– Może o *Zabić drozda*, właśnie to przerabiamy. Albo o Rothce, pani J. niedawno pokazała nam jego obrazy.

– Brzmi romantycznie – stwierdził tata. – Mama i ja też mieliśmy romantyczną pierwszą randkę. Ona studiowała poważną literaturę, a ja aktorstwo komediowe, więc poszliśmy na film Woody’ego Allena, bo uznaliśmy, że trafia mniej więcej w środek. Filmu nie pamiętam, ale wiem na pewno, że mama pachniała jak słodka zielona herbata.

Wciąż miałam w głowie jego słowa, wchodząc do Feast, całonocnej kafejki, w której spotykają się wagarowicze. Ale nie doczekałam się żadnej superrozmowy. Zadałam kilka pytań, a on odpowiedział garścią dźwięków, po czym siedzieliśmy, wbijając wzrok w ścianę, aż zjawiło się jedzenie. Wtedy wbiliśmy wzrok w jedzenie.

W drodze do kina rzuciłam uwagę na temat *Zabić drozda*, on zaś osiągnął poziom ciszy znacznie przekraczający ten wcześniejszy, a potem złapał mnie za tyłek.

– Kurwa! – wrzasnął, kiedy walnęłam go łokciem w twarz. – Kurwa, chyba złamałaś mi nos!

– To po co łapałeś mnie za tyłek? Tak się nie robi na pierwszej randce. Atticus Finch na pewno by się tak nie zachował.

– Umówiłaś się ze mną, chociaż masz chłopaka?

– Nie!

– No to kto to jest, kurwa, Atticus Finch?
– To postać z książki, którą omawiamy w szkole.
– Próbujesz rozmawiać ze mną o literaturze? Kiedy ja się wykrwawiam na chodnik? Kurwa. Kurwa.

– Przestań rzucać we mnie mięsem. – Rzeczywiście, bez sensu, że zaczęłam gadać o książkach, skoro przeze mnie miał całą koszulę we krwi, ale wszystko toczyło się dokładnie odwrotnie, niż to sobie zaplanowałam, poza tym nie mogę znieść widoku krwi i czułam się tak okropnie rozczarowana, że okazał się zwykłym dupkiem, który złapał mnie za tyłek, że uciekłam, nie oglądając się za siebie.

Kiedy weszłam do domu, mamie wystarczyło jedno spojrzenie.

– Szybko, do zlewu w pralni. – Odgarnęła mi włosy z czoła, a ja wymiotowałam tak straszliwie, że prawie wywinęłam się na drugą stronę. Nie powiedziałam, co zrobiłam, tylko tyle, że facet okazał się inny, niż myślałam. Mama pogłaskała mnie po głowie i stwierdziła: – Czasem tak już jest. Czasem chce się przez nich rzygać.

To bynajmniej mnie nie pocieszyło.

Ale Shadow nie doprowadzi mnie do mdłości. Jestem pewna. Będzie rozmawiał ze mną o sztuce, a nie łapał mnie za tyłek. A jak twierdzi tata, na miłość i prawdziwie romantyczne uniesienia warto czekać.

Na szczycie wzniesienia znów wsiałam na rower. Światła miasta odbijają się i skaczą, a ja lecę przez mój miękki korytarz, myśląc o nim. Jest tam gdzieś, w szklistej ciemności. Rozpyła farby na murze. Pośród nocy maluje ptaki i błękitne niebo.

Przypinam rower i wchodzę do Feast. Nie przychodzę tu zbyt często, jako że jest to miejsce zbrodni, czyli mojej pierwszej randki. Przeważnie przesiadujemy z Jazz w kawiarni na Kent Street. Jazz pracuje tam w soboty, przepowiada ludziom przyszłość.

– Pierwsze doświadczenie miałam w wieku pięciu lat – oznajmiła w dniu, kiedy się poznałyśmy. – Nie wiedziałam wtedy, co znaczy „jasnowidząca”, wiedziałam jednak, gdzie mama schowała czekoladę. I w którym dokładnie momencie zwiąć, żeby mnie nie przyłapała.

Przestałam wątpić w jej zdolności, kiedy powiedziała, że dostanę alergii na sok z guawy. Do tej pory nigdy go nie próbowałam. Wypiłam cały litr w imię badań naukowych. Tata przez kilka tygodni mówił na mnie Wielka Twarz.

Jazz siedzi w boksie w głębi, ubrana na akcję, z lizakiem w ustach. Kiedy Jazz do mnie wpada, mama zawsze zostawia na wierzchu ohydne zdjęcia dentystyczne.

– To nie robi na mnie wrażenia, proszę pani – mówi Jazz. – Widzę swoją przyszłość, zęby są w porządku. – Mama tylko wywraca oczami.

Długie ciemne włosy zaplotła w cienkie warkoczyki, poprzątkane tu i tam

kwiatkami, ma na sobie różową sukienkę i zabójcze buty, które kupiła w sklepie z używkami na Delaney Street. Kosztowały piętnaście dolarów, ale Jazz udało się zbić cenę do dziesięciu.

Zanim Jazz zmieniła stan i przeniosła się do naszej szkoły, chodziła do Benton Girls' Grammar w Zachodniej Australii. Musiała nosić mundurek składający się ze spódnicy sięgającej poniżej kolan, białych skarpetek sięgających powyżej kolan, białej koszuli, krawata i rozpinanego swetra.

– Człowiek czuł się dosłownie spętany – powiedziała. – Poza tym nie wolno było używać makijażu ani biżuterii, nawet żucie gumy było zabronione.

Musiałam zobaczyć zdjęcie, żeby uwierzyć. Owszem, Jazz miała na sobie przepiśowy strój. Ale na brzegu spódnicy naszyła maleńki niebieski kwiatek.

– Walcz z mundurkiem na wszelkie możliwe sposoby, to było moje hasło – wyjaśniła.

Siedząca obok niej Daisy najwyraźniej podziela buntowniczą postawę wobec zasad dotyczących stroju. Ma na sobie czarną sukienkę bez rękawów i wsuwane płaskie buty z zielonego jedwabiu. Strój pasuje do oczu barwy zimowego oceanu, ocienionych czarnymi rzęsami, bardzo wyrazistych przez kontrast z krótką jasną fryzurą. Jej śmiech przywodzi mi na myśl jedno z dzieł Ala: ciemnofioletowe naczynie rozszerzające się do góry. Daisy należy do dziewczyn, które bardzo zwracają na siebie uwagę. I które to lubią.

Sprawdzam swoje odbicie w szybie. Wyglądam, jakbym spała w swoich spranych dżinsach i koszulce z logo zespołu Magic Dirt. Zresztą, jak tak się zastanowić, to może i spałam. Włosy zwijam z tyłu i upinam za pomocą dwóch pędzli, żeby nie wpadały do oczu. Jazz podrzuciła mi ten pomysł. Są za długie na spinki.

Wślizguję się do boksu.

– Spóźniłaś się. – Jazz wymierza we mnie lizakiem i rzuca mi surowe spojrzenie.

Kradnę jej chipsa.

– Skoro i tak mamy bawić się do rana, to po co się spieszyć?

– Ona ma przecucie – mówi Daisy. – Będziemy z facetami, którzy za chwilę wejdą przez te drzwi.

– Widziałaś lokalne egzemplarze? – pytam.

– Lucy ma rację – popiera mnie Daisy. – Większość rzeczywiście nie wygląda najlepiej.

Daisy zna ludzi. Też jest w grupie wagarowiczów, często tu przychodzi. Jazz i ja zaczęłyśmy się z nią trzymać ledwo jakiś miesiąc temu, od kiedy razem chodzimy na angielski. Zawsze ją lubiłam, tyle że kręciłyśmy się w innym towarzystwie i bywałyśmy w innych miejscach.

Zaproszenie pojawiło się spontanicznie. Właśnie chowałyśmy się we trójkę

w krzakach przed jej chłopakiem, Dylanem, i grupą jego koleżków. W ramach zakończenia dwunastej klasy rzucali we wszystkich jajkami.

– Romantyczna miłość pilnie potrzebuje reanimacji – stwierdziła Daisy z żółtkiem na twarzy. Spojrzała na mnie i Jazz, ozdobionych w podobny sposób, i dodała: – Bardzo mi przykro, że mój chłopak jest takim kretynem. Zrywam z nim. Nieodwołalnie. Jutro. Wcześniej nie mogę, bo nie będę miała z kim wyjść, żeby uczcić zakończenie roku.

– Wyjdź z nami – zaproponowała Jazz.

Kolejne jajko trafiło Daisy w twarz. Nie trzeba było jej namawiać.

– Naprawdę zrywasz z Dylanem? – pytam, kiedy spogląda w stronę toalety.
– Jesteście razem od końca dziesiątej klasy.

– Naprawdę. Nie wiem, co tak długo z nim robiłam. Można to wytłumaczyć jedynie tymczasową niepoczytalnością.

– Lucy czeka na romantyczną miłość – mówi Jazz, jakby robiła aluzję do tymczasowej niepoczytalności. – Ja stawiam na akcję. Rodzice wyjechali na konferencję prawniczą, więc mam co najmniej jedną noc, nim dwunasta klasa oficjalnie się zakończy. Piętnaście godzin, w ciągu których można nadrobić straty poniesione przez rok pilnej nauki. Nie byłam na randce od egzaminów semestralnych. Wiecie, jak to wpływa na dziewczynę? Nie zgadzam się, żeby wszystkie moje wpisy w pamiętniku brzmiały: *Odrobiłam lekcje, potem znowu odrobiłam lekcje, pooglądałam telewizję, wyczyściłam zęby, ucałowałam rodziców na dobranoc, w tajemnicy jeszcze trochę pooglądałam telewizję. Jutro napiszę: Balowałam do rana. Całowałam się z kimś. Koniec dwunastej klasy.*

Jazz zamierza zostać aktorką. Wysłała papiery do College of Arts. Ma przygotować dwa monologi i odbyć rozmowę kwalifikacyjną. Martwi się o monologi, ale ja jestem przekonana, że doskonale da sobie radę. Ma talent do dramatyzmu.

– Mój nauczyciel mówi, że muszę zawrzeć w tym monologu autentyczne emocje. Tak więc, jeśli nikogo nie pocałuję w ciągu kolejnych dwunastu godzin, będę żałować do końca życia.

– No to pocałuj – mówię. – Kogoś, nie kogokolwiek.

– Dobra. Pocałuję kogoś ładnego. Na przykład. – I tu pokazuje w stronę wejścia.

– Mowy nie ma – mówimy z Daisy chórem.

– Idealnie. – Jazz sprawdza swoje odbicie w szybie. – Leo Green chodzi ze mną na angielski. Podoba mi się, jak pisze. Tego drugiego nie znam.

Daisy się śmieje.

– To Ed Skye. Lucy, pamiętasz go?

– Ledwo.

– Seksowny – wyrokuje Jazz. – Idealny dla ciebie.

Śmiech Daisy gwałtownie się urywa.

– Co znaczy, że mnie zostaje Dylan. Nie chcę go.

– Znajdziemy ci kogoś po drodze – pociesza ją Jazz. – Gotowe?

– Nie – odpowiadamy, znowu chórem.

– Świetnie. Podejźmy i zobaczymy, co będzie.

– Wolałabym nie sprawdzać – odpowiadam.

– Nie ma takiej opcji. – Jazz wręcza nam po gumie do żucia. W gruncie rzeczy wiedziałam, że nie ma takiej opcji.

Niektóre rzeczy ciągną się przez całą wieczność. Na przykład czekanie na autobus w deszczu. Depilacja woskiem po zimie. Stanie w kolejce po bilet na koncert. Czekanie na poranną kawę. Ale pokonanie odległości dzielącej nas od grupki facetów nie należy do tej kategorii.

Mrugam i wbijam wzrok w most za oknem. Mrugające na nim światła wysyłają drobne ostrzegawcze sygnały: wymiń ich stolik, uciekaj, biegnij prosto do Ala i zaczekaj na schodach, aż wróci Shadow.

– Cześć – mówi Jazz, zatrzymując się przy stoliku.

Leo patrzy na nią i szeroko się uśmiecha.

– Cześć.

– Cześć – rzuca Dylan.

– Zamknij się – odpowiada mu Daisy, a potem nas przedstawia. – Ed, to jest Jazz Parker. Ostrzegam, jest jasnowidząca, więc uważaj, co myślisz. Lucy znasz. Leo, znasz Jazz i Lucy. Jazz i Lucy, znacie Dylana. To ten kretyn, który rzucał w nas dzisiaj jajkami.

Ed patrzy na mnie, jakby chciał, żebym zniknęła, i gdybym tylko miała taką możliwość, chętnie spełniłabym to życzenie, rozwiłabym się w chmurze dymu i wyparowała. Chcę usiąść po drugiej stronie stołu, żeby nie pomyślał, że jestem zainteresowana, lecz po drugiej stronie nie ma miejsca, więc siadam najdalej od niego, jak tylko się da, i próbuję wywołać w sobie wrażenie eksterioryzacji. Nawet gdybyśmy wszyscy bardzo się starali, ta sytuacja nie mogłaby się stać bardziej żenująca, niż jest.

– Może się przewietrzmy? – pyta Leo Jazz. Wychodzą. Daisy idzie za nimi, a Dylan za nią. Cóż, jednak okazuje się, że sytuacja może stać się jeszcze bardziej żenująca.

Nie myśl o Edzie. Tylko o Shadow. Myśl o tym, jak go spotkasz. O tym, co powiesz, stając z nim twarzą w twarz. Myśl o tym, jak go zaprowadzisz do warsztatu Ala i pokażesz mu błyszczące różowe szkliwa, które lśnią w świetle. Myśl o tym, jak noc powoli przechodzi w dzień, a Shadow nie znika, a ty nie znikasz razem z nim.

Zerkam na Eda. Patrzy za okno, pokazuje Leo kciuki w dół. Czekam, aż przeniesie wzrok na mnie, i pokazuję mu dwa palce. Odwzajemnia się tym samym.

Wtedy pokazuję mu środkowy. Oddaje. Nie znam więcej obraźliwych znaków, więc wymyślam. Trzy palce. A masz. Pokazuje mi cztery. Pokazuję mu pięć. Przeskakuje od razu do dziesięciu i robi kciukiem coś takiego, że zbija mnie z tropu. Klepię się po udach. Ed robi to samo.

– Świetnie. – Jazz wślizguje się z powrotem do boksu. – Rozmawiacie.

– Nie mogę uwierzyć, że wciąż jesteś na mnie wściekła – mówi Ed.

– Złapałeś mnie za tyłek.

– Złamałaś mi nos.

– Złamałaś mu nos? – pyta Jazz. – Złapałeś ją za tyłek?

– To było dwa lata temu...

– Dwa lata, cztery miesiące i osiem dni – poprawiam.

– ...i miałem piętnaście lat, pośliznąłem się, a ona złamała mi nos.

– Zaraz. Pośliznąłeś się na jej tyłek? – upewnia się Jazz.

– No tak. To znaczy, potknąłem się, a ona złamała mi nos.

– Ciesz się, że tylko nos – mówię.

– Ciesz się, że nie wezwałem policji.

Leo, Dylan i Daisy wracają na miejsca.

– Wiedzieliście, że Lucy złamała Edowi nos? – pyta Jazz.

Ed zamyka oczy i w milczeniu wali głową w ścianę.

– Zawiozłem go do szpitala – odpowiada Leo z szerokim uśmiechem. –

Musiał przez pięć godzin siedzieć w takiej koszuli z rozcięciem na tyłku.

– Swoim tyłku – dorzuca Dylan, kilka razy uderzając w stół.

Jeśli ktoś jeszcze raz powie „tyłek”, trzeba będzie poddać mnie terapii długoterminowej.

– Nie mogę uwierzyć, że złapał cię za tyłek – mówi Jazz. – Twój tyłek.

– Okej. Potrzebuję przerwy. Idę do łazienki. – Wychodzę z boksu i kładę dłoń na plecach Jazz. – I coś tak czuję, że ty też się tam wybierasz.

– A ja? – pyta Daisy.

– Jasne – odpowiadam. – Wycieczka do łazienki dla wszystkich. – Leo uśmiecha się szeroko i wstaje. – Ty nie.

– Ostrożnie – mówi mu Ed. – Lepiej jej nie denerwować. – Słyszę jego śmiech, ruszam do łazienki i specjalnie kręcę tyłkiem. A masz.



ED

– Specjalnie kręci tyłkiem – mówi Leo ze śmiechem. – Już ją lubię.
Śmieję się razem z nim, do chwili, kiedy zamykają się drzwi toalety, a potem przestaję.

– A ja nie. Idę do domu.

– Mowy nie ma – protestuje Leo. – Chcę spędzić ten wieczór z Jazz Lady, a ona potrzebuje kogoś dla Lucy.

– Nie jestem kimś dla Lucy.

– Jazz uważa, że tak.

– Jazz uważa, że umie przepowiadać przyszłość. Jazz ma urojenia.

– Daisy zostanie, tylko jeśli one zostaną – mówi Dylan. – Jest wściekła, bo rzucałem w nią jajkami.

Zamyślamy się nad tym przez chwilę.

– To był głupi pomysł rzucać w nią jajkami – dodaje Dylan.

– Kwiaty są lepsze. – Leo pochyla się w moją stronę. – Posłuchaj. Mamy kilka godzin do rozpoczęcia roboty, spotkaliśmy trzy fajne dziewczyny gotowe przeżyć przygodę. W czym problem?

– Nasza ostatnia wspólna przygoda skończyła się moim pobylem w szpitalu,

w tym problem.

– No to tym razem nie dotykaj jej tyłka.

– Spróbuję zapamiętać.

Pierwsze graffiti zrobiłem dla niej. Dziewczyna o skórze pociętej drogami, rzekami i pustyniami. Autostrady na szyi, przez cały kraj. Obok stał facet pochylony nad otwartą maską samochodu, spod której wydobywał się dym.

Namalowałem to tydzień po naszej nieszczęsnej randce. W środku nocy, z plastrem na nosie i wielkimi sińcami pod oczami. Nawet nie patrzyłem, czy nie zbliżają się gliny.

– Aresztujcie mnie – zamierzałem powiedzieć, w razie gdyby się zjawili. – No dalej. Aresztujcie mnie, kurwa, i już.

Nie pokazali się, a ja zostałem tam aż do chwili, gdy słońce zmało ciemność. Wschód słońca nie należał do najbardziej spektakularnych. Dym fabryczny połknął kolory, nie dając im szansy, całe niebo zasnuła brudna biel.

Zbierałem się kilka miesięcy, żeby poprosić ją o spotkanie. Czekałem na nią koło szafek, śledziłem ją w drodze do klasy i na lunch. Nawet ją zguglowałem. Znalazłem na stronie szkoły zdjęcie z tego samego roku, z wycieczki do National Gallery. Patrzyła na nim na obraz Rothki, a ja byłem małą smętną kropką w tle, która się na nią gapiała. Właśnie oglądałem Vermeera, wyszedłem zza rogu i oto była. Perły, oczy, skóra, usta.

Przyglądałem jej się na zajęciach z plastyki, jak rysowała te różne zamotane, zapętlone rzeczy. Ludzie splątani z chmurami, gwiazdami, innymi ludźmi. Używała węgla, rozcierała linie na kartce. Czasem nie potrafiłem dostrzec, gdzie kończy się jeden kształt, a zaczyna następny. Czasem punkt złączenia był eksplozją.

Widziałem w wyobraźni siebie i ją, splątanych w ten sposób. Marzyłem o plamce na jej szyi, przypominającej maleńki kraj. Chciałem go zwiedzić, a potem namalować wszystko, co tam odkryję, mur z mapą jej skóry.

Pani J. kazała nam pracować w parze nad projektem o Jeffreyu Smarcie, patrzyłem na tę plamkę przez dwa tygodnie. Któregoś dnia Lucy uniosła głowę znad książki i przyłapała mnie na tworzeniu planów podróży.

– Co jest? – zapytała.

– Nic. Tak tylko pomyślałem. Może poszlibyśmy do kina.

Siedziała tam, stukając długopisem w blat, moja krew też stukwała do rytmu, czułem się okropnie zdesperowany i ani trochę fajny, snułem nierealne plany o podróży do kraju, którego nie ma na mapie. Ale potem się zgodziła, a moja klatka piersiowa zassała się do środka i przez cały tydzień chodziłem z dziurą. Myślałem, że nie dam rady dotrzeć do piątkowego wieczoru. Sądziłam, że wcześniej coś się wydarzy, przeszkodzi mojemu szczęściu, może wybuchnie bomba atomowa i nie będziemy mieli gdzie się spotkać.

– Ostro – stwierdził Leo, kiedy zadzwoniłem, żeby po mnie przyjechał, bo zostawiła mnie samego na środku ulicy ze złamanym nosem. Nawet nie zadzwoniła, żeby sprawdzić, czy żyję. Po takiej randce facet marzy tylko, żeby naprawdę ktoś zrzucił bombę. Prosto na jego dom.

– Jak myślicie, o czym one rozmawiają? – pyta Dylan, spoglądając w stronę toalety.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że o nas – odpowiada Leo, odchylając się na oparcie. – Dziewczyny i kasa, wszystko w jedną noc. Mam dobre przeczucie. – Ogląda się za siebie po raz chyba piętnasty, odkąd tu przyszliśmy.

Nie dziwię się. Malcolm Dove to jeden z najbardziej przerażających gości, jakich znamy. Straszniejszy od niego jest tylko Crazy Dave. To on rzucił Malcolmowi wyzwanie z jedzeniem karaluchów. Musiał zjeść tylko jednego więcej, żeby pobić Malcolma, ale zeżał pięć, tak dla beki.

Leo może powtarzać, że się nie boi, ani Malcolma, ani policji, ale wiem, że jest inaczej. Śmieją się, a ja patrzę za okno i myślę o niebie w zeszycie Berta. O chmurach, które wyglądają, jakby się poruszały, ale to złudzenie. To wciąż te same chmury, które tylko przeskakują z miejsca na miejsce.



LUCY

Sprawa jest poważna, więc wchodzimy z Jazz do tej samej kabiny. Daisy

wciska się za nami.

– To coś jak pokój poufnych rozmów? – pyta, kiedy Jazz przekręca zasuwkę.

– Raczej kabina prawdy – odpowiada Jazz.

Tak zaczęła się nasza znajomość, kiedy Jazz przeniosła się do naszej szkoły w dziesiątej klasie. Właśnie miałam zamknąć drzwi kabiny, gdy ona je pchnęła, zatrzęsnęła i zakryła mi usta, sycząc: szszsz.

Słuchałyśmy, jak do łazienki wchodzi Holly Dover i Heather Davidson, wołając Jazz.

– Tu jej nie ma – stwierdziła Holly, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Sprawdźmy w bibliotece.

– Trudno się ich pozbyć – wyjaśniła Jazz, kiedy sobie poszły. – Śledziły mnie już od stołówki. Od razu, jeszcze zanim się odezwały, wiedziałam, że nie chcę się z nimi przyjaźnić. Mam zdolności parapsychiczne. – Kiedy nerwowo popatrzyłam na zasuwkę, dodała: – Nie, nie jestem psychiczna. Jazz Parker.

– Lucy Dervish. A co potrafisz?

Otworzyła drzwi i skontrolowała swoje odbicie w lustrze.

– W lewej tylnej kieszeni dżinsów masz zestaw karteczek z pytaniami na dzisiejszą debatę na angielskim.

Wyciągnęłam je.

– Dobra, jestem pod wrażeniem.

– Nie są ułożone po kolei, a kartka numer trzy została pod twoim stołem kuchennym.

– Przyjaciółka o takich zdolnościach może okazać się bardzo przydatna – stwierdziłam, przekładając karteczki.

– Przewiduję, że tak właśnie będzie.

I tak zostałyśmy przyjaciółkami. Wcześniej spotykałam się z całym mnóstwem ludzi. Lubię mieć wielu znajomych, z różnych klas i grup. Niekiedy spędzałam czas w towarzystwie ludzi, z którymi chodzę na zajęcia z literatury. W inne dni – z towarzystwem od sztuki. W jeszcze inne grałam w szachy. Czasem malowałam paznokcie na czarno.

Jazz ma podobnie, więc szybko się okazało, że jest moją najlepszą przyjaciółką. Należy do osób, które same wpraszają się do towarzystwa i nie przestrzegają zasad rządzących szkolną geografiją. Lubi scrabble, zjawiska paranormalne, teatr, Szekspira i sport. Żadna ze znanych mi osób nie przykłada się do nauki tak jak ona.

– Jestem eklektyczna – powiedziała raz do Holly i Heather. Miały takie miny, jakby szukały kontaktu, do którego się podłączyła.

Teraz patrzy na mnie, prawie nie mrugając.

– Czemu skłamałaś?

– Nie skłamałam.

– Gadałyśmy o Edzie, a ty słówkiem nie pisnęłaś, że to on jest gościem od złamanego nosa. To chyba kłamstwo, co? – Patrzy na Daisy.

– Zatajenie prawdy – poprawia ją Daisy.

– Dobra. Czemu zataiłaś prawdę?

– Jesteś jasnowidząca. Zakładałam, że wiesz.

Grozi mi palcem.

– Obracanie wszystkiego w żart nic ci nie pomoże.

– Było mi wtedy głupio. I nadal jest. Wiedziałam, że o tym wspomnisz, i wiedziałam, że jeśli pomyślisz, że Ed mi się kiedyś podobał, to będziesz naciskała, a on mi się nie podoba.

– Ale jest taki przystojny i przyjaźni się z Leo. – Ścisza głos. – Luce, kiedy rozmawialiśmy przed kawiarnią, jego ramię musnęło moje. Przeszedł mnie prąd *tam na dole*.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– No to idź z nim. Jutro mi opowiesz.

– Chcę ci opowiedzieć w trakcie.

– Leo może pomyśleć, że to dość dziwne.

– Chcę, żeby ciebie też przeszedł prąd.

– Po powrocie do domu potrę stopami o dywan. Przyrzekam.

– Pamiętam to uczucie – wtrąca Daisy. – Mieliśmy tak z Dylanem. A teraz on nie chce nawet wybrać się ze mną do Queensland z okazji zakończenia dwunastej klasy. Oszczędzał przez cały rok i wydał wszystko na konsolę Wii. Nie chcesz prądu? – pyta mnie.

– Chcę. Ale nie z nimi. – Ruchem głowy wskazuję salę. – Chcę kogoś takiego jak Shadow. – Nie kogoś takiego jak. – Chcę Shadowa.

– Kogoś, kogo zapewne nie masz szansy spotkać? – pyta Jazz.

– Dylan go zna – mówi Daisy. – Jego i Poetę.

Próbuję wysledzić Shadowa od prawie dwóch lat. Wszyscy ciągle wymyślają historie na jego temat. Nie żyje, wyjechał, poszedł na studia artystyczne. Z tego, co mi wiadomo, to wszystko nieprawda.

– Chcesz powiedzieć, że Dylan zna kogoś, kto zna kogoś, kto być może ich zna.

– Nie. On ich zna. Ciągle to powtarza. „Poszliśmy tam, spotkaliśmy się tu i tu”. Wygląda na to, że widują się z nim częściej niż ja. Zachowuje się, jakby dzięki tej znajomości był super fajnym gościem. – Po namyśle dodaje: – I chyba faktycznie tak jest.

Łapię Jazz za ramiona. Moje wnętrzości pulsują w szybkim tempie.

– Jeśli ich poszukamy, zostaną. Moglibyśmy pójść w miejsca, gdzie według Dylana istnieje szansa, że ich spotkamy. Ty dostaniesz swoją akcję z Leo. Ja Shadowa i romantyczną miłość.

– Brzmi jak książka, jaką chętnie przeczytałaby moja ciocia Glenda – wyrokuje Jazz.

– Proszę, proszę, proszę.

– Nie miałabym nic przeciwko, żeby poznać Poetę – stwierdza Daisy. – Super pisze. Myślicie, że jest coś takiego jak poetycki prąd elektryczny?

Jazz uśmiecha się od ucha do ucha.

– Z pewnością warto to zbadać. Dobra. Chętnie wezmę udział w polowaniu na Shadowa. – Próbuje otworzyć drzwi, ale zamek się zaciął. – Dziwne.

– Czy to zły omen? – pyta Daisy.

Jazz rozpiną suwak przy bucie, zdejmując go i wali w zamek.

– To żaden omen. – Bum. – Ta noc. – Bum. – Będzie świetna. – Bum. – Mam przeczucie. – Bum. Wkłada but i spogląda na nas. – Musimy wyjść górą.

Staje na sedesie, potem na uchwycie na papier toaletowy, a potem się podciąga.

– Imponujące – stwierdzam, a potem rozlega się donośny plask o podłogę.

– Już nie tak bardzo – mówi Daisy.

– To nic nie znaczy – woła Jazz. – Uwierzcie mi. Jestem jasnowidząca.

Pierwsze, co widzę po wyjściu z łazienki, to Ed. Okej, pewnie było to nierealne marzenie, ale trochę liczyłam, że zniknie podczas naszej nieobecności. Kiedy się obraca, czuję lekkie mrowienie, zapewne z powodu niezbyt udanego skoku podczas ewakuacji z toalety. I w związku z perspektywą spotkania Shadowa.

Nie patrząc na Eda, siadam obok niego. Nie jestem tu z jego powodu. Jestem tu dla młodego niechlujnego artysty.

– Lucy i Daisy chcą poszukać Shadowa i Poety – oznajmia Jazz.

– Kogo? – pyta Ed.

– To grafficiarze – wyjaśniam. – Malują w wielu miejscach w całym mieście.

– Sami nazywają się writerami – mówi Dylan.

– Nieważne – stwierdza Daisy. – W każdym razie chcemy ich spotkać.

– Ja przede wszystkim Shadowa – wtrącam.

– A ja idę dla towarzystwa – dorzuca Jazz. – Przypuszczam, że Shadow ma poważne problemy psychiczne.

Leo się śmieje, Ed samym ruchem warg mówi do niego:

– Spierdalaj.

Leo jeszcze bardziej się śmieje.

– Możemy ich poszukać – stwierdza. – Świetny pomysł.

– Nie, bardzo głupi – protestuje Ed. – Głupszego w życiu nie słyszałem. Skąd w ogóle mamy wiedzieć, gdzie szukać?

– Daisy mówi, że Dylan ich zna – odpowiada Jazz.

– Serio? – Ed patrzy na Dylana, który ma taką minę, jakby zamierzał zwać.

– Kłamałeś? – pyta Daisy. – Typowe.
– Nie kłamałem. Ciągłe ich spotykam. Ed i Leo też ich widzieli.
Ed milczy. Leo przechyla głowę, co może znaczyć równie dobrze tak jak nie.
– Udowodnij – rzuca Daisy. – Zaprowadź nas w miejsca, gdzie bywają i przedstaw nas, jeśli akurat się pojawią.
– Na pewno mógłby to zrobić – stwierdza Leo. – Prawda, Dylan?
Wstrzymuję oddech. Wszystko we mnie się kurczy, całe moje wnętrze, jakby każda część mojego ciała zaciskała kciuki. Płuca, nerki i cała reszta. Proszę, niech się okaże, że Dylan mówił prawdę. Nawet debil by zauważył, że ci faceci coś kombinują, ale jak przypuszczam, chodzi o to, że Ed wolałby paść trupem niż spędzić czas w moim towarzystwie.
Wyobrażam sobie, jak wygląda Shadow: poplamione farbą ciuchy, twarz zdradzająca, że w jego głowie pojawia się milion pomysłów na minutę. Proszę, proszę, proszę.
– Zgadza się – odpowiada Dylan z namysłem. – Nie ma problemu.
– Teraz ja muszę skoczyć do toalety. – Ed spogląda na Leo i Dylana. – I odnoszę wrażenie, że wy dwaj również.
– Faceci nie chodzą razem do toalety. To chore – protestuje Leo.
– Nie tylko to jest chore – odpowiada Ed. – Więc ruchy.
Czekam, aż sobie pójda i pytam:
– Sądzicie, że Dylan mówi prawdę?
Daisy przegląda się w lusterku kieszonkowym, po czym podaje je Jazz.
– Mam się dowiedzieć?
– Nie psujmy atmosfery, nie wyzywajmy ich od kłamców. – Jazz patrzy w lusterko. – Nienawidzę swoich piegów – oznajmia, po czym przekazuje lusterko mnie.
– A ja lubię piegi – mówi Daisy. – I niczego nie zepsuję. Mam swoje sposoby, żeby wydobyć prawdę od Dylana.
– Jakie? – pytam.
– Kop w jaja.
– Szczególna metoda – stwierdzam, oddając jej lusterko.
– Dobra, na razie nikogo nie kopmy i nie popadajmy w paranoję – mówi Jazz, groźnie kiwając palcem. – Szybko, Daisy. Mów wszystko, co wiesz o Leo, zanim wrócą.
– Jest dość szalony. Mniej, odkąd zamieszkał z babcią, ale i tak często robi zwariowane rzeczy.
– Bardziej zwariowane, niż jak splótł linę ze związanych koszul facetów z klasy i wyszedł po niej przez okno, kiedy nauczyciel stał odwrócony tyłem? – pyta Jazz.
– No, mniej więcej na tym poziomie. Jego brat Jake ma za to poważne

kłopoty z policją. Szczegółów nie znam.

– Leo był w więzieniu?

– Zabrali go na komisariat, ale nie wnieśli oskarżenia. Dylan nie powiedział, co takiego zrobił. Emma, jego była dziewczyna, twierdziła, że zdemolował jej dom.

– Emma Forest? – pyta Jazz. – Ta z wielkimi...?

– Dokładnie ta – potwierdza Daisy.

Jazz spogląda na swoją klatkę piersiową. Klepię ją po ramieniu.

– Niektórych facetów interesuje również osobowość.

– Tę plotkę rozpuściły takie laski jak ja. – Spogląda na Daisy. – Kiedy zerwali?

– Nie wiem dokładnie, na pewno w zeszłym roku. Od tamtej pory nie miał dziewczyny.

– W ogóle? Skoro u niego podobna posucha jak u mnie, powinien stanowić łatwy cel.

– Nie, no, miał. Mnóstwo dziewczyn. Całe, całe mnóstwo...

– Dobra, rozumiem – przerywa jej Jazz. – A Ed? W razie gdyby Lucy potrzebowała planu awaryjnego.

– Nie będę potrzebowała planu awaryjnego. Au. Nie kop.

– Nie widuję go zbyt często, odkąd przerwał naukę w dziesiątej klasie. Wiem, że umawiał się z Beth Darling, która chodzi do prywatnej szkoły, chyba St. Catherine. Ładna i inteligentna. Ed pracuje w sklepie z farbami, ale nie wiem gdzie dokładnie.

– Może stąd znają Shadowa. Może Ed sprzedaje mu farby.

– Może. Dylan nic takiego nie mówił.

– Dlaczego przerwał naukę? – pyta Jazz.

– Lucy.

– Ja? O, mój Boże.

– Mam cię – mówi Daisy. – Nie wiem, z jakiego dokładnie powodu odszedł ze szkoły. Chodziły plotki, że ściągał. Leo powiedział jednak, że to bzdury.

Ed porzucił naukę jakieś dwa tygodnie po naszej randce, ale nigdy nie pomyślałam, że podjął tę decyzję z mojego powodu. Uznałam, że szkoła po prostu go nie interesuje. Mieliliśmy jeszcze mnóstwo do zrobienia w związku z pracą o Jeffreyu Smarcie, ale Ed rzadko bywał na lekcjach. A nawet jak już przyszedł, siedział tylko, nic nie mówił, nie pisał, więc sama wszystko robiłam. A potem, tuż przed terminem, przyłapano go na ściąganiu i odszedł.

Chociaż nadal byłam na niego wściekła za to, że złapał mnie za tyłek, i za to, że zostawił mnie samą z esejem, tamtego dnia było mi go szkoda. Patrzyłam na niego, w nadziei, że odwzajemni spojrzenie, a wtedy się do niego uśmiechnę, ale on nie odrywał czarnych oczu od okna.

Brakowało mi go. Emocje, które we mnie budził, nie znikły tylko dlatego, że

złapał mnie za tyłek. Przez cały weekend po naszej randce marzyłam o tym, by go dźgnąć moim długopisem ozdobionym puchatą kaczuszką, a jednocześnie gapiłam się na telefon, licząc na to, że zadzwoni. Chodzenie na randki to trudna sprawa.

– Masz dziwną minę – mówi Jazz. – O czym myślisz?

– O niczym.

– Czy to możliwe? – pyta Daisy. – Mieć w głowie absolutną pustkę? Bo czasem pytam Dylana o to samo i odpowiada tak jak ty. Przynajmniej raz mógłby powiedzieć, że myśli o pokoju na świecie czy ratowaniu wielorybów, cokolwiek.

– To niemożliwe – stwierdza Jazz.

– Możliwe. Nie jest kompletnym kretynem.

– Nie, chodzi mi o to, że nie da się o niczym nie myśleć.

– To właśnie mu powtarzam. No a jasnowidztwo. Słyszysz myśli innych ludzi?

– Czasem coś czuję. Moja mama ma większe zdolności ode mnie. Posiada szósty zmysł, dzięki któremu potrafi mnie śledzić dzień i noc, a od egzaminów w połowie roku ten zmysł działa na najwyższych obrotach. „Będzie czas na randkowanie po końcowych egzaminach”, powtarza.

– A więc teraz – stwierdza Daisy.

– Oficjalnie ten moment nadejdzie po mojej rozmowie kwalifikacyjnej. Ale ponieważ przebywa teraz z tatą na konferencji prawniczej w Niemczech, przypuszczam, że mogło jej się trochę pokręcić z powodu zmiany strefy czasowej. Matka prawniczka-jasnowidz, to śmiertelnie groźna kombinacja.

Wiem, że Jazz się martwi, że mama widziała jej przyszłość i nie dojrzała tam Oscara. Moi rodzice pocieszają ją, że wszystkiego nie da się przewidzieć. Chce nam wierzyć, ale nie jestem pewna, czy naprawdę wierzy.

Kiedy się tu przeprowadzili, jej mama chciała ją posłać do prywatnej szkoły, podobnej do tej, do której Jazz chodziła w Zachodniej Australii, ale Jazz błagała, żeby posłali ją do Daley High, gdzie są najlepsze zajęcia z aktorstwa w całym mieście. Rodzice postawili jeden warunek: ma zbierać dobre stopnie, by w razie czego mieć możliwość zrobienia „normalnej” kariery.

Poznała mojego tatę, kiedy akurat ćwiczył nowy występ. Obserwowała go w milczeniu, wydmuchując ciche balony z gumy do żucia. Kiedy skończył, przez godzinę wypytywała go o technikę, studia, możliwości zarobkowe i oczekiwania. Została na noc.

– Jeszcze nie jestem gotowa, żeby wrócić do domu – powiedziała.

– Jacy są twoi rodzice? – pyta Daisy. – Dają ci dużo swobody?

– Aha. Są artystami. Poznali się w college’u i zakochali się w sobie do szaleństwa.

Nie patrzę na Jazz. Tematu małżeństwa moich rodziców raczej unikamy od czasu, gdy poprosiłam, by za pomocą swych zdolności paranormalnych sprawdziła,

czy to, że mieszkają osobno znaczy, że się rozwodzą. Wyjęła z ust lizaka i odparła:

– To jest jak wielki billboard. Nie potrzebuję żadnych specjalnych zdolności, żeby go dostrzec.

Nie skomentowałam tego, ona też milczała. W końcu powiedziała, że jej przykro.

– To był słaby tekst, Luce. – Odparłam, że nic nie szkodzi. Bo nie szkodzi. Często bywa u nas w domu, ale nie zna moich rodziców, tak jak ja ich znam. Mama twierdzi, że się nie rozwodzą, a kieruje się zasadą bezwzględnej szczerości, więc jej wierzę. Raz, kiedy szykowałyśmy się w łazience do spania, zapytałam ją wprost.

– Rozwodziś się z tatą, prawda?

Chwyciła mnie za ramiona i popatrzyła mi prosto w oczy, nie mrugając.

– Po raz piętnasty zapewniam, że nie. Kocham twojego ojca. Potrzebuję przestrzeni, żeby skończyć powieść, to wszystko. – Przecisnęła się obok mnie, by sięgnąć po zmywacz do makijażu. – W tej łazience nawet kot by się nie zmieścił – dodała. – W całym tym domu kot by się nie zmieścił.

– A więc to wina kota. Gdybyśmy chociaż mieli kota.

Wywróciła oczami.

– To niczyja wina. W ogóle nie ma żadnej winy. Jesteśmy małżeństwem i tak zostanie. I nie wszyscy ludzie żyją tak jak w twoich romantycznych wizjach.

Te słowa bynajmniej mnie nie uspokoiły.

Wracam do rzeczywistości, słucham, jak Jazz podsumowuje naszą rozmowę przed powrotem facetów z toalety.

– No więc ja potrzebuję dzisiaj nowych doświadczeń. – Wskazuje na Daisy.
– Ty potrzebujesz nowego chłopaka. – Patrzy na mnie. – A ty musisz zidentyfikować swojego chłopaka. – Podaje nam gumę do żucia. – Mamy co najmniej siedem godzin, żeby dostać to, czego nam potrzeba, zanim wstanie słońce.

– Szkoda, że wcześniej razem nie wychodziłyśmy – mówi Daisy. – Nie mogę uwierzyć, że czekałyśmy, aż nauczyciel umieści nas w jednej grupie. – Spogląda w stronę toalety. – Długo już tam siedzą.

– Jak sądzisz, o czym rozmawiają? – pytam.

– Gdybym miała zgadywać – odpowiada Jazz – powiedziałabym, że o nas.

POETA



ZADANIE DRUGIE

POEZJA 101

UCZEŃ: LEOPOLD GREEN

Miłość w kajdankach

Dziewczyna którą kochałem wezwała gliny

Zostałem aresztowany

Powiedziała że to najmądrzejsza rzecz jaką kiedykolwiek zrobiła

nie licząc tego że wcześniej ze mną zerwała

Pomachała mi na pożegnanie

kiedy zakuwali mnie w kajdanki

nieźle się ubawiła

kiedy próbowałem też do niej pomachać

Gość w policyjnym wozie

pachniał jak mój tata

po długiej nocy pełnej piwa

owocowo i kwaśno

Znów myślałem o niej

o tym że pierwsze co zauważyłem
to że nie przypomina niczego
co znałem do tej pory



ED

– Nie będziemy przecież szukać samych siebie – mówię do Leo. – To kompletna strata czasu.

– Nie, to niezła jazda, a ty potrzebujesz się rozerwać. Od kilku miesięcy wyglądasz tak. – Tu robi coś dziwnego z twarzą.

– Wcale tak nie wyglądam.

– A właśnie że tak.

– Ja też będę tak wyglądał, jeśli Daisy mnie zostawi, a zostawi mnie, jeśli uzna, że kłamałem – stwierdza Dylan.

– Rzucałeś w nią jajkami. Najprawdopodobniej zostawi cię tak czy inaczej. – Zwracam się do Leo: – Podjęliśmy decyzję. Postanowiliśmy, że nikomu nie powiemy. Że to dla dobra sztuki. Że im więcej osób będzie wiedziało, tym wyższe ryzyko, że gliny nas dorwą. Obiecaliśmy sobie, że będziemy sami, tylko ty i ja, żadnej ekipy.

– A na pewno nie wspominałem, że robię to po to, by zaliczać dziewczyny? Rzeczywiście, to byłoby w jego stylu.

– Na pewno.

– Żaden z nas niczego nie zaliczy, jeśli nie skłamiemy – stwierdza Dylan. –

Zgódź się, Ed. Błagam. Padam przed tobą na kolana.

– Nie, stoisz przy pisuarze i zamierzasz się wyszczać.

– Nie każ mi klękać naprawdę. Zdajesz sobie sprawę, ile tu jest zarazków?

Próbuję się nie roześmiać, ale na próżno, Dylan już wie, że zdołał mnie przekonać.

– Dwie godziny i koniec – mówię. – Nie powiemy im, że to my, choćby nie wiem co. Pójdziemy w parę miejsc, będziemy udawać, że ich szukamy, a potem jakoś zmienimy plany.

Leo uśmiecha się szeroko. Stanowczo za bardzo mu się ten pomysł podoba. Już go widzę w wyobraźni. Jazz mówi, że te napisy są super, a on się wysypuje. Patrzę mu prosto w oczy.

– Choćby nie wiem co, nie zdradzimy prawdy.

– Choćby nie wiem co – powtarza Leo.

Ani trochę mu nie wierzę. Ale nie powiem Daisy, że Dylan kłamał. Bo wydaje się jakiś taki przybity, jakby naprawdę mu na niej zależało, nawet jeśli próbuje tego po sobie nie pokazywać. A jeśli mu zależy, to nie zamierzam być osobą, która wszystko popsuje. Wiem, jak to jest, kiedy pragnie się jakiejś dziewczyny. Ciągnąć się za nią po ziemi, jak za koniem, który poniósł, w nadziei, że nie wypuści się wodzów z ręki.

Wiem dzięki historii z Beth.

Kiedy ją poznałem, pracowałem w sklepie od kilku miesięcy, chociaż miałem wrażenie, że znacznie dłużej. Czułem się tak, jakby świat wokół mnie dokądś zmierzał, a ja tkwiłem w miejscu. Codziennie koło sklepu przechodziły dzieciaki w drodze do szkoły, patrzyłem i czułem się jak ten facet z obrazu Jeffreya Smarta. Ten, który stoi pośród betonowego świata, koło zakręcającej autostrady. Ten facet mógłby krzyczeć, ale jego głos tylko odbiłby się od betonowych ścian i wrócił do niego, odbijałby się tak i wracał aż do końca jego życia.

A potem któregoś dnia Beth zjawiała się w sklepie w towarzystwie paru gości ze swojej szkoły. Nosili białe koszule i krawaty, patrzyli na mnie jak na psie gównu. Kiedy podawałem im farbę, której potrzebowali na szkolny banner, jeden z nich zapytał:

– Pracujesz tu na pełen etat?

– Aha.

– Wspaniały początek kariery.

Wziąłem pieniądze, przesunąłem puszkę po kontuarze i odparłem uprzejmym tonem:

– Kolor, który wybrałaś, świadczy o bardzo złym guście. – Uśmiechnąłem się, Beth się zaśmiała, a facet powiedział, że chce rozmawiać z kierownikiem.

Przyprowadziłem Berta, który pochylił się nad puszką, popatrzył na etykietę i stwierdził:

– Ed był stanowczo zbyt uprzejmy. Masz gówniany gust.

Beth zaśmiała się jeszcze głośniej i ten śmiech coś we mnie zmienił. Czułem się beznadziejnie od tamtego wieczoru, kiedy Lucy mnie uderzyła, a ten śmiech sprawił, że zobaczyłem w myślach graffiti, na którym jest coś więcej niż autostrady i popsute samochody.

Palanty w białych koszulach sobie poszły, a ona została. Przechadzała się między regałami, zerkając na mnie od czasu do czasu.

– Powinieneś się z nią umówić – powiedział Bert. – Do odważnych świat należy.

– Ostatnim razem, kiedy umówiłem się z dziewczyną, zarobiłem dwie śliwy pod oczami. Odwaga grozi złamanym nosem, takie jest moje zdanie na ten temat.

Ale przed wyjściem Beth podeszła do kontuaru i powiedziała:

– Powinieneś się ze mną umówić.

I tak zrobiłem, a ona zdjęła z mojej piersi przytłaczający ciężar świata, uniosła go tak, że znów mogłem oddychać. Siedzieliśmy na wzgórzu w pobliżu jej domu, ja milczałem, a ona nie uszkodziła żadnej części mojego ciała. Potem wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy przez morze nieba, na którym światła ohydnych fabryk były gwiazdami. Cały świat zmienił się w morze, przez które po prostu mogliśmy sobie przepłynąć.

Na początku zdarzały się takie momenty, przebłyśki, kiedy leżeliśmy obok siebie, było ciepło, a ja czułem zapach kwiatów na jej skórze i zapach terpentyny na swoich dłoniach, i słyszałem jej głos wszystkimi zakończeniami nerwów. Słyszałem ją krwią i skórą i zapomniałem o różnych rzeczach. Jak na przykład o tym, że któregoś dnia ona skończy dwunastą klasę i mnie zostawi. Jaki jestem w porównaniu z nią głupi. Zapomniałem, ponieważ pochylała się nade mną, a cały świat się roztapiał, wirował wokół mnie, i ja też roztapiałem się i wirowałem razem z nim.

Nie sądziłem, że będzie wysyłać do mnie listy i zastanawiać się, dlaczego nie odpowiadam. I pomyśli, że tak naprawdę mi na niej nie zależy, bo za każdym razem, kiedy próbowałem coś napisać, nic z tego nie wychodziło.

– To bez sensu – stwierdził Leo, czytając jeden z moich listów. – Chcesz, żebym napisał do niej za ciebie?

– Nie, nie chcę.

Wyrzuciłem list. Zamiast tego robiłem dla niej graffiti. Ściany Beth. Po całym mieście. Malując je, miałem nadzieję, że Beth je zobaczy i zrozumie, i dalej będzie mi szeptać sekrety do ucha. Chciałem, żeby wiedziała, że to ja je namalowałem, żebym nie musiał jej tego mówić. Jeden znajduje się niedaleko stacji przy Hoover Street. Jesteśmy na nim oboje, mówię do niej, a z mojego serca wyrasta trawa. Widziała to graffiti, ale nas nie rozpoznała.

Jakieś trzy miesiące temu, tej nocy, gdy zerwaliśmy, namalowałem tuż obok

ostatnie dedykowane jej graffiti. Przedstawia Beth włączającą kosiarkę do trawy. Wieczorem jedliśmy kolację z jej rodzicami, pytali o moje plany życiowe i słowa, których nie wypowiedziałem, zawisły w powietrzu. Kiedy wychodziłem, Beth powiedziała:

– Chyba zamierzasz kiedyś zająć się czymś innym? Nie będziesz do końca życia pracował w sklepie z farbami?

Mogłem jej wtedy powiedzieć. Mogłem zaprowadzić ją pod mur z jej twarzą, twarzą, która sprawiła, że z betonu wyrosła trawa. Ja jednak, stojąc już na progu, odparłem tylko:

– Tak, jasne.

Mój głos nie miał skóry, Beth, tak jak i ja, słyszała w nim gołe kości. I już wiedziałem. Pewnego dnia dostanie ją jakiś palant w białej koszuli. Palant, który skończy studia, podczas gdy ja będę malował kolejną ścianę. I poszedłem.

– Zdradzałeś komuś nasze imiona? – pytam Dylana w łazience.

– Powiedziałem tylko Daisy, że wiem, kim jesteście, to wszystko.

Wyciągam ramię i blokuję mu wyjście.

– Dobra, powiedziałem Raffowi i jednemu z jego kumpli, ale to już naprawdę wszystko.

Chce wyjść, ale ja nie zabieram ręki.

– Raff ma najdłuższy jęzor w mieście. A jeśli go dzisiaj spotkamy?

– Nie spotkamy. Siedzi jak zwykle w kasynie.

Przysuwam twarz do twarzy Dylana.

– Powiesz jeszcze choćby jednej osobie, a rozgadam, że ryczałeś, bo ci się wydawało, że Daisy z tobą zrywa.

– Nie zrobisz tego.

Dzwoni telefon Leo.

– Zrobi – mówi, odbierając.

Po chwili się rozłącza.

– Musimy wpaść na imprezę u Jake'a i omówić parę szczegółów odnośnie roboty. To zajmie tylko chwilę.

– Trudno będzie wytłumaczyć to dziewczynom – stwierdzam.

– Impreza u Jake'a to idealny pomysł na dzisiejszy wieczór. Jake nie wie, że jestem Poetą.

– A jeśli dziewczyny usłyszą o robocie?

– Na pewno nie.

– Istnieje takie ryzyko.

Leo mówi Dylanowi, że spotkamy się przy stoliku. Kiedy zostajemy sami, zwraca się do mnie:

– Posłuchaj, nie musisz tego robić, ale powiedz to tu i teraz. Po rozmowie z Jakiem nie da się niczego odkręcić. – Daje mi czas do namysłu. – Nie będę miał

pretensji. Jake też nie.

– Wiem. – Leo nigdy się nie wkurza. Napiszę za ciebie wypracowanie, podrobię ci usprawiedliwienie, skopię temu gościowi tyłek dla ciebie, nie ma problemu. To cały Leo, ale nie może postępować tak bez końca. I nie może zapłacić za mnie mojej połowy czynszu. Sam muszę to zrobić albo mama powie, że opieka nade mną jest jej obowiązkiem i zrezygnuje z nauki. Ale opiekowała się mną wystarczająco długo.

– Wchodzę w to – oznajmiam, a on kiwa głową. I już. Więcej nie będzie pytał.

Wracamy do stolika i Dylan mówi dziewczynom, że jedziemy na imprezę, gdzie jest szansa spotkać Shadowa i Poetę. Jazz i Daisy mu wierzą, ale Lucy jest podejrzliwa. Pstryka opaską na nadgarstku, a potem zaczyna zadawać pytania.

– U kogo ta impreza?

– U kumpla mojego brata – odpowiada Leo.

– A więc Shadow skończył dwunastą klasę? – pyta Lucy Dylana.

– Chyba obaj skończyli.

– Shadow chodził do naszej szkoły?

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– A ty co jesteś, glina? – mówi Dylan. – Nie pamiętam.

Jest bystra jak górski strumień, jak lubił mówić Bert. Dwa miesiące temu, na dzień przed jego śmiercią, jedliśmy lunch w magazynie. Valerie dodała nam do prowiantu po zimnym piwie, poczułem się zrelaksowany i powiedziałem:

– Muszę przestać zakochiwać się w inteligentnych laskach.

– Ja też się w takiej zakochałem – odparł Bert.

Uniosłem piwo.

– No tak. Jak ją zdobyłeś?

– Zapytałem. – Upił piwa. – I się zgodziła.

– Samo umawianie się to łatwizna. Gorzej jest potem.

Oparliśmy się o puszki z farbą i dokończyliśmy nasze piwa. Bertowi trzęsły się ręce, ale nie bardziej niż zwykle. Rozległ się dzwonek na kontuarze, Bert zerwał się z miejsca. Nagle puszki potoczyły się na podłogę.

– Nic mi nie jest – zawołał, kiedy pobiegłem za nim. – Rozwaliłem ekspozycję. Masz gościa.

To była Beth, przyniosła moje rzeczy w pudełku, fragmenty mnie, które u niej zostawiłem. Od naszego zerwania minęły trzy miesiące, uznałem, że najlepiej, by te rzeczy u niej zostały. Ale Beth nie jest taka. Zadała sobie trud i przyjechała do sklepu, by sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku, i oddać mi moją własność. Album z malarstwem Jeffrey'a Smarta, który jej pożyczyłem. T-shirt, który zrobiłem w dziewiątej klasie na zajęciach z sitodruku. Płyte

Ramonesów.

– Powinieneś jej powiedzieć, że chcesz do niej wrócić – stwierdził Bert, kiedy sobie poszła.

– Tylko że wcale nie chcę.

– Do odważnych świat należy. – Bert dopił piwo.

Stałem przy kontuarze, przerabiając w myślach wszelkie możliwe sposoby na odzyskanie jej, ale wszystkie wiodły w to samo miejsce. Ja mówię, że donikąd się nie wybieram, a ona odchodzi, rusza dalej.

Powiedziałem Bertowi, że muszę wcześniej wyjść, zabrałem puszkę farby, mój mózg przeskoczył, a ręce zaskoczyły, i uciekłem na ścianę, namalowany duch uwięziony w słoiku. Cofnąłem się, by lepiej mu się przyjrzeć. Najsmutniejsze, że miał tam dosyć powietrza, by starczyło mu na całe życie. Co sobie myślałeś, duszku? Żeby dać się tak złapać?

Jazz każe Lucy się uspokoić i próbuje kopnąć ją pod stołem. Wiem o tym, bo trafia mnie.

– Musisz celować bardziej w lewo – mówię, a ona podejmuje kolejną próbę.

– Jeszcze bardziej – dodaję i z przyjemnością patrzę, jak parę razy trafia do celu.

Wszyscy zaczynają gadać o dzisiejszej nocy. Leo flirtuje z Jazz. Dylan próbuje flirtować z Daisy, ale ona rzuca mu w twarz torebkami z cukrem i mówi rzeczy w stylu:

– Odbijają się od twoich włosów. Nie powinieneś używać tyle żelu. – Facet jest bardzo wytrwały, nie można mu tego odmówić.

Lucy patrzy za okno, patrzy na coś w swojej głowie, w taki sam sposób jak dwa lata temu, kiedy ją obserwowałem. Prawie się nie zmieniła, tyle że teraz spina włosy pędzlami. Nadal uśmiecha się tak, jakby myślała o czymś, co bardzo chcesz usłyszeć.

– Dlaczego tak strasznie ci zależy, żeby go znaleźć? – pytam, ale ona nie słucha. Przyglądam jej się jeszcze przez chwilę. – Dlaczego tak bardzo chcesz go znaleźć?

Mruga, powraca ze swoich marzeń. Pstryka opaską na nadgarstku.

– Po prostu chcę.

LUCY



Kiedy Jazz kopie mnie po raz drugi, przestaję zadawać pytania. I tak zdążyłam zebrać wystarczająco dużo informacji. Jeśli Shadow ukończył dwunastą klasę i nie chodził do naszej szkoły, to nic dziwnego, że nigdy go nie spotkałam. A gdybym go spotkała, na pewno bym o tym wiedziała. Taki facet jak Shadow musi się bardzo wyróżniać.

Jazz chwyta moje spojrzenie i bębni o blat trzema palcami. Trzy palce znaczą, że facet, z którym rozmawiam jest zarabisty. Nie należy pomylić tego z bębnieniem czterema palcami, które znaczy „uwolnij mnie od tego gościa, nawet jeśli będziesz musiała w tym celu podpalić mi włosy”. Pięć palców znaczy, że w środku krzyczę i mam ku temu poważne powody. Jazz przytyka do blatu pięć palców.

Leo jest niesamowicie przystojny, nie da się zaprzeczyć. Pięć palców o sile dziesięciu. Wysoki, z ogoloną głową, o łagodnych oczach. Ma tatuaż. I zapowiada kłopoty, czyli jest dokładnie w typie Jazz.

Pierwszym facetem, z którym umówiła się po przeprowadzce, był Jacob Conroy. Jakiś tydzień po jej przyjeździe czekałyśmy na przejściu dla pieszych, a on stał oparty o ogrodzenie przy stacji kolejowej. Jazz zagwizdała, on się odwrócił, przeplótł palce przez oczka w ogrodzeniu i szeroko się uśmiechnął. Słońce

tworzyło halo wokół jego głowy.

– Nie chcę cię straszyć – oznajmiła Jazz – ale zamierzam przebiec na czerwonym.

– Skąd ten pośpiech? On czeka na pociąg o trzeciej czterdzieści pięć.

Wskazała na dzwonki ogłaszające przyjazdy pociągów – rozbrzmiały w tym samym momencie.

– Pięć minut za wcześnie.

Zdążyła dosłownie na sekundę przed odjazdem. W pośpiechu podał jej swój numer telefonu przez zamykające się drzwi.

– Przepraszam – powiedziała, kiedy dotarłam na peron. – Skutki uboczne wieloletniej nauki w żeńskiej szkole. Widzisz w świecie zewnętrznym kogoś, kto ci się podoba, i musisz działać.

– Co mu powiedziałaś, żeby dał ci numer?

– „Szybko, pociąg zaraz odjedzie. Dawaj numer telefonu”.

– Nie marzysz o romantycznej miłości?

– Drzwi nie zamknęły mi się na twarzy. Uważam, że to bardzo romantyczne.

Była z Jacobem na pięciu randkach, po czym zerwali. Tamtego dnia przyszła do mnie z kubelkiem lodów i torebką czekoladek Hershey.

– Jedzenie na pocieszenie? – zapytałam.

– Gdybym potrzebowała pocieszenia, przyniosłabym dwa kubelki lodów. Nie jestem aż tak zdołowana, Luce. To moje zwykłe menu na piątkowy wieczór.

Usiadłyśmy w moim pokoju. Zapytałam, co się stało.

– Zabrałam go na przegląd filmów Hitchcocka, a on zasnął. Kiedy usłyszałam chrapanie, doszłam do wniosku, że niewiele nas łączy.

– A więc jesteś taka sama jak ja – stwierdziłam. – Czekasz na właściwego faceta.

– Dokładnie taka jak ty – potwierdziła. – Tyle że gość pracujący na festiwalowym stoisku ze słodyczami był całkiem przystojny, jutro chyba tam wrócę i się z nim umówię. A więc tak, jestem taka sama jak ty, gdybyś, no wiesz, chodziła czasem na randki. – Podała mi lody. – Czemu z nikim się nie umawiasz?

Pokazałam jej zdjęcia dzieł Shadowa.

– Chcę tego faceta.

Przejrzała fotografie przedstawiające ściany pełne serc, ptaków i duchów.

– No to w czym problem? Umów się z nim.

– Chętnie. Tylko że nigdy go nie spotkałam. Widziałam tylko jego graffiti.

Popatrzyła na mnie z tą swoją surową miną i podała ostatnie czekoladowe serduszko.

– W sumie dopiero co się poznałyśmy, więc ujmę to łagodnie. Czy tobie całkiem odbiło?

– Tak z ciekawości, jak byś to ujęła, gdyby nasza znajomość trwała dłużej?

– On może być seryjnym mordercą. Albo jeszcze gorzej, może być stary, Luce.

– Seryjni mordercy nie są twórczy.

– Obejrzyj kilka odcinków *Dextera*, to pogadamy.

– Poważnie. Co o tym sądzisz? Poproszę o profesjonalną opinię osoby jasnowidzącej.

Spojrzała na graffiti przedstawiające dziewczynę z mapą na skórze. Widziałam po jej minie, że myśli to samo co ja.

– Powiedz. No, już.

– Nie chcę cię zachęcać.

– Powiedz to.

– W odpowiednim świetle, pod odpowiednim kątem i jak się zmruży oczy, ta dziewczyna trochę cię przypomina. Troszeczkę.

Zastanawiałam się nad tym od chwili, gdy zobaczyłam to graffiti. Czasem wydawało mi się, że zwariowałam, ale przeważnie myślałam sobie, że mam rację. Gdzieś tam w ciemnościach Shadow widział mnie w wyobraźni.

Kiedy zasypiałyśmy, opowiedziałam Jazz o rysunku Michaela Zavrosa. Przedstawia konia spadającego z nieba, z nogami obróconymi w stronę chmur. Koń nie może nic zrobić, wygląda, jakby nie wiedział, skąd się tam wziął, gdzie jest i dlaczego spada. Rysunek nazywa się *Aż pęknie serce*, ten tytuł bardzo na mnie działa. Strasznie podoba mi się ten koń, jest taki realistyczny, podobają mi się delikatne linie jego nóg i łba. Ale nie dlatego w niektóre noce nie mogę oderwać wzroku od tego rysunku. Sama nie wiem, dlaczego tak jest. Wiem tylko, że ma to coś wspólnego z wyobrażeniem, jak powinna wyglądać miłość.

– Powinna być jak koń spadający w twoim wnętrzu – powiedziałam do Jazz.

– Dziwna jesteś – stwierdziła sennym głosem. – Ale nie szkodzi. Dzięki temu ja będę wydawała się normalna.

– Dlaczego tak bardzo chcesz go znaleźć? – pyta Ed. Spoglądam na niego i widzę, że już wcześniej zadał to pytanie, ale ja go nie słyszałam.

Kilka razy pstrykam opaską taty na nadgarstku.

– Po prostu chcę.

POETA



ZADANIE TRZECIE

POEZJA 101

UCZEŃ: LEOPOLD GREEN

Pamiętaj miłość

Pamiętaj

miłość nie sprawia że świat się kręci

seks sprawia że wiruje przez sekundę dwie

jeśli masz szczęście

podobnie działają chipsy bułki z kiełbasą i dziewczyny w krótkich

spódniczkach

pamiętaj

miłość

przykłada palce do twego serca

wpycha je

pod wodę

pamiętaj o tym

kiedy znów uśmiechnie się do ciebie jakaś dziewczyna

LUCY



Leo patrzy na zegarek.

– Jeśli się pospieszymy, zdążymy na pociąg o dziesiątej piętnaście. – On i Jazz idą przodem, Daisy z boku, tuż za nią Dylan, jak cień, a ja zostałam z Edem. Jest wyższy niż dwa lata temu. Ale jego włosy nadal rosną bezplanowo. I wciąż otacza go ta szczególna przestrzeń. Ma na sobie T-shirt z obrazkiem królika czytającego książkę.

– Patrzysz na mnie z ukosa – mówi Ed – jakbyś się spodziewała, że za chwilę złapię cię za tyłek. Wyluzuj. Mam dziewczynę. I dla twojej informacji: nasza pierwsza randka była bardzo udana.

– Może czegoś się nauczyłeś dzięki naszej – odpowiadam. A masz.

– To nie była randka. Randka kończy się pocałunkiem, a nie kałużą krwi i złamanym nosem.

– Jasne, jeśli trzymać się technicznych szczegółów.

Ed unosi brwi i wywraca oczami.

– Tak w ramach ciekawostki – dodaje – to ona złapała mnie za tyłek.

– Brzmi romantycznie. – Podnoszę patyk i udaję, że to piszczel szklarska, wydmuchuję z niej stopione gwiazdy.

– Było romantycznie – mówi Ed, patrząc, jak przykładam patyk do ust. – Nie

zrobiła mi quizu z wiedzy o kulturze i nie walnęła mnie w nos z powodu błędnej odpowiedzi.

Wydmuchuję złoty ocean ze szkła. Niebo. Kilka chmur.

– Widzę, że Beth to ideał dziewczyny. – A niech to.

– Nie mówiłem, że ma na imię Beth.

– Wszystkie dziewczyny, które łapią facetów za tyłek, mają na imię Beth. –

Próbuję zachowywać się tak, jakbym wcale nie powiedziała niczego głupiego. Próbuję. Dalej próbuję. Nie. Nic z tego. W myślach przepraszam wszystkie laski imieniem Beth.

– A wszystkie dziewczyny o imieniu Lucy łamią facetom nos?

– Jesteś znacznie rozmowniejszy niż dwa lata temu. Nie wiem, czy mi się to podoba.

– Mam zrobić unik?

Nie odpowiadam. Nie przywykłam do tego, że ktoś mnie nie lubi. Co najwyżej spotykam się z obojętnością. Chociaż trzeba sprawiedliwie przyznać, że opieram te wyniki na grupie osób, które nie zarobiły ode mnie po twarzy.

Skupiam uwagę na scenerii, pograżonych w półmroku ulicach i światłach ulicznych, które mrugają, ponieważ sieć elektryczna jest przeciążona z powodu klimatyzatorów. Patykiem rysuję brakujące elementy. Drzewo, tu i tam. Kilka robaczków świętojańskich. Cień.

– Co robisz? – pyta Ed.

– Rysuję.

Niepotrzebne mi zdolności parapsychiczne, i tak wiem, co sobie myśli. Opuuszczam patyk. Mam taką dziwną mgłę pod powiekami, jakbym znalazła się w neonowym śnie. Wczoraj też panował okropny upał, niewiele spałam. Może śpię w tej chwili, a Ed to wytwór mojej podświadomości.

Ulicą przejeżdża samochód, kilku facetów wystawia przez okno gołe tyłki. Ten widok budzi lekki niepokój, jeśli moja teoria ze snem jest prawdziwa. Leo macha.

– Koledzy? – pytam Eda.

– A coś w tym złego?

– Nie miałam tego na myśli. Faceci pokazujący gołe tyłki na ulicy są bez wątpienia bardzo inteligentni.

Unosi brwi i klepie się dłońmi po udach.

– Poplamieś się farbą – mówię.

– Pracuję w sklepie z farbami.

– No tak. To tam poznałeś Shadowa? Kupuje u ciebie?

– Pracuję w miejscu, do którego przychodzą starsze panie, żeby dobrać farbę do narzuty w kwiaty. Myślisz, że Shadow z nimi gawędzi, kupując spreje? Co ty w ogóle wiesz o takich gościach jak on?

– Wiem trochę na temat graffiti – odpowiadam. Brzmie jak starsza dama wyznająca, że lubi słuchać hip-hopu.

Ed się śmieje, krótko, zaraz przestaje.

– Dobra, nie wiem, gdzie on kupuje farby, nawet nie wiem, co nazywasz farbą. Wiem tylko, że podoba mi się jego sztuka. Czasem jadę pociągiem, który mija jakieś miejsce, syfne i zarośnięte trawą, i nagle pokazuje się graffiti przedstawiające ocean. Nagle pośród starych fabryk otwiera się bezkres oceanu.

Zerkam na niego, spodziewam się, że znów się zaśmieje. On jednak patrzy prosto przed siebie, jakby z całych sił próbował nie dopuścić do siebie mojego głosu.

Ta noc będzie należała do tych zjawisk, które zdają się trwać bez końca. Może nawet dłużej niż depilacja woskiem po zimie. Leo i Jazz rozmawiają, słyszę ich słowa sypiące się na ulicę. Przynajmniej dla Jazz czas będzie płynął inaczej. Bo przez ten tydzień między chwilą, kiedy Ed się ze mną umówił a naszym spotkaniem, świat wydawał się rozgrzanym szkłem, a ja cieszyłam się, że jestem w nim uwięziona.

Ed nadal uderza dłońmi o uda i nadal nic nie mówi. Docieramy do stacji. Dylan zatrzymuje się i pokazuje na niebo. Dopiero po chwili dociera do mnie, co chce nam pokazać. Mam ochotę wyciąć ten widok i przyciągnąć bliżej do siebie.

– To Shadow? – pyta Jazz. – Podoba mi się.

– Rzeczy Poety też ci się spodobają – mówi Leo. – Zwykle pracują razem.

Ed rzuca mu kolejne mordercze spojrzenie. Leo odpowiada szerokim uśmiechem. Dylan drga. W mojej głowie pojawia się myśl, że coś się dzieje, i wiem, że Jazz słyszy moje myśli, ponieważ spogląda na mnie z powagą i wydmuchuje w moją stronę balon z gumy.

– Dziwnie się zachowujecie, natychmiast przestańcie – mówi Daisy. – Boję się.

Słysząc komunikat, że pociąg spóźni się pięć minut. Wszyscy idą na peron, a ja jeszcze zostaję. Na murze w oddali widnieje dzieło Shadowa, oświetlone blaskiem z wieży. Przedstawia nocne niebo, rozarte na brzegach, tak że widać mur pod spodem. Po niebie latają malowane ptaki, do linii, w której niebo przechodzi w cegłę, tam zawracają. Ich pióra lśnią. Księżycowe ptaki uwięzione w murze. Nieskalane światem – z tego miejsca wydają się piękniejsze niż te prawdziwe, które fruwać dokoła nich.

Wyobrażam sobie, że potrafię wydmuchać szklane ptaki, które tak wyglądają. Wyobrażam sobie instalację z setek ptaków o barwie księżyca, zwisających z sufitu na wysokości talii, oświetlonych od spodu. Ludzie mieliby wrażenie, jakby znaleźli się w niebie.

Odwracam się i widzę, że Ed na mnie patrzy.

– Chodźmy – mówi. – Pociąg wjeżdża.

ED



Namalowałem te ptaki już jakiś czas temu, wczesnym rankiem, w drodze do pracy. Światło wstające nad budynkami płonęło za zasłoną nocy. Nie musiałem wysoko się wspinać. Usiadłem na ogrodzeniu, w towarzystwie kilku prawdziwych ptaków, które przycupnęły rządkiem obok mnie i namalowałem wszystko tuż nad poziomem swoich oczu. Najtrudniej było utrzymać równowagę. Przez cały czas jedna z wron przeraźliwie się śmiała, a kiedy robiłem ostatnią kreskę, zerwała się do lotu, przefrunęła wzdłuż muru i wyżej, do nieba. Zatoczyła koło, jakby mówiła: widzisz? To łatwe, tylko musisz wiedzieć jak.

Zdaje się, że sztuka to jedyna rzecz, jaką potrafię. Słowa, szkoła – nigdy nie zdołałem tego ogarnąć. Siedziałem w klasie, próbując odciąć się od dźwięków przesuwanych krzeseł i głosów innych dzieciaków. Próbując wybić tunel wokół głosu nauczyciela, by docierał do mnie czysty i wyraźny. Przeważnie się nie udawało. Słyszałem wszystko, więc nie słyszałem nic. Jakbym stał w miejscu, gdzie wszystkie dźwięki mają identyczne natężenie i nie da się ich rozdzielić. Czułem się, jakby w mojej głowie było mnóstwo drzwi, ale ja mogłem otworzyć tylko te, przez które wpadał dźwięk. Pozostałe, które mogłyby wpuścić do środka coś innego niż hałas, były zamknięte na klucz.

Gdyby nie Leo, nie dotarłbym do dziesiątej klasy. Pomagał mi przy pracach domowych, a ja zapewniałem mu miejsce, w którym mógł pomieszkiwać, żaden z nas nie musiał wiedzieć dlaczego. Poszedłem do niego tylko raz, w piątej klasie. Wyszedł, a zza jego pleców napływały fale muzyki i wrzasków. Kiedy myślę o tym dniu, słyszę w głowie zoo. Dzikie zwierzęta wyrwały się z klatek. Nie rozmawialiśmy o tym, co słyszałem. Poszliśmy stamtąd.

Został na noc u mnie. Już zasypiałem, kiedy zaczął mówić. O tym, jak nie cierpi smrodu piwa. Jak mu się podoba w moim mieszkaniu, bo jest tak cicho, a moja mama zawsze zagląda do mnie przed zaśnięciem.

– Każe mi tańczyć do starych przebojów – powiedziałem. – Ciebie też zmusi.

– Nic nie szkodzi. Nigdy nie krzyczy. I kupiła mi łóżko.

– Używane.

– No i co z tego?

Zapytałem go, jak to jest mieć tatę. Odparł, że nie jest ważne, kogo się ma, byle by był to ktoś dobry. Spytał, gdzie jest mój tata. Powiedziałem, że uciekł. Wymienialiśmy sekrety w ciemności i z każdą chwilą ten jeden, który chciałem wyznać zbliżał się coraz bardziej do powierzchni i w końcu wyskoczył. Powiedziałem mu o drzwiach w swojej głowie, i o tym, że nie jestem w stanie dokończyć pracy zadanej na przyszły tydzień.

Mamie nigdy nie mówiłem. Zorientowała się, że dobrze radzę sobie ze sztuką, ale nie z matematyką czy angielskim, nie należała jednak do matek, które wkurzają się za kiepskie stopnie. Gdybym jej powiedział, jak jest, zaczęłaby się martwić. Albo jeszcze gorzej, poszłaby do szkoły porozmawiać z nauczycielami.

Leo nie robił z tej sprawy wielkiego problemu. Następnego dnia, zanim poszedł do domu, poprosił, żebym mu pokazał, co do tej pory zrobiłem. Poprawił błędy, ale niczego nie zmienił. Po prostu sprawił, że wypracowanie dało się czytać. Od tej pory postępował tak ze wszystkimi kolejnymi i nikomu słowem o tym nie pisał.

Rzeczy, które maluję, wychodzą prosto z mojej głowy. Nie trzeba poprawiać błędów. Wiem, co opowiadają ludzie, jakie mają odczucia, malując w nielegalnych miejscach. Leo mówi, że ogarnia go momentalny strach, wybiega z serca i rozchodzi się do wszystkich miejsc, w całym ciele. Ja maluję, żeby pozbyć się myśli. Żeby uspokoić wszystko w środku.

Lucy patrzy na ptaki. Ja patrzę na nią i próbuję zgadnąć, o czym myśli. Pewnie marzy o facecie, który nie istnieje. Który wylewa ocean ze swojej puszkii i słowa z ust, mówi rzeczy, które ona chce usłyszeć. Ciekawe, jak wygląda Shadow w jej wyobraźni. Jak brzmi. Lucy odwraca się i mnie przyłapuje.

– Chodźmy – mówię. – Pociąg wjeżdża.

Tak, pociąg wjeżdża, a ty jedziesz na imprezę i będziesz szukać gościa,

którego nigdy nie znajdziesz. Który istnieje w twojej głowie, nie gościa, który to namalował. Nie tego, którym jestem.

Pociąg pędzi, świat za oknem trzęsie się i zamazuje. Jazz i Leo zajmują dwa miejsca po lewej stronie od drzwi. Daisy i Dylan dwa po prawej. Dla mnie i Lucy nic nie zostało, więc kołyszymy się wraz z ruchem pociągu, słuchając obu rozmów.

– Założę się, że w pociągach na linii Camberwell jest klimatyzacja – mówi Jazz. – Gdyby chociaż zrobili okna, które się otwierają.

– Dzieciak wystawia głowę i bam – odpowiada Leo. – Krwawa jatka.

– Kto jest tak głupi, żeby wystawiać głowę z pędzącego pociągu? – pyta Jazz.

– Moim zdaniem byłoby świetnie, gdybyś to zrobiła – mówi Dylan do Daisy, a ona ślini palec i pisze na szybie *kretyn*.

Lucy się śmieje, a ja mimo woli jej wtóruję. Kołyszymy się obok siebie, pociąg podskakuje, zmieniając tor, by pojechać dalej na południe. Za oknem widzę płomienie buchające z rafinerii i półksiężyc wiszący w miejscu, gdzie go wcześniej nie było. Przypomina mi graffiti, które kiedyś zrobiliśmy z Leo. Księżyc przecięty liniami wysokiego napięcia. *Księżyc w pierdłu*, napisał Leo.

Zanim go namalowałem, rysowałem go w swoim szkicowniku. Chciałem, żeby przywodził na myśl fantastyczne krajobrazy Dalego, które widzieliśmy z Bertem w galerii. Tamtej nocy nie mogłem wyrzucić z myśli tych wodnistych obrazów. Przyśnił mi się księżyc schwytyany między cienie.

– Dlaczego rzuciłeś szkołę? – pyta nagle Lucy.

– Bałem się, że znów mnie pobijesz.

Pociąg przystaje, do środka wpychają się ludzie. Nie protestuję, gdy kilkoro staje między nami, dzięki temu na razie nie będę musiał odpowiadać na żadne pytania. Beth też spytała mnie raz o szkołę. Odparłem, że dostałem propozycję pracy i chciałem dokładać się do czynszu. To było tylko pół prawdy, ta lepsza połowa. A ta zła – przyłapano mnie, jak wyciągałem z gaci gotowe wypracowanie.

Po raz pierwszy pisaliśmy wypracowanie w klasie. Wcześniej mówiłem Leo, co chciałbym wyrazić, a on to pisał. Ale od dziesiątej klasy wszystko mieliśmy pisać na miejscu, żeby przygotować się do egzaminów końcowych. Miałem przerabane.

– Wcale nie – odparł Leo. – Napiszę, co chcesz powiedzieć, a ty podmienisz kartki.

Wszystko skończyłoby się inaczej, gdyby tego dnia pracowała pani J. Ale zachorowała i na zastępstwo przyszedł Fennel. Przyłapał mnie w chwili, gdy wyjmowałem kartkę ze spodni, i wpadł w szał. Jakby to był cios wymierzony bezpośrednio w niego. Powiedział głośno:

– Jeśli ktoś jeszcze trzyma mózg w spodniach, to zapraszam, może usiąść tu z przodu koło mnie. – Co za palant.

Do końca lekcji nie spojrzałem na Lucy. Czuję jej wzrok i chciałem się odwrócić, dać jej znak, że nie jestem oszustem, ale nie mogłem nic wymyślić, bo faktem było, że chwilę wcześniej chciałem podłożyć gotowe wypracowanie. Wciąż miałem na twarzy świeże ślady po naszej randce i żeby nie myśleć o jej oczach, myślałem o rzeczach, które zamierzałem namalować. Wtedy wymyśliłem te ptaki. Przefrunęły przez moją głowę i rozbiły się o ściany.

Kiedy rozległ się dzwonek, Lucy wyszła wraz z całą resztą, a Fennel zaprowadził mnie do dyrektora. Na korytarzu jakiś dzieciak wykrzywił się za jego plecami jak clown, udając, że wali gruchę. Wiedziałem, że za sekundę będzie wiedzieć cała szkoła. Kiedy wspominam tamten dzień, widzę tylko clowny walące gruchę.

W gabinecie Fennel wpadł na genialny pomysł. Kazał mi usiąść i napisać: „To nie jest moje wypracowanie”, żeby porównać charakter pisma. Leo od wielu lat uczęszczał do niego na zajęcia ze stolarki, więc od razu się zorientował. Ale to ja napisałem to wypracowanie, więc zasugerowałem, gdzie może je sobie wsadzić, do czasu aż wróci pani J. Moja propozycja niezbyt przypadła mu do gustu. Zawołał Leo.

– To nie moje pismo – powiedział Leo – tylko Eda. – Siedział z wyciągniętymi przed siebie nogami, ramiona trzymając splecione na piersi, i uporczywie wpatrywał się w Fennela. Obaj zostaliśmy zawieszani, głównie za propozycję dotyczącą miejsca, w którym Fennel może przechować wypracowanie, niż za cokolwiek innego.

Kiedy wróciłem, mama siedziała przy stole. Kończyła zmianę dopiero o piątej, więc od razu się domyśliłem, że do niej dzwoniли. Zrobiła mi kanapkę, a kiedy zjadłem, powiedziała:

– No dobrze. Czas na twoją wersję zdarzeń.

Mogłem jej opowiedzieć o swoich problemach, wyjaśnić, dlaczego to zrobiłem, ale było za późno. Już postanowiłem, że nie wrócę do szkoły, i nie chciałem, żeby próbowała mnie przekonać.

– Nie lubię szkoły, to wszystko. Nie chcę się dalej uczyć.

– Tak pięknie rysujesz – odparła. – Sądziłam, że chcesz zostać artystą.

– Nie wszyscy artyści chodzą do szkoły.

– Ci bystrzy chodzą.

– No to pewnie nie jestem bystry.

– Nieprawda. Jezu, przypominasz mi o tym za każdym razem, kiedy się kłócimy. Dokończ dziesiątą klasę, a potem, jeśli wciąż będziesz nieszczęśliwy, rozważymy inne opcje.

Udałem, że się zgadzam, ale nie wróciłem. Wiedziałem, że mama w końcu się dowie, ale na razie zamierzałem unikać tematu. W ciągu dnia szukałem błękitów w sklepach z farbami, a w nocy malowałem nieba. W sklepie Berta

znalazłem odcień zbliżony do ideału, tyle że w zwykłej puszcze, nie w sprayu, więc musiałem ciągle wracać po więcej.

– Mam nadzieję, że nie jesteś jednym z tych delikwentów, którzy regularnie niszczą mi ścianę – powiedział któregoś dnia.

– Gdybym był jednym z nich, to raczej bym się nie przyznał – odparłem, przekonany, że zaraz mnie wywali.

– Dostałeś te śliwy pod oczami, bo za dużo gadasz?

– Dostałem te śliwy, bo za mało gadam. – Bert zaczął się śmiać, więc opowiedziałem mu o Lucy. Dalej się śmiał, a wtedy przyszła Valerie i Bert powiedział, żebym został na lunch.

– Nie pomażę ci ściany farbą z puszek – oznajmiłem, kiedy jedliśmy. – Przestań sprzedawać spreje, to ludzie nie będą ci pisać na ścianie.

– Zamawiam je dla pracowni artystycznej, która mieści się kawałek dalej przy tej samej ulicy. – Przypatrywał mi się przez chwilę. – Czemu nie jesteś w szkole?

– Rzuciłem.

– Marne widoki na przyszłość.

– Mam przyszłość w sztuce – odparłem, wyjmując szkicownik.

Zaczął go przeglądać, powoli obracając kartki starymi palcami. Po chwili wyjął swój szkicownik i mi go podał.

Gadaliśmy aż do zamknięcia sklepu, następnego dnia przyszedłem na lunch i jeszcze następnego również. Pod koniec tygodnia stałem się dywersantem z rozległą wiedzą z dziedziny dekoracji wnętrz i zniżką na farby.

Poszedłem do domu i oznajmiłem, że dostałem pracę. I że nie wracam do szkoły. Zanim mama wyraziła zgodę, poszła pogadać z Bertem. Siedliśmy we czwórkę na zapleczu, ja, ona, Bert i Valerie.

– Powiem to wprost – zaczęła mama. – On jest zbyt inteligentny na tę pracę.

– Wiem – odparł Bert. – Wolisz, żeby wyładował na ulicy?

Zabrakło jej argumentów. W drodze do domu powiedziałem, że będę płacił połowę czynszu.

– To nie jest twoim obowiązkiem. Zatrzymasz każdy zarobiony cent.

Po tygodniu w sklepie zjawiała się również pani J. Leo powiedział jej, gdzie mnie znajdzie. Wkroczyła do środka i udawała, że ogląda farby. Kiedy się przywitałem, zrobiła wielkie oczy.

– Ed, co za niespodzianka. Cieszę się, że cię spotkałam. Czytałam twoje wypracowanie. – Nawet nie musiałem tłumaczyć, że to ja je napisałem.

Bert zrobił jej herbaty i przysunął krzesło. Rozmawialiśmy o barwach na obrazach Rothki, o tym, że zabierają człowieka w inne miejsce, gdzie wszystko jest mglistym niebem.

– Mógłbyś wrócić – powiedziała. – Pomogę ci, a w szkole są też inni ludzie,

którzy udzieliliby ci wsparcia.

– Dziękuję, ale nie. Tutaj mam wszystko, czego mi potrzeba.

– Teraz – odparła, a ja wzruszyłem ramionami. Wiedziałem, o co jej chodzi. Już wtedy szkicowałem autostrady, które nie miały końca, lecz Bert był dobrym szefem, a ja uznałem, że taka jest cena za poczucie bezpieczeństwa.

– Miał pan szczęście – powiedziała do niego pani J., wychodząc.

– Nie musi mi pani mówić – odparł.

Pociąg się zatrzymuje, ludzie wysiadają. Lucy nie rusza się ze swojego miejsca. Między nami już nikt nie stoi, ale Lucy nie powtarza pytania. Patrzy za okno, może na księżyc wiszący na niebie, może na buchające płomienie i mówi:

– Podoba mi się to, że niebo donikąd nie zmierza. Na tym graffiti. Podoba mi się, że ptaki chcą się wydostać, ale nie mogą. Podoba mi się połysk farby w ciemnościach. – Pociąg znowu rusza, a ja trzymam się mocno, żeby nie stracić równowagi.

Impreza odbywa się na Mason Street, kilka minut drogi od dworca. Leo jednak wybiera dłuższą drogę, wiem, że chce pokazać Jazz jeden ze swoich wierszy zatytułowany *Rzeczy za dnia*.

Jazz mówi, że brzmi jak piosenka, przesyła esemes do samej siebie, żeby zapamiętać niektóre linijki. Leo uśmiecha się szeroko.

– Widzisz? Mówiłem, że jego twórczość ci się spodoba.

Rzucam mu spojrzenie pod tytułem „co ty wyprawiasz?”.

– Taki jest plan – odpowiada samym ruchem warg. Ale nie pokazał jej tego wiersza po to, by myślała, że napisał go jakiś inny facet. W którymś momencie tej nocy, kiedy będzie chciał ją pocałować, nie zdoła zachować tajemnicy, powie, że on to napisał.

Wiersz jest wyjątkowo długi jak na Leo. Przeczytał mi go przed umieszczeniem na murze.

– Kiedy go stworzyłeś? – spytałem.

– Jak siedziałem na stacji benzynowej. Czekałem na Jake’a i wtedy ten gość do mnie zagadał.

– Nie przypuszczałam, że będzie taki... – Jazz urywa.

– W stylu Henry’ego Rollinsa? – podpowiada Leo.

– ...dobry – kończy Jazz.

Po raz pierwszy tego wieczoru uśmiech znika z jego twarzy.

– Po prostu pomyślałam, że jeśli ktoś nie chce się podpisać pod swoją twórczością, to raczej nie może to być nic dobrego.

Leo zaczyna tłumaczyć, że ci dwaj zapewne nie chcą zdradzać swojej tożsamości. Przyspieszam kroku, zostawiam go z tym samego. W tej okolicy trzeba chodzić szybkim krokiem.

POETA



ZADANIE CZWARTE
POEZJA 101
UCZEŃ: LEOPOLD GREEN
Rzeczy za dnia

Na stacji benzynowej
pracuje taki facet
we włosach ma lwie ogony
na skórze sprośne słowa
nie wie kiedy to się stało
ale stracił wszystkie rzeczy
które dzieją się za dnia
Krawaty i koszule
i pastowane buty
i myśli jak chmury
co w bluesie za dnia dryfują
uśmiechy podróżnych w słońcu

wracających do domu
telewizję w weekend
przez telefon rozmowy
Facet płacze i ciemność
wypełnia jego usta
nadzieja powoli znika
zaciera się w nocnej pustce.
We włosach ma lwie ogony
na skórze sprośne słowa
nie wie kiedy to się stało
ale stracił wszystkie rzeczy
które dzieją się za dnia



ED

Impreza już wylewa się przed dom, a jest dopiero za piętnaście jedenasta. Paru kumpli Jake'a woła coś, kiedy ich mijamy. Leo wita się z nimi i rusza przodem.

Kiedy wchodzisz na taką imprezę, to tak jakbyś trafił w środek zwariowanego snu. Wszyscy gadają rzeczy pozbawione sensu, kapie z nich alkohol. Cały dom wibruje muzyką i ukropem, ludzie, którzy rano nie będą o sobie pamiętać, teraz poznają się całkiem blisko pod osłoną ciemności. Wszyscy są od nas starsi i chociaż większość znam, szybko sprawdzam potencjalne drogi ucieczki. Od razu mi lepiej.

– Co to za impreza? – pyta Lucy, patrząc na grupę facetów, którzy wyglądają, jakby zeszli z planu *Skazanego na śmierć*.

– Fajna – odpowiada Leo. – Baw się. Musimy pogadać z moim bratem, potem was znajdziemy.

– Fajna? – woła Lucy do Jazz. – Jestem prawie pewna, że tamtego gościa widziałam w zeszłym tygodniu w programie o przestępcach. – Zgadza się. Widziała.

– Nie wpadaj w paranoję – krzyczy Jazz w odpowiedzi, po czym ciągnie ją

na parkiet. Daisy rusza za nimi, posyłając całuski znajomym. We trzy zaczynają poruszać się do muzyki, Lucy wygląda, jakby miała w głowie dodatkowy rytm, który tylko ona może usłyszeć. Spoglądam na Leo rozmawiającego z Jakiem i myślę o tym, żeby ewakuować się jednym z wyjść, znaleźć sobie mur i namalować dziewczynę otoczoną dzikimi bestiami.

– Ed – woła Leo. Podchodzę, żeby przywitać się z Jakiem. Potem zostawiam ich samych, żeby omówili interesy, i podchodzę do Dylana. Razem patrzymy na tańczące dziewczyny. Pojawia się więcej ludzi, zabierają powietrze, zostawiają tylko ciemność i pot.

– Martwisz się? – pyta Dylan. – Myślisz, że coś pójdzie nie tak?

– Zgadza się. Gdybyś miał chociaż pół mózgu, nie wchodziłbyś w to.

– Ty masz pół mózgu – mówi Dylan.

– Mam cały, gwoli informacji. Ale muszę płacić rachunki, a straciłem pracę.

– U mnie rodzice płacą rachunki.

– Szczęściarz.

– Nie całkiem. Nie dadzą mi kasy na wycieczkę do Queensland, bo wydałem wszystko na konsolę.

– To znajdź pracę w McDolandzie, debilu.

– Już mam. Ale nie mam czasu tak długo oszczędzać. Daisy pojedzie beze mnie, będzie tam sama z surferami. Sam wiesz, czego chcą takie typy.

– Wysokiej fali? – pytam, przyglądając się Lucy, która wygina ciało do swoich dodatkowych rytmów. Gdybym ją teraz namalował, byłaby zrobiona z wody i nieba.

– Zgadza się – mówi Dylan, wpatrując się w Daisy. – Powinni znaleźć własną falę.

Patrzę dalej.

– A jeśli surferzy są w jej typie? – pyta Dylan.

– To masz powód do zmartwienia. Surferzy nie noszą koszul w kratę, nie prasują dzinsów i nie golą się dwa razy dziennie.

– Lubię schludnie wyglądać.

– W porządku. Ale nigdy nie będziesz fajnym kolesiem.

– „Koleś” to beznadziejne określenie – stwierdza Dylan.

Kiwam głową i dalej patrzę na dziewczyny, a Dylan opowiada, że w przyszłym roku robi kurs księgowości, a Daisy zamierza studiować architekturę i kiedyś będą prowadzić własną firmę. On zajmie się cyferkami, a Daisy projektowaniem domów.

– Bardzo lubi schody – mówi. – Chce tworzyć domy, w których główną rolę odgrywają schody.

Uważam, że Daisy zawsze była jedną z najbardziej interesujących dziewczyn z grupy wagarowiczów. Mówię:

– Nie dokonasz tego wszystkiego z wyrokiem na koncie. Nie bierz tej roboty. Nie warto tak ryzykować.

Łatwo powiedzieć, jak stwierdziłby Bert. Jego głos brzmi wyraźnie nawet tutaj, pośród dudniącej muzyki i wszech- obecnego dymu. Nie możesz teraz już nic dla mnie zrobić, Bert. Nie żyjesz, a ja leżę.

W dniu, kiedy zmarł, namalowałem dla niego graffiti. Nie na sklepie, boby się zdenerwował, tylko na Edward Street niedaleko portu, gdzie wygradzili obszar, na którym można legalnie uprawiać sztukę.

To nie było nic szczególnego, po prostu jego portret, miał na nim taki wyraz twarzy jak w chwilach, kiedy pił piwo czy uczył mnie czegoś nowego. Ale za to dużych rozmiarów, żeby musieli zauważyć go wszyscy pasażerowie przejeżdżających obok pociągów.

Któregoś popołudnia zaprowadziłem tam Valerie. Tego dnia spędziliśmy dużo czasu w towarzystwie starych oczu Berta. Valerie przeciągała dłońią po jego twarzy i krzaczastych brwiach, a ja patrzyłem na rzekę. Poziom wody znacznie opadł, od pewnego czasu deszcz zdawał się należeć do świata legend.

– Muszę sprzedać sklep – oznajmiła, a mnie zrobiło się żal bardziej jej niż siebie. – Sklep żelazny z sąsiedniej dzielnicy od lat próbował nas kupić, ale Bert ciągle odmawiał. Chciał, żebyś ty odziedziczył interes.

– I tak nie potrafiłbym go prowadzić. – Nie odrywałem oczu od rzeki.

– Pewnie, że byś potrafił. Ale potrzebuję pieniędzy. To będzie szybka sprzedaż, przejmują niemal natychmiast.

Wyobraziłem sobie sklep bez Berta i pojawiła się taka myśl, wrażenie, jakby moje wnętrze zalewała woda.

Wiedział o mnie wszystko. Wiedział, że ledwo potrafię czytać. Wiedział, że ja to Shadow, jeszcze zanim mu powiedziałem. Domyślił się zaraz w pierwszym tygodniu mojej pracy. Przyszedł do sklepu ze zdjęciem jednego z moich grafów.

– Dostarczałem wczoraj zamówienia i zobaczyłem coś takiego – powiedział. – Tak mi się spodobało, że cyknąłem fotkę, żeby pokazać Valerie.

Włepiłem wzrok w zdjęcie. Namalowałem to kilka tygodni wcześniej: ściana deszczu siekająca powierzchnię zatoki, na powierzchni wody unoszą się łódki, a w łódkach siedzą myszy.

– Woda wygląda tak realistycznie, jakby się poruszała – powiedział Bert. – Fale zaraz zmyją mur, zwałą cię z nóg. Bardzo mi się to podoba. Uważamy z Val, że artysta, który to zrobił, powinien utrzymywać się ze swojej sztuki.

Patrzyłem, jak przeciąga palcem po falach.

– To moje – wyznałem.

Trzepnął mnie zdjęciem po głowie.

– Wiem. Oprawię to zdjęcie w ramki. Val kazała ci przekazać, że powiesi je nad kominkiem. Oraz że jeśli namalujesz coś na ścianie, która jest czyjaś

własnością, to nigdy więcej nie włoży piwa do twojej paczki z lunchem.

– Zrozumiano.

Zapytał jeszcze:

– Wiesz, że myszy potrafią pływać? Najpierw panikują, ale dają sobie radę.

– Zapamiętam.

– Zapamiętaj, Shadow.

Potem często odwiedzałem portret Berta. Przeważnie siadałem tam z piwem i opowiadałem mu o miejscach, w których szukam pracy, o dziełach sztuki, które widziałem. Ale wszystko wskazuje na to, że pracę nieprędko dostanę, więc parę tygodni temu przestałem tam chodzić. Pewnych rzeczy te stare oczy nie powinny oglądać.

– Dobra – mówi Leo. – O pierwszej zabieram vana z Montague Street. O trzeciej ruszamy do szkoły. Strażnik robi obchód o drugiej i czwartej trzydzieści. Dylan zostawił wczoraj okno otwarte, więc jeśli szczęście nam dopisze, musimy tylko załadować do vana komputery i inne cenne rzeczy i zawieźć wszystko do Jake'a.

– Co z alarmem? – pytam.

Leo wyciąga z kieszeni kawałek papieru.

– Wszystko pod kontrolą.

– Jak Jake zamierza to zrobić?

– Nie zadaję pytań.

Gdybym ja zadawał pytania, spytałbym, dlaczego kradniemy akurat ze skrzydła, w którym odbywają się zajęcia ze sztuki, gdzie uczy fajna kobieta, która rozmawia ze mną o malarstwie Rothki. Oto jest pytanie, powiedziałaby Bert.

– Muszę się przewietrzyć – mówię do Leo i przepycham się przez tłum aż do tylnego wyjścia. Zastawia je kosz pełen butelek, więc kieruję się do drzwi frontowych, ale stoją w nich facet z dziewczyną, nie da się przejść. Stukam faceta w ramię, ale się nie rusza, nie ruszyłby się pewnie nawet, gdyby wybuchł pożar.

Przypominam sobie, że są jeszcze okna, więc wracam do salonu, rozglądam się. Pod oknem stoi sofa, a na niej siedzi Lucy, odpoczywa po tańcach i rozmawia z Gorylem, facetem, który zasłużył na swoje przezwisko, ponieważ jest strasznie owłosiony i ma tak długie ręce, że knykциями szoruje po ziemi. Szczerzy się od ucha do ucha, przysuwa się bliżej, Lucy jest uwięziona, ze wszystkich stron otacza ją masa ludzkich ciał. Patrę na nią, na niego. Patrę na okno. Przypominam sobie naszą randkę. Jeśli facet będzie za bardzo chciał się zaprzyjaźnić, zawsze może mu złamać nos. Wyskakuję przez okno, ląduję na trawie, obracam się. Kogo ja chcę oszukać? Chcę zobaczyć, jak łamie mu nos.

Opieram dłonie na parapecie i przyglądam się, jak walczy.

– To ile masz lat, kotek? – pyta Goryl.

– Wystarczająco dużo, by nie robić głupstw – odpowiada Lucy, patrząc na

jego ramiona.

– Podoba ci się to, co widzisz? – pyta Goryl, dotykając jej nogi. – Powinniśmy później to zrobić. Ty i ja.

– Zapomniałeś przejść proces ewolucji? – pyta Lucy, próbując wstać z sofy. Śmieję się, bo podoba mi się jej wojownicza postawa, kiedy to nie ja padam jej ofiarą. Podoba mi się tak bardzo, że podciągam się i wskakuję z powrotem do środka.

– Ona jest ze mną, Goryl.

– Nie nosi na sobie twojego podpisu – mówi Goryl. Lucy ma wściekłą minę, Goryl wygląda, jakby chciał się bić, a ja wiem, że nie poradzę sobie z nimi dwojgiem naraz, więc postanawiam szybko zakończyć sprawę.

– Uwierz mi. Poszukaj sobie innego towarzystwa. To ona złamała mi nos.

– O kurwa – mówi Goryl. – Jest twoja.

Goryl sobie idzie, a ja siadam na sofie.

– Słyszałaś? Jesteś moja.

Pstryka bransoletką.

– Jakiś gość w kuchni robi tatuaże. Może chcesz, żeby wydzięrgał na mnie twój podpis?

– Może później.

– Wyszedłeś przez okno? – pyta.

– Wszystkie inne wyjścia są zablokowane. – Zastanawiam się, o czym tu gadać. Trudno prowadzić niezobowiązującą pogawędkę, kiedy otacza człowieka morze par, które powoli tatuują sobie nawzajem swoje imiona na skórze. Lucy nie może oderwać od nich oczu, a to kiepski pomysł na takiej imprezie.

– Nie patrz – mówię.

– To jak zaćmienie słońca. Wiem, że mnie oślepi, ale muszę patrzeć.

– Jeśli nadal będziesz patrzeć na tę dziewczynę, to ona cię oślepi.

– Przydałaby ci się kamera – mówi dziewczyna do Lucy.

– Nie, przydałby mi się wąż strażacki.

– Dobra. – Zakrywam Lucy oczy. – Już nikt nie patrzy.

Dziewczyna wraca do swoich zajęć. Na wszelki wypadek trzymam dłoń tam, gdzie ją położyłem. Bardzo blisko ust Lucy.

Patrzę na nią, żeby mnie nie kusilo, by gapić się na innych. Porusza głową i stopami do rytmu muzyki.

– Dobrze się bawisz? – pytam.

– Teraz już lepiej. Kiedy się nie widzi, wszystko wygląda znacznie lepiej.

Zakrywam oczy wolną ręką.

– Masz rację.

– Czy ktoś żuje gumę? – pyta Lucy.

– Nie-e. To ty tak ciężko dyszysz?

- Próbuję wywołać w sobie doświadczenie eksterioryzacji.
- Nie zostawiaj mnie samego – mówię i śmiejemy się oboje. W tych ciemnościach mogłaby być inną dziewczyną, a ja mógłbym być innym facetem. Moglibyśmy być dwojgiem ludzi płynących pośród malowanej muzyki.
- O czym myślisz? – pyta.
- Że ta impreza jest do niczego.
- Shadow na pewno nie chodzi na takie imprezy.
- Shadow chodzi dokładnie na takie imprezy – odpowiadam, ale urywam, nie chcę zgłębiać tego tematu, bo czuję, jak jej ciało obraca się w moją stronę, jakby jego imię było słońcem.
- Zdaje się, że dobrze go znasz – mówi.
- Nie bardzo. – Cieszę się, że chowamy twarze w dłoniach, w ten sposób łatwiej kłamać. – Od czasu do czasu gdzieś mi tam przemyka.
- Mało brakowało, a bym go zobaczyła. Jego i Poetę – mówi, a ja chciałbym powiedzieć: Widziałas go, tylko go nie chciałaś.
- Serio?
- Aha. Dzisiaj wieczorem malował niedaleko pracowni szklarskiej, w której pracuję. Mój szef przysłał mi esemes. Dotarłam na miejsce pięć minut za późno.
- Dziwne, widuję tego starszego gościa, ale Lucy nigdy. Czasem przyglądam mu się przez okno, jak topi szkło, jak zmienia jego kształt. Chętnie bym ją zapytał, co konkretnie robi w tej pracowni, ale nie chcę zdradzić, że tam byłem.
- Twój szef dobrze im się przyjrzał? – pytam.
- Powiedział, że są młodzi i niechlujni.
- Shadow wcale nie wyglądał niechlujnie, kiedy ostatnio go widziałem. – Ten starszy facet wygląda bardziej niechlujnie niż my.
- Jak to możliwe, że już nie jesteś na mnie wściekły? – pyta Lucy.
- Kto mówi, że nie jestem?
- Nie próbujesz mnie udusić.
- Za duży tłum. Mnóstwo świadków. – Po namyśle stwierdzam, że kiedy na nią nie patrzę, rzeczywiście nie jestem aż taki wściekły. Przez chwilę milczymy, muzyka krąży wokół nas. – Nie możemy tak siedzieć – mówię po trzech utworach.
- Martwisz się, że zrobi się niezręcznie? – pyta.
- Bardziej o to, że ktoś nam ukradnie portfele.
- Jazz bardzo się cieszyła, że idziemy na tę imprezę. Powiedziała, że to idealne miejsce na zbieranie materiału do egzaminu na studia aktorskie. Ale ma przedstawić monolog szekspirowski, więc naprawdę nie rozumiem, jakie inspiracje może znaleźć tutaj.
- Gdzieś niedaleko rozbija się butelka.
- Jeśli zostanie tu wystarczająco długo, jest szansa, że kogoś zabiją – odpowiadam. Lucy znów się śmieje, a mnie podoba się to coraz bardziej. Jakbym

to ja ją rozśmieszył.

– Może pójdę już do domu. Jazz nie będzie miała mi za złe, Leo wydaje się zainteresowany. Myślisz, że jest zainteresowany?

Podoba mi się atmosfera, która zaczyna wytwarzać się między nami, nie chcę jej mówić, że jeśli chodzi o randkowanie, Leo od czasu Emmy siedzi na ławce rezerwowej. Nie wiem w sumie dlaczego. Nie zdradził, czemu go rzuciła. Ale pewnie kiedy dziewczyna, która ci się podoba, nasyła na ciebie gliny, potem wolisz zachować ostrożność.

– Może – mówię. – Tak czy inaczej, Jazz ma jeszcze Daisy. Nie wiedziałem, że trzymacie się razem.

– Od niedawna. Masz rację. Jazz ma w razie czego wsparcie. Chyba pójdę.

Od dziesięciu minut siedzimy na sofie zawieszony pośrodku niczego, a ja ani razu nie pomyślałem o tym, że jestem splukany, że straciłem Beth i że być może jeszcze tej nocy trafię do więzienia.

– Poszukajmy Shadowa – rzucam, zamykając oczy za zasłoną z dłoni. Co ty wyprawiasz? Ta dziewczyna złamała ci nos.

Każę mi czekać na odpowiedź. Najpierw chcę cofnąć to, co powiedziałem, ale potem zmieniam zdanie.

– Gdzie będziemy szukać? – pyta Lucy po chwili.

Do odważnych świat należy, mówi stary głos Berta. Odrywam dłonie od jej oczu, patrzę, jak mruga, by odzyskać ostrość widzenia.

– Mam parę pomysłów. – Opowiadam jej o graffiti w starej zajezdni i w skateparku, staram się nie zdradzić, jak mnie cieszy jej ekscytacja.

Mówi, że wróci za minutę. Patrzę, jak przebija się przez tłum, jak rozmawia z Jazz. Zastanawiam się, co ja w ogóle wyprawiam. Ale nie potrafię tego powstrzymać. Ruszam za nią i nie czekając, aż zmieni zdanie, chwytam ją za ramię i przebijamy się przez tłum w stronę okna.

Kiedy już stoimy na trawie, biorę kilka oddechów. Nagle dostrzegam Raffa z kumplami, właśnie mijają parę całującą się przy drzwiach frontowych. Cholera.

– Zapomniałem powiedzieć o czymś Leo – mówię. – Daj mi sekundę.

Włażę znowu do środka, oglądam się. Lucy patrzy w niebo, jakby z kimś tam rozmawiała.

Odnajduję Leo na parkiecie, odciągam go na bok, z dala od Jazz, Dylana i Daisy.

– Raff tu jest. Trzymaj go z daleka od dziewczyn.

– Zajmę się tym. Spokojnie – odpowiada Leo.

Proszę, by pożyczył mi dziesięć dolców. Podaje mi pieniądze i mówi:

– Widzimy się o drugiej trzydzieści?

Muzyka przechodzi w techno, tłum zmienia się w falujący trans. Musisz uciekać albo się zgodzić. Powiedz nie, poradziłby mi Bert, ale nie mogę.

– Druga trzydzieści – potwierdzam. – Pamiętaj. Uważaj na Raffa.

Znów przeciskam się przez tłum, przy oknie jeszcze oglądam się za siebie. Nie jestem całkiem pewny, ale gdybym miał zgadywać, czy Leo jest zainteresowany Jazz, to powiedziałbym, że tak.

POETA



IMPREZA

23:00

Może

Może ty i ja

Może ty i ja

Może ty i ja

ale raczej nie

Może zostanę z tobą dłużej nie tylko tę jedną noc

Może zostanę z tobą dłużej nie tylko tę jedną noc

Może zostanę z tobą dłużej nie tylko tę jedną noc

ale raczej nie

Może o niej zapomnę

Może o niej zapomnę

Może o niej zapomnę

ale raczej nie



LUCY

Czekam na Eda przed domem i po raz pierwszy tego wieczoru widzę kilka prawdziwych gwiazd, już nie muszę ich sobie wyobrażać. Małe migotliwe błyski płonące gdzieś w dali. Obrysowuję je palcem, dodaję UFO. Rodzice i ja bawimy się w dodawanie rzeczy do prawdziwego świata, kiedy naprawdę brakuje nam pieniędzy. Wyobraź sobie, co tylko chcesz, Lucy, bo zapewne nas na to nie stać. Nigdy mi to nie przeszkadzało, rodzice zawsze znajdą pieniądze na najważniejsze rzeczy, na przykład mój kurs szklarstwa.

Al twierdzi, że dzięki tej zabawie pewnie jestem lepszą artystką, ale tak naprawdę to dzięki niemu robię postępy. Na początku, jeszcze zanim nauczył mnie nazw sprzętu i właściwości szkła, kazał mi obserwować go przy pracy.

– Dwie godziny dziennie – powiedział, ale ja patrzyłam dłużej. W weekendy przychodziłam do warsztatu na ser podgrzewany palnikiem i wychodziłam tuż przed porą obiadową. W jego pracowni miodowe balony zmieniają się w meduzowate słońca. Nie chciałam stracić tych bezcennych chwil.

Ed się nie spieszy, więc kładę się na trawie. Rysuję na niebie Shadowa. Ciemne włosy, myślę sobie, niechlujny, ale jednak pod kontrolą. Niechlujny w przemyślany sposób. Widzę stary T-shirt z Ramonesami. A może T-shirt z nadrukiem własnej roboty. Rysuję chmurkę jak w komiksie i wpisuję w nią słowa

na temat sztuki.

Obok rysuję Eda, tak dla zabicia czasu. Dziwne, ale kiedy go nie widziałam, całkiem dobrze mi się z nim rozmawiało. Może na naszej pierwszej randce powinien był położyć mi rękę na twarzy zamiast na tyłku. Albo może szkoda, że oboje nie przewiązaliśmy sobie oczu. Jasne, dziwnie by to wyglądało, ale może skończyłoby się zupełnie inaczej.

Jeden z moich ulubionych obrazów to *Kochankowie* René Magritte'a. Przedstawia całującą się parę. Oboje mają głowy zasłonięte białymi chustami. Wszystko wygląda zwyczajnie: jej suknia, jego garnitur, pastelowy błękit ściany w tle. Jedyne dziwne elementy to te białe zawoje. Nie widzą się i całują się przez tkaninę. Ale może to wcale nie takie dziwne. Może w ten sposób najłatwiej zacząć.

Trochę zazdroścuję Jazz, która nie potrzebuje zasłaniać twarzy, by uniknąć zażenowania przypisanego pierwszej randce. Kiedy poszłam jej powiedzieć, że idę szukać Shadowa, obracała się wokół Leo do dźwięków disco, jakby знаła go od lat.

– Wychodzę, z Edem – wrzasnęłam jej do ucha.

– Co?

– Ed – wrzasnęłam głośniej. – Idziemy razem szukać Shadowa.

Odciągnęła mnie na bok, dalej od głośników.

– Nie masz nic przeciwko, jeśli zostanę?

Pokręciłam głową.

– Nie masz nic przeciwko, jeśli wyjdę?

– Nie wyłączaj telefonu. Wyślę ci esemes, dam znać, jak się rozwija sytuacja.

– Lubisz Leo? – zapytałam. – To znaczy, bardziej niż normalnie?

– Nie znam go zbyt długo, Luce. Bez wątplenia mam przeczucie, ale może jest fałszywe, bo to pierwszy facet od kilku miesięcy, z którym mam szansę się całować.

Pomachała i wróciła na parkiet. Zaczął się wolny utwór, Leo przez sekundę miał niepewną minę. Jazz znów zaczęła obracać się wokół niego. Jej ciało nie zdradzało najmniejszych oznak wątpliwości. Może się mylę, ale on z kolei wyglądał trochę niepewnie.

– A jeśli spotkasz Shadowa i okaże się, że wcale nie jesteś dziewczyną, którą namalował? Jeśli wcale nie jest tobą zainteresowany? – zapytała mnie kiedyś Jazz. Ta myśl pojawiała się w mojej głowie jakieś milion razy. Niektórym facetom się podobam. Innym nie. Ale mam przeczucie, że Shadow należy do pierwszej grupy.

Znajdziemy go, a on będzie malował księżycowe ptaki. Nie wiem, co powiem na sam początek. Może po prostu:

– Lubię sztukę.

– Ja też – rozlega się jakiś głos.

Oglądam się. Facet jest starszy ode mnie, może z rok czy dwa lata, ma na

sobie garnitur, ale nie taki sztywniacki, tylko fajny. W kolorze zbliżonym do srebra. Połączenie sztywnego stroju z niesforną potarganą fryzurą naprawdę działa. Rozcapierzam na trawie wszystkie pięć palców.

– Trochę tu głośno. Mogę usiąść? – pyta.

Kiwam głową.

– Też musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kładzie się obok mnie, opiera się na łokciu. Od czasu do czasu włosy opadają mu na oko, a on ruchem głowy odrzuca je do tyłu. Przyłapuje mnie, że się gapię, uśmiecha się. Ja też się uśmiecham. Patrzymy na siebie, potem w bok, a potem znów na siebie.

– Czekasz na kogoś? – pyta w sposób sugerujący, że chodzi mu o to, czy czekam na faceta.

– Na kolegę. Czekam na gościa, który ma na imię Ed. To tylko znajomy. – W razie, gdyby coś mu umknęło, dodaję: – Nie jesteśmy razem. Idziemy poszukać grafficiarza znanego jako Shadow. Znasz go?

– Nie. Ale znam Eda. Kumpluje się z Leo, prawda?

– Aha.

Przechodzi koło nas całująca się para.

– Wyglądają, jakby brali udział w zawodach sportowych – mówi. – Powinniśmy mieć takie sędziowskie tabliczki z cyframi od jeden do dziesięciu.

– Wszyscy ludzie na tej imprezie dostają bardzo wysokie oceny.

Spogląda na mnie i zaraz odwraca wzrok. Przesuwa palcem po trawie, powolnym ruchem rysuje różne kształty.

– Lubię rysować – mówi, widząc, że się gapię. – Dlaczego tak ci zależy, żeby znaleźć tego całego Shadowa?

– Podoba mi się jego sztuka – odpowiadam, a on kiwa głową. Coś się dzieje. Nie wiem co, ale coś na pewno.

– Gdzie zamierzacie go szukać?

– W starej zajezdni i w skateparku.

– Teraz idziecie?

Potakuję.

– Chcesz się przyłączyć? – Nawet nie czuję się dziwnie, zadając to pytanie.

– Chciałbym, ale nie mogę. Może później was dogonię?

Zgadzam się. Absolutnie. Tak. Och, tak. Jasne.

– Świetnie. A dokąd idziecie po skateparku?

– Może do Feast Café.

– Okej. Więc jeśli będę chciał cię znaleźć, to w grę wchodzi stara zajezdnia, skatepark i Feast. – Podnosi się i wyciąga rękę, po czym podciąga mnie do góry, tak że stoję bardzo blisko niego. – W razie czego może dasz mi swój numer telefonu.

Podaję mu, razem z imieniem, patrzę, jak wstukuje cyfry.

– Ja jestem Malcolm – mówi. – Malcolm Dove.

Dove, powtarzam w myślach. Gołąb. Ptaki uwięzione na niebie. Wcale nie jest wykluczone, że to Shadow.

– Miło cię poznać.

– Wzajemnie – odpowiada. Patrzę, jak odchodzi, wsiada do samochodu i odjeżdża. Całe szczęście, że Ed się nie spieszy. Potrzebuję chwili, żeby ochłonąć.

– Czy Shadow włożyłby garnitur? – pytam w drodze na stację.

– Za nic na świecie – odpowiada Ed.

– Ale widziałeś go tylko parę razy.

– Wystarczy.

Atmosfera jest teraz trochę bardziej niezręczna niż wtedy, kiedy mieliśmy zakryte oczy, ale nie aż tak, jak mogłaby być. Przypuszczam, że i tak jest nie najgorzej, biorąc pod uwagę, że złamałam facetowi nos.

– Gdzie jest Beth? – pytam.

– W każdy piątek ma rodzinną kolację.

– I nie przeszkadza jej, że spędzasz czas ze mną?

– Beth jest wyluzowana. Poza tym to przecież nie randka.

– No tak. Słusznie. Oczywiście. – Podnoszę wzrok do nieba, w nadziei, że poczuje się nic nieznacząca i nabiorę dystansu, ujrzę tę chwilę upokorzenia w odpowiedniej perspektywie.

– Na co patrzysz? – pyta Ed.

Nieważne, i tak nie pomaga.

– Wiesz, że jesteśmy zrobieni z tej samej materii co gwiazdy? Jesteśmy eksplodującą energią nuklearną.

– Różnisz się od innych dziewczyn, wiesz o tym? – pyta Ed.

– Owszem, jestem świadoma tego problemu – odpowiadam. – Ale zauważ, że dziesięć minut temu zakrywałeś mi twarz, podczas gdy twój najlepszy kumpel tańczył z dziewczyną. Też różnisz się od innych facetów.

– Słuszna uwaga.

– Moim zdaniem dobrze jest się różnić. Shadow też jest inny.

– Nigdy go nie spotkałaś. Skąd wiesz?

– Widziałam jego graffiti, a sztuka zdradza wiele na temat twórcy. Jest taki jeden mural przedstawiający dziewczynę z mapą na skórze i faceta stojącego przy samochodzie, spod maski bucha dym. – Ed milczy. – Nie rozumiesz? Popsuty samochód.

– Rozumiem. Dziewczyna go rzuciła, a on płacze.

– Nie sądzę, żeby płakał, ale nie ma nic złego w tym, że ktoś jest wrażliwy.

Ed kilka razy wywraca oczami.

– Uważaj. Wyglądasz jak moja mama.

Znowu wywraca oczami.

– No dobra, co jest? – pytam.

– Skąd wiesz, że jest wrażliwy?

– Czemu jesteś taki napastliwy?

– Nie jestem. Zapomnij. Shadow jest wrażliwy. Zmieńmy temat. Możemy pójść ze stacji do zajezdni.

Dobry pomysł. Temat zamknięty, proszę pana.

– Zostawiłam rower pod Feast. Moglibyśmy nim pojechać. – Patrzę na zegarek. Jedenasta trzydzieści.

– O której masz być w domu? – pyta.

– Rodzice wiedzą, że wrócę dopiero rano. A ty?

– Ja mam czas do około drugiej trzydzieści.

– A co potem?

Uśmiecha się szeroko.

– Beth.

– No tak. Beth. To chyba znaczy, że będziecie uprawiać seks.

– Zazdrosna?

– Nie. – Trochę. Nie o Beth. Jestem zazdrosna, że Ed ma kogoś, kto wywołuje u niego taki uśmiech. Jestem zazdrosna, że Beth ma kogoś, kto tak się uśmiecha. Jeśli Shadow okaże się właściwym facetem, to niedługo też będę miała taką minę jak Ed.

Spotkamy się i od razu zaskoczy, będziemy siedzieć razem do rana, wszystko wypłynie ze mnie i przeleje się w niego, a z niego we mnie. I kiedy tak będziemy przelewać się w siebie nawzajem, noc powoli zblednie, cały świat stanie się różowy i w tej różowości Shadow mnie pocałuje. Będziemy skubać się po kawałku, aż dotrzemy do samego środka i wtedy to zrobimy, i nie będzie to przerażające ani dziwne.

– Chciałabym zrobić to z Shadowem – oznajmiam, wyobrażając sobie, że całuję faceta, który wygląda jak Malcolm Dove.

Brwi Eda zaczynają żyć własnym życiem.

– Doprawdy? – pyta ze śmiechem.

– Co cię tak bawi?

– Nic. Możesz to robić, z kim tylko ci się podoba. – Znów się śmieje, klepiąc się po udach. Mam wielką chęć ponownie złamać mu nos.

– Nie mów mi, że nigdy nie myślałeś o tym, by robić to z dziewczynami.

– Nie tylko myślałem.

– To znaczy, z dziewczynami, z którymi jeszcze tego nie robiłeś. – Sekundę temu nie sądziłam, że ta sytuacja może stać się jeszcze bardziej upokarzająca, chyba się jednak myliłam.

– Jasne, że tak. Z dziewczynami, które znam. Ty nie znasz Shadowa.

– I pewnie nigdy nie myślałeś o Angelinie Jolie.
– Ale przynajmniej wiem, jak wygląda.
– Dobra, to fakt, nigdy nie widziałam Shadowa. Spotkałam kogoś, kto go widział, a to prawie to samo. I podejrzewam, że widziałam go przed chwilą na imprezie.

– Goryl? – Brwi podjeżdżają niewiarygodnie wysoko.
– Nie, nie Goryl. Inny facet, gadałam z nim przed wejściem. Był przemily i wyglądał jak artysta, miał na sobie bardzo elegancki garnitur.

– Nie kojarzy mi się z Shadowem.

Obracam twarz w lewo, by pokazać Edowi, że go ignoruję. Nie musiał wprawiać mnie w zakłopotanie. Przecież nie powiedziałam, że chcę to zrobić z panem Darcym. Owszem, powiedziałam kiedyś coś takiego, ale dawno temu, kiedy byłam niedojrzałą osobą.

Raz ułożyłyśmy z Jazz listę osób, z którymi chętnie byśmy to zrobiły. Spojrzawszy na moją, stwierdziła:

– To same postaci fikcyjne.

– No i co?

– Musisz mieć przynajmniej jedną prawdziwą osobę. Z kim z prawdziwych ludzi chciałabyś to zrobić?

– Z Shadowem.

– Niewidzialnego grafficiarza dzieli zaledwie jeden krok od postaci fikcyjnej.

– On jest widzialny. Tylko ja jeszcze go nie widziałam, to wszystko.

Przez resztę drogi na stację żadne z nas się nie odzywa. Czekając na pociąg, też niewiele mówimy. Ed śmieje się od czasu do czasu, a mnie od czasu do czasu nachodzi ochota, by złamać mu nos.

Nadjeżdża pociąg, siadamy naprzeciwko siebie, a ja wracam do Pana Cień Wątpliwości na Parkiecie.

– Czy Leo jest porządnym facetem?

– Przyjaźnimy się od podstawówki – mówi Ed, opierając stopy na siedzeniu obok mnie.

– Ale czy jest dobry dla swoich dziewczyn?

– Od dawna z nikim nie był. Od czasu Emmy.

– To ta z wielkimi... możliwościami intelektualnymi?

Uśmiecha się.

– Aha. Właśnie ta. Naprawdę jest inteligentna. I zabawna. Fajna. Lubilem ją.

– To dlaczego zerwali?

– Nie wiem.

Mnie się jednak wydaje, że on wie, tylko nie chce powiedzieć. No nic. Ale zostawiłam Jazz w towarzystwie tego gościa i chciałabym wiedzieć, czy trzeba ją

ostrzec.

– A więc od czasu Emmy Leo tylko sypia z dziewczynami?

– Nie okłamuje ich. Jazz pozna liczbę ofiar, zanim cokolwiek się wydarzy.

– *Jeśli* cokolwiek się wydarzy – poprawiam go, bo nie chcę, by on czy Leo sądzili, że Jazz już się zdecydowała. Nie wydaje mi się, ale może się mylę, poza tym tak czy inaczej nie chcę, żeby Leo traktował ją jak pewnik. Wyobrażam sobie ten moment, jak Jazz będzie się czuła. Zdenerwowana i podekscytowana. Pełna nadziei, że może spędzi z Leo również kolejny dzień i jeszcze następny. Dni przewracają się w jej głowie jak kostki domina. A potem on poda jej liczbę ofiar. Wyciągam telefon.

– Lepiej ich zostaw. Leo jest lepszy, niż wszystkim się wydaje.

– Nie wygląda – wyrokuję i wybieram numer Jazz.

– Lucy – wrzeszczy – ta impreza jest niesamowita. – Telefon wypełnia się muzyką, wiem, że Jazz odsunęła go od ucha, żebym mogła słyszeć. – Moje życie wreszcie nabrało barw. A jak ci idzie z Edem?

– W porządku. Posłuchaj, Jazz, uważaj. Z Leo.

– Czemu? Coś wiesz?

– Nic. Zostawiłam cię samą, to wszystko. Miałyśmy trzymać się razem.

– Nie martw się o mnie. Baw się dobrze. – Wydaje dźwięk, który chyba jest całusem i rozłącza się.

Ed znowu robi akcję z brwiami.

– Jesteś na mnie wściekły – stwierdzam.

– Nie próbuję cię udusić.

– Nie wiesz, co to by znaczyło dla Jazz. Ja wiem, jak to jest przeżyć rozczarowanie, po sikającej krwi i złamanym nosie na naszej... cokolwiek to było.

Ed porusza brwiami z jeszcze większą werwą.

– Dobra, to była twoja krew. Pewnie też czuleś się trochę zawiedziony.

– Tak sądzisz?

Pociąg zatrzymuje się na naszej stacji, podchodzimy do drzwi, ale te się nie otwierają. W głośnikach rozlega się komunikat, że wystąpił drobny problem techniczny, ale wkrótce ruszymy dalej. Wyobrażam sobie maszynistę, który naciska wszystkie guziki po kolei, ale nic się nie dzieje. Wbijamy wzrok w drzwi. Pewnie naciska kolejne.

Za szybą widać fragment pracy Shadowa na tle nieba.

– Ironiczne – mówię, chociaż wcale się nie spodziewam, że Ed załapie.

– Co, że tkwimy uwięzieni w pociągu, patrząc przez drzwi na malowane niebo, czy że wróciliśmy do punktu wyjścia?

– Chyba to i to.

– Fakt, że nie wiem, kim jest Atticus Finch jeszcze nie znaczy, że jestem głupi.

– Nigdy nie twierdziłam, że jesteś.
– Wiem, co to ironia.
– Świetnie, Sherlocku.
– Po co zgodziłaś się pójść ze mną do kina, skoro ci się nie podobałem?
– To było niechcący.
– Zgodziłaś się niechcący?
– Nie. Zgodziłam się całkiem świadomie. To drugie było niechcący.
– Nawet nie wezwałaś dla mnie taksówki. Masz pojęcie, jak boli złamany nos?
– Nadal jesteś na mnie wściekły.
– Oczywiście. Ani razu nie zadzwoniłaś, żeby zapytać, jak się czuję. Po takich wypadkach ludzie zwykle dzwonią z przeprosinami.
– Słuszna uwaga – mówię, ponieważ naprawdę tak uważam. Dlaczego nie pomyślałam, żeby zatelefonować? Dlaczego nie wsadziłam go do taksówki? Mogłam przecież zadzwonić po tatę. – Nie pomyślałam – wyznaję i odsuwam się przed mocno uniesionymi brwiami. – Ale za to zwymiotowałam – dodaję. – Co chyba oznacza głęboką skruchę.
Brwi opadają.
– Zwymiotowałaś?
– Po powrocie do domu. Ledwo zdążyłam do zlewu. Musiałam wyrzucić ubranie.
Ed milczy przez pełne dwadzieścia sekund. Wiem, ponieważ liczę. W końcu mówi:
– Szkoda. Bardzo mi się podobał tamten T-shirt.
– Zapamiętałaś mój T-shirt?
– Pamiętam wszystko do czasu podania środka usypiającego.
– Przepraszam – mówię. – Naprawdę mi przykro, że złamałam ci nos. I że nie wsadziłam cię do taksówki.
– I że nie zadzwoniłaś.
– Też.
Opiera się o ścianę wagonu i splata ramiona na piersi.
– Przepraszam, że złapałem cię za tyłek.
Nie mogę się oprzeć.
– A co jest nie tak z moim tyłkiem, proszę pana?
Brwi do góry. Drzwi się otwierają.
– Udało się – mówi maszynista przez intercom.
– Jeśli Jazz jest chociaż trochę do ciebie podobna, to raczej Leo ma powody do obaw, nie ona – stwierdza, po czym przepuszcza mnie pierwszą. Co nawet, muszę przyznać, mi się podoba.

POETA



IMPREZA

23:30

Paranormalny taniec

Ona mówi, że wie

w którą stronę

zaraz się obróce

„Teraz będziesz krążyć wokół mnie

i zmierzał z powrotem do punktu, w którym zacząłeś”.

„To dowodzi jedynie, że nie mam talentu do tańca”, mówię. „A nie że posiadasz zdolności paranormalne”.

„Nie wierzysz, że potrafię czytać ci w myślach?”

Wierzę. „Nie”.

Krąży powoli

ruchem przeciwnym do wskazówek zegara

jakby rozwijała powietrzne bandażę

„Wiem wiele rzeczy”, mówi.

Czuję zapach mięty
tu jest za słodko
za ciemno
za szybko
za dużo jej
Poruszam się
zgodnie z ruchem wskazówek zegara
zwijam to
co ona rozwija
„Widzisz”, mówi. „Zrobiłeś dokładnie
to co przewidziałam”.

ED



– Ale za to zwymiotowałam – mówi Lucy, a ja czuję się nagle taki rzeźwy. Nauczyłem się tego słowa od Berta, bardzo mi się podoba. Po pierwszej randce z Beth narysował całą serię obrazków przedstawiających mnie w tym stanie. Przerzucił kartki i mały człowieczek wykonał kilka skoków w powietrzu.

– Czuję się tak w początkach znajomości z Valerie – powiedział Bert.

Dzisiaj wieczorem też bym chętnie poskakał. Spodobałem się Lucy na tyle, że z mojego powodu zwymiotowała.

– Przepraszam, że złapałem cię za tyłek – mówię.

– A co jest nie tak z moim tyłkiem, proszę pana? – pyta i uśmiecha się w swoim dodatkowym rytmie, a ja widzę tę plamkę na jej szyi i ogarnia mnie niepowstrzymana ochota, by jej dotknąć. Nie robię tego jednak, ponieważ definicja szaleństwa brzmi: powtórzyć ten sam błąd, oczekując innego rezultatu.

Czujesz się rzeźwy i niech ci to wystarczy. Nie oczekuj więcej. Ciesz się, że spędzasz z nią czas. Że pokazujesz jej swoje grafy i słuchasz, co o nich sądzi. Ciesz się pożegnaniem, które nastąpi, zanim pójdziesz obrobić jej szkołę. Ta ostatnia myśl sprawia, że czuję się znacznie mniej rzeźwy. W głowie widzę twarz Berta, który mówi, że złodzieje nie zasłużyli na stan rzeźwości.

– A więc rachunki wyrównane – mówi Lucy w drodze do Feast.

– Nigdy nie zostaną wyrównane – odpowiadam. – Ale są równiejsze niż wcześniej.

Idziemy dalej. Ludzi na ulicach ubyło, nie spotykamy prawie nikogo. Od czasu do czasu trafiamy na jakiegoś gościa, który zmierza donikąd od poprzedniej nocy, zdeterminowany, by tym razem dotrzeć do celu. Leo zawsze daje tym pijaczkom trochę kasy, nawet jeśli ma w kieszeni tylko garść monet. Od dnia, kiedy przeniósł się do babci, ani razu nie był w domu.

– Nie ma do czego wracać – mówi, ale mnie się wydaje, że to wcale nie jest takie proste. Przypuszczam, że rzucając pijakom pieniądze, chce w jakiś sposób przeprosić za to, że nie może znieść panującego w domu zoo.

– Zwróciłaś uwagę, jak noc zmienia kształt? – pytam Lucy. – Zaczyna się gęsta od ludzi i dźwięków, a potem stopniowo się rozcieńcza, aż w pewnym momencie prawie nic nie zostaje.

– Często nie śpisz w środku nocy? – pyta.

– Często nie. Wczesnie wstaję do pracy. – A raczej wstawałem. Straciłem pracę ponad miesiąc temu i od tej pory ciągle nachodzi mnie potrzeba malowania, czasem łażę po mieście przez pół nocy. Sypiam do późna, popołudnia spędzam w darmowych galeriach sztuki. Czasami chodziliśmy do nich z Bertem w niedzielne poranki. Potem jedliśmy lunch w parku i rozmawialiśmy o dziełach sztuki, które nam się spodobały. Nigdy nie nudziło mi się towarzystwo Berta. Nigdy nie miałem dosyć patrzenia, jak te stare dłonie rysują świat.

– Mój rower wciąż stoi – mówi Lucy, wskazując przed siebie. – W tym miejscu nigdy nie wiadomo. Czasem rzeczy lubią znikać.

Kłódka przy rowerze dorównuje rozmiarem psu chihuahua, którego kiedyś miałem. Mówię, że jest mało prawdopodobne, by ktoś nosił przy sobie obcęg tej wielkości.

– Lubię mój rower. Nie chcę, żeby coś się z nim stało – odpowiada i zakłada kask, niebieski, z rysunkiem błyskawicy z boku. Przychodzi mi do głowy pomysł na graffiti. Na niebie dziewczyna w kształcie błyskawicy, a na ziemi facet z piorunochronem próbuje ją schwytać.

– Kask też lubisz? – pytam.

– Mój kask jest całkowicie w porządku, proszę pana. – Wskazuje na dwa wielkie stopnie umieszczone w tylnej części roweru.

– Coś trenujesz? Do czego to służy?

– Podpórki na stopy. Tata zrobił je dla mojej kuzynki. Wsiadaj.

– Ale nie mam fajnego kasku z rysunkiem błyskawicy.

– Za to masz twardy łeb.

– Bardzo zabawne. – Staję na podpórkach, nie dotykając jej.

– Do zajezdni – mówi, naciskając mocno pedały. Nic się nie dzieje.

– Natychmiast – mówię. – No wiesz. Póki jesteśmy piękni i młodzi.

Naciska mocniej.

– Ważysz tonę.

– Mam pedałować?

– Muszę się rozpędzić. Zsiadaj.

– Jesteś czarująca, ale pewnie ciągle to słyszysz.

– Zsiadaj. Zacznę pedałować, a ty biegiesz za mną, a potem wskakujesz.

– Faceci zapraszają cię czasem na drugą randkę?

– Tylko ci, którzy mają jaja.

Zsiadam. Odjeżdża, a ja pędzę za tylnym światłem.

– Prędko – woła. – Nie mogę zwolnić, bo stracę rozpęd.

Biegnę co sił w nogach, prawie ją doganiam.

– Nie jestem Supermanem – krzyczę. Trochę zwalnia, a ja wykonuję potężny skok i ląduję na asfalcie. I tak to trwa przez chwilę, ona jedzie, ja biegnę i skaczę, i upadam, zastanawiając się, w jaki sposób to, co robię, dowodzi, że mam jaja. – Nie da się wsiąść w ten sposób.

– Spróbuj jeszcze raz.

Jeszcze raz – i tym razem się uda, mówię sobie w myślach i biegnę, drąc się przez cały czas, jakby to miało mi pomóc rozwinąć tempo. Lucy trochę zwalnia, a ja znów skaczę i jedną stopą trafiam w podpórkę, prawdziwy cud.

– Cud – wrzeszczę.

– Nareszcie.

– Wiesz, brat Leo pożyczy mi samochód, kiedy zrobię prawko. Pozwolę ci do niego wskoczyć w czasie jazdy.

– Będiesz mnie woził w różne miejsca?

– Jeśli twoje umiejętności akrobatyczne okażą się wystarczające, to tak, pewnie.

Z Feast jedziemy wzdłuż Carville Street i Sycamore. Zmęczone domy i bloki mieszkalne przepływają obok nas, a ja na chwilę zamykam oczy i pozwalam, by ruch uniósł mnie gdzieś daleko, by mury opadły w mojej głowie, jak wtedy, kiedy czuję wokół siebie przestrzeń. Może później pójdę gdzieś i namaluję ciemność tkwiącą pod moimi powiekami. Ciemność wypełnioną dźwiękami miasta i jej oddechem.

– Nieźle – mówię. – Jakby tak naprawdę nas tu nie było.

– Tylko się nie przyzwyczajaj do luksusów. Kiedy zaczną się wzniesienia, będziesz musiał zsiąść i iść pieszo.

– Po drodze nie ma żadnych wzniesień. Zabiorę cię w miejsca ze sztuką Shadova niewymagające najmniejszego wysiłku. – Nie pokażę jej tych ukrytych. W porcie i wnętrzach opuszczonych fabryk. W starej przyczepie kempingowej niedaleko skateparku.

– Skreć w prawo – mówię. Jedziemy Pitt Street.

Mijamy mój blok, ale nie zdradzam, że tu mieszkam. Beth długo tu nie przyprowadzałem. Woląłem spotykać się z nią w innych miejscach. Na tyłach jej ogrodu. W parku. W sklepie z farbami po godzinach.

– Czemu nie przyprowadzisz jej na obiad? – spytała mama. – Boisz się, że narobię ci wstydu?

– Boję się, że ją otrujesz.

– Leo niemal co wieczór zjada tu porcję równą własnej wadze. Na razie żyje.

– Przez tyle lat zdążył się uodpornić. Podobnie jak ja. – Pocałowałem ją w policzek i ruszyłem do drzwi.

– Ed – zawołała. – Niedziela o siódmej. Zamówimy coś na wynos.

Leo też przyszedł. Nasz stół był za mały, więc jedliśmy na podłodze w salonie. Mama kupiła niebieski chodnik, bo wiedziała, że nienawidzę dywanu w naszym mieszkaniu. Beth przyniosła kwiaty i kiedy tak siedzieliśmy, dzięki nim, chodnikowi i świecalkom choinkowym wszystkie rzeczy z drugiej ręki wyglądały niemal na nowe.

– To co teraz czytasz? – spytała mama, bo wiedziała, że Beth studiuje literaturę. *O myszach i ludziach*, odparła Beth i się zaczęło, jedno przez drugie wymieniali ulubionych pisarzy, Leo rozprawiał o Henrym Rollinsie, jak zwykle zresztą, a mama o tych wszystkich książkach, które czytała, gdy chodziła ze mną w ciąży, bo nie miała nic innego do roboty. Ja tymczasem wyobrażałem sobie graffiti przedstawiające magiczny dywan. Siedzi na nim troje ludzi, a z nieba spada chłopak. W takich chwilach zastanawiam się, czy nie jestem bardziej podobny do ojca niż do matki. Gdyby był tam tego wieczoru, miałbym towarzystwo w drodze na dół.

W zajezdni Lucy zamyka swoją kłódkę rozmiarów chihuahuy i odczepia od roweru przednie światło. Pytam, czy potrzebuje pomocy, ale ona już jest po drugiej stronie ogrodzenia.

– Chyba nie – stwierdzam i wspinam się za nią.

Kieruje światło na martwe wagony wysprejowane myślami moimi i Leo z późnych godzin nocy. Niedźwiedzie polarne przykładające zapalki do lodowców, namalowane po tym, jak Leo usłyszał wypowiedź pewnego polityka, który twierdził, że to nie ludzie wywołali globalne ocieplenie. *Racja. Wszystkiemu winne zwierzęta. Ziemia ubrana w dziergany na drutach sweter i czapkę. Może dlatego robi się coraz cieplej?* Leo miał fazę na środowisko, a ja chętnie zrobiłem dla niego te obrazki. Niektóre z jego pomysłów rozumiem, innych nie. Właśnie mijamy jeden z jego wierszy *Tykanie w środku*. Lucy zatrzymuje się i czyta.

– Czasem jest bardziej jak poeta – stwierdza – a czasem bardziej przypomina krytyka społecznego.

W odpowiedzi wruszam ramionami i idę dalej. Nigdy w sumie się nad tym

nie zastanawiałem. Ostatnio Leo pisze dłuższe utwory, ale przypuszczam, że po prostu ma więcej do powiedzenia. Czasem chce rozmawiać o tym, co usłyszał na zajęciach z filozofii, a czasem chce posiedzieć w milczeniu i spokojnie zjeść bułkę z nadzieniem kielbasianym.

– To tak blisko szkoły, a nigdy wcześniej tu nie byłam – mówi Lucy, a ja odpowiadam, że czasem się tu zatrzymuję, żeby sprawdzić, czy przybyło coś nowego.

– A więc lubisz graffiti? – pyta i odchodzi, nim zdążę odpowiedzieć. Ogląda kolejny wagon.

– Niektóre tak. Innych nie – mówię, ale ona nie słucha.

Patrzę przez ramię na graffiti, które zrobiliśmy z Leo dla żartu. W pierwszej ramce facet wyciąga kciuk przy autostradzie, w drugiej kierowca się zatrzymuje, w trzeciej samochód odjeżdża. Na tablicy rejestracyjnej widnieje PSYCHOL. Śmieję się na wspomnienie nocy, kiedy zrobiliśmy to graffiti. To był pomysł Leo. Ja tylko namalowałem uciekającego faceta.

– Widzisz – mówi Lucy. – Jest zabawny.

– Nigdy nie twierdziłem, że nie jest. – Podchodzimy do kolejnego wagonu. – Podoba ci się, bo jest zabawny?

– Podoba mi się, bo jest inteligentny. No i wiesz, ja też jestem artystką, więc coś nas łączy. – Pstryka bransoletką. – Od niemal dwóch lat uczę się dmuchania szkła od Ala Stetsona. Pomógł mi skompletować portfolio.

– Jak to jest? – pytam.

– Fajnie, kiedy wpada się na pomysł, a potem się go realizuje. Wiesz?

– Pewnie tak – odpowiadam, chociaż tak naprawdę chciałbym powiedzieć: Tak, wiem. Wiem, kiedy w środku nocy przychodzi mi do głowy jakiś pomysł i nie mogę zasnąć, aż nie znajdzie się na ścianie.

– Al robi mobile, które zakrywają cały sufit, jak kwiaty zwisające z nieba. Uderzają o siebie, a ponieważ są różnych rozmiarów i grubości, wydają różne dźwięki. Sufit pełen śpiewających kwiatów.

Raz zajrzałem przez okno do wnętrza warsztatu. Myślałem, że to chmury z trąbek. Teraz, kiedy wiem, że wydają dźwięki, podobają mi się jeszcze bardziej. Z zewnątrz nie było słychać.

– Widziałem je – mówię bez zastanowienia.

– Gdzie?

Kaszlę, by dać sobie czas do zastanowienia.

– Gdzieś w mieście. Niedaleko sklepu z farbami jest kilka pracowni szklarskich.

Kręci głową.

– Może widziałeś inne jego prace, ale na pewno nie tę. Zrobił ją na samym początku, zanim odnalazł własny styl. Mówi, że jest trochę za bardzo w stylu

Dale'a Chihuly'ego, trzyma te kwiaty, żeby mu przypominały, że ma pozostać sobą. Mnie bardzo się podobają, ale jego współczesne prace też bardzo lubię. Na przykład te wielkie wazony, rozmiarów dorosłego człowieka, przezroczyste, ale kiedy pada na nie światło, widać wzory na szkle. Przypominają duchy z rzeźbieniami na skórze. Widziałeś je?

Mówię nie, ze względów bezpieczeństwa, ale widziałem je przez okno. Nie mogłem uwierzyć, że tak niesamowicie mi się podobają, bo zwykle przemawia do mnie kolor.

Myślę, jak super byłoby coś wystawić. Wiem, że większość grafficiarzy nie ma takiej potrzeby, ale ja nie miałbym nic przeciwko, gdyby moje obrazy znalazły się w białej przestrzeni galerii. Poszliśmy z Bertem na wystawę Ghostpatrola, tego artysty streetowego, który pokazuje swoją sztukę również w galeriach.

– Też mógłbyś się tu znaleźć – powiedział Bert. Odparłem, że można pomarzyć, a on skwitował, że marzenia to jedyna droga do osiągnięcia celu.

Lucy przystaje przed graffiti, na którym widnieję ja sam wśród rozcieńczonej nocy. Namalowałem to dawno temu. Wszystko dokoła jest tak chude. Chude latarnie świecą chudym blaskiem. Lucy przygląda się, ale nie widzi.

– To jak wygląda twoje portfolio?

– To instalacja z dwudziestu butelek zatytułowana *Flota wspomnień*. Trochę butelki, trochę okręty, a trochę żywe istoty. – Podaje mi światło od roweru. Świecę na nią. Wygląda jak połączenie ducha ze snem. – Wydmuchuję je i formuję – Nie wiem, jak to dokładnie przebiega, ale widzę w głowie graffiti, na którym szklane balony odrywają się od jej warg.

Wydaje z kieszeni kawałek węgla i rysuje wokół mojego graffiti. Na tej powierzchni węgiel nie dotrwa pewnie nawet do rana. Jutro wrócę i utrwale jej rysunki.

Niektóre butelki to gładkie półksiężycy, zaokrąglone na jednym końcu, tak że można je złączyć z innymi butelkami. Inne to nieudane słońca, które zwężają się i wznoszą w jednej długiej wąskiej linii światła. Niektóre rozszerzają się na końcu jak trąbki, niektóre są zakręcone i przywodzą na myśl cyrk.

Jej palce rozcierają kontury, a ja jestem znowu w szkole, przyglądam się jej, jak rysuje swoje płataniny. Może te butelki tam właśnie wzięły początek, chciałbym ją o to zapytać, ale tego nie robię.

Po chwili odsuwa się i oboje patrzymy na kształty otaczające mnie wśród rozcieńczonej nocy. Teraz moje graffiti zyskało. Próbuję nie zdradzić, co sobie myślę: że jej sztuka jest dziwna i fajna, i piękna, tak jak ona.

– Wyobrażam sobie, że tak wyglądałyby wspomnienia – mówi Lucy – gdyby dało się je zobaczyć. Dziwne, co?

– Aha, ale ty w ogóle jesteś dziwna. – Myślę, że chciałbym zrobić graffiti przedstawiające faceta, który ma w sobie ocean. Jej okręty-butelki pływają po jego

wodach.

– Niektóre butelki są same w sobie wspomnieniami. – Przeciąga dłonią po kręgu. – Wiesz, jak czasem wspomnienie wcale nie istnieje w postaci słowa w twojej głowie, tylko jest zapachem, dźwiękiem czy kształtem?

Ta noc będzie ptakiem trzepoczącym skrzydłami na murze.

– Chyba tak.

– Niektóre są z przezroczystego szkła, o bardziej regularnym kształcie. – Wskazuje na rysunek przedstawiający niemal zupełnie zwyczajną butelkę zmiksowaną z kanu. – Przedstawiają rzeczy, które zostały zapomniane. W niektórych butelkach znajdują się różne przedmioty. Al podsunął mi ten pomysł. Kiedy był mały, robił okręty w butelkach.

– Co jest w środku? – pytam.

– Głównie rzeczy, które pamiętam z dzieciństwa. Na przykład w jednej jest małe peleryna i różdżka magika. Miałam wtedy dziesięć lat. Mama uszyła kostiumy, dla mnie i dla siebie, żebyśmy mogły wystąpić w magicznym pokazie taty. Tata jest komikiem, ale czasem dorabia sobie na imprezach dla dzieci. Weszliśmy z mamą do pudła, tata w nie postukał, a kiedy rozsunął kotarę, nas tam nie było. Postukał jeszcze raz i znów się pojawiłyśmy.

– Wyszłyście z tyłu?

– Właśnie w tym rzecz. Zapamiętałam, że naprawdę dokądś wtedy trafiłyśmy. To znaczy, niby wiem, że to taka sztuczka, ale wtedy wiedziała tylko mama, ja nie. W moim wspomnieniu tata naprawdę sprawił, że na chwilę zniknęłyśmy.

– Mój tata też był magikiem – mówię, patrząc na puste butelki. – Zrobił mojej mamie dziecko i rozplął się w powietrzu.

– Och – mówi z dziwną miną.

– Nie przejmuj się. To się stało jeszcze przed moimi narodzinami. Nawet go nie poznałem. – Jest tu niedaleko. Mur z namalowaną dziurą w kształcie człowieka.

Idziemy dalej. Lucy rozprawia o kolorach w pracowni Ala, a ja chciałbym opuścić zajezdnię i pójść tam razem z nią. Do miejsca, gdzie z sufitu zwisa ogród z trąbek.

Co i raz przystajemy, by popatrzeć na coś, co wyszło spod ręki mojej bądź Leo. Na koniec Lucy zatrzymuje się przed graffiti, którego wcale nie chcę jej pokazywać. W białym oceanie nie ma nic zabawnego. Farba pulsuje rytmem, jakby woda próbowała zaczerpnąć oddechu. *Rozczarowane morze*, napisał pod spodem Leo. Użył fontu, który nazwał pustym i tak właśnie wyglądają dla mnie te litery.

– Nigdy się tak nie czujesz? – pyta Lucy. – Płaski na brzegach?

Wracam myślami do nocy, kiedy to namalowałem. Tydzień po śmierci Berta. Siedem dni, w ciągu których wchodziłem do magazynu w nadziei, że go tam zastanę. Siedem nienaruszonych butelek z piwem stojących rzędem na parapecie,

bo Valerie nadal dodawała mi je do lunchu, ale ja nie mogłem pić piwa bez niego.

Nie chcę dzisiaj się w to zagłębiać.

– Moje największe rozczarowanie: że *Veronica Mars* miała tylko trzy sezony – mówię. – I że batoniki Butterfinger nie występują w większym rozmiarze.

– Już teraz tak.

– O, to bardzo dobra wiadomość.

– Chciałabym, żeby babeczki Reese's występowały w rozmiarze king size, ale to nierealne – mówi Lucy.

Jak tak pomyśleć, to rzeczywiście trochę dziwne.

– Masz rację. Dlaczego nie robią większych?

– To wielka zagadka.

– Możesz kupić trzy, roztopić je, a potem zamrozić – proponuję.

– Zrobi się straszna kupa.

– To wciąż ta sama czekolada. Będzie smakować tak samo.

– Pewnie tak. Ale lubię, jak babeczka jest babeczką, z wyraźnie oddzieloną warstwą czekolady i masłem orzechowym w środku.

– Reprezentujesz nieugięte stanowisko w kwestiach środka i warstwy zewnętrznej.

– Zgadza się – potwierdza Lucy. Podoba mi się, że potrafi przeskoczyć od sztuki do czekolady w ciągu jednej rozmowy. Podoba mi się pomysł z butelkami. Wspomnienia, które są jedynie dziwnym kształtem dryfującym w twoim wnętrzu, wspomnienia jako puste butelki. I wszystkie piękne fragmenty zamknięte w środku, by nie mogły się zgubić.

Idziemy dalej, w stronę miejsca, w którym tu weszliśmy.

– Zawsze się zastanawiałem, jak oni wsadzają okręty do butelek.

– Al mi pokazał. Najpierw trzeba zrobić butelkę. Albo kupić. Okręt wkłada się później. Buduje się go na zewnątrz, maszt robi się składany. Wlewa się do butelki morze kitu, wsuwa się okręt przez szyjkę i podnosi żagle. W ten sam sposób umieszczam w butelkach wspomnienia. Robię je małe i składane. Chyba lubiłam te butelki bardziej, kiedy stanowiły zagadkę, zanim wiedziałam, jak to działa.

Na jednym z jej przednich zębów widnieje niewielkie wyszczerbienie, myślę o tym, jak by to było przeciągnąć palcem wzdłuż brzegu. A potem myślę o tym, co będzie, kiedy Lucy odkryje, że Shadow to ja. O tym, że przeżyje rozczarowanie, ponieważ jestem facetem, który zmierza donikąd, a nie wrażliwym, inteligentnym i zabawnym facetem z jej wyobrażeń. Myślę o tym, jak Lucy pójdzie na studia i dalej będzie robić szkło, a ja utknę w miejscu, wciąż będę sprejować mury i z trudem zbierać kasę na czynsz.

– Mogę ci pokazać, jak się wsadza okręt do butelki – mówi. – Jeśli chcesz.

– Nie wiem. Sporo zachodu jak na okręt, który donikąd nie popłynie.

POETA



ZADANIE PIĄTE

POEZJA 101

UCZEŃ: LEOPOLD GREEN

Tykanie w środku

Ma w środku druciane ogrodzenie
a za tym ogrodzeniem jest pies
a za psem są złodzieje
a za złodziejami jest gang złych snów
a za snami
jeśli uda ci się tam dostać
są rzeczy które sprawiają
że w środku mu tyka
tyk tyk tyk

LUCY



Chodzimy między przyczepami. Znajduję się w świecie Shadowa, świecie, o którego istnieniu dotąd nie wiedziałam. Wyobrażam go sobie w tym miejscu, samego, jak maluje w blasku docierającym z sąsiedniej ulicy i jeszcze bardziej pragnę go znaleźć. Czasem wydaje mi się, że tu jest, ponieważ w ciemności Ed wygląda jak cień rzucony przez kogoś innego.

Mówię mu rzeczy, które chciałabym powiedzieć Shadowowi. Opowiadam o swoim portfolio, o *Flocie wspomnień*. Zaczęło się od splątanych zawijasów, które rysowałam na lekcjach. Obserwując Ala, Liz i Jacka przy pracy, rysowałam wyrwę, powstającą w moim wnętrzu, kiedy widzę księżyc, który mogłabym spać prosto z nieba czy wirującą żółć słońca, która pojawiła się między Edem i mną tamtego dnia, gdy zapytał, czy się z nim umówię.

Zawijasy nieustannie się zmieniały, jak szkło, które robi Al, i w pewnym momencie na kartce pojawiły się butelki przypominające okręty na powierzchni oceanu. Przez dwa kolejne tygodnie obserwowałam i rysowałam. Potem Al powiedział, że chciałby zajrzeć do mojego szkicownika.

– Flota wspomnień – powiedział i od razu wiedziałam, że tym właśnie są moje butelki.

Były rzeczami, które pojawiały się w moich myślach i w moich

wspomnieniach. Podobała mi się wizja, że w kanałach pod powierzchnią skóry poruszają się te dziwne kształty, śliskie i barwne.

– Zrób z nich swoje portfolio do szkoły – powiedział Al tamtego dnia.

– Nie są trochę dziwne? – spytałam, obracając kartkę na różne strony.

– Dziwne rzeczy są czasem najpiękniejsze – odparł. – Te formy wyglądają, jakby pochodziły z twojego wnętrza, z samego centrum.

Opowiadam Edowi, jak dmucham szklane przedmioty, formuję i znów dmucham. W jaki sposób nadaję im wygląd butelek skrzyżowanych z okrętami i żywymi istotami. Wypycham z siebie wspomnienia, szkło przyjmuje ich kształty.

Rysuję je wokół graffiti Shadowa, które przedstawia chłopaka stojącego pośród pustej nocy. Dziwne i piękne butelki-okręty płynące przez mój ocean teraz krążą wokół niego na murze.

Wszystkie są na dole zaokrąglone. Niektóre otwierają się na końcu w taki sposób jak zwyczajne butelki, okrągłym płaskim otworem. W przypadku innych szkło na końcu jest łukowato wygięte, tak by dało się je złączyć z innymi butelkami. Wszystkie leżą na tafli niebieskiego szkła.

Ed patrzy, jak rysuję, a ja spoglądam na niego od czasu do czasu, ale nie mam pojęcia, co sobie myśli. Mówię, że tak wyobrażam sobie wspomnienia, on zaś mówi, że jestem dziwna, potem jednak podchodzi bliżej i przygląda się kształtom.

Jest zbyt cicho, więc zapelniam ciszę, tłumaczę, dlaczego postanowiłam zrobić tę flotę. Czasem wspomnienia nie da się wyjaśnić za pomocą słów. Jedna z moich butelek to taki świder w granatowym kolorze, tak właśnie czułam się raz w dzieciństwie, w czasie Gwiazdki.

Tłumaczę, że pomysł podsunął mi Al.

– Kiedy był mały, robił okręty w butelkach.

Ed pyta, co jest w tych butelkach, a ja dziwnie się czuję, opowiadając mu o tym, bo obawiam się, że może nie zrozumieć. Zamknęłam w butelkach te najważniejsze wspomnienia, niektóre z dzieciństwa, różne rzeczy o mamie i tacie, sprzed tej całej cudacznej sytuacji z wprowadzką do składzika.

W jednej z butelek znajduje się gliniana rybka, tak mała, by dało się ją włożyć przez szyjkę, bo pewnych rzeczy nie da się zrobić składanych. Znalazła się we flocie wspomnień, ponieważ kiedyś często biwakowaliśmy na Półwyspie Wilsona. Mama udawała, że gotuje obiad z tego, co złowił tata, lecz jego zdobycze nigdy nie były wystarczająco obfite, więc kupowała jedzenie w knajpie z rybą i frytkami i wszyscy udawaliśmy, że jemy rybę dopiero co wyłowioną z oceanu. Tata udawał tak skutecznie, że do końca nie byłam pewna, czy zna prawdę.

W innej butelce tkwi kilka przedmiotów unieruchomionych w kicie: róg kartki z rękopisu mamy, kawałeczek mojego szkła i dowcip z występu taty.

– Sztuka jest ważniejsza od pieniędzy, Lucy – powiedziała mama, kiedy przekazałam jej, że Al chce mnie uczyć. – Jakoś damy radę, o to się nie martw.

Opowiadam Edowi o tacie, o tamtym występie, na którym znikliśmy z mamą, a on mówi:

– Mój tata też był magikiem. Zrobił mojej mamie dziecko i rozpląnął się w powietrzu.

Mówi, że to nic, ale jego twarz przypomina jedną z tych przezroczystych butelek i wiem, że nie mówi prawdy. Kiedy idziemy przez zajezdnię, opowiadam mu o kolorach w pracowni Ala, o kwiatach zwisających z sufitu. Al pokazał mi, jak się je robi. Ja obracałam puszczelą, a on dmuchał, patrzyliśmy, jak topione szkło przemienia się w płatki.

Czasem wcale nie mam ochoty wracać do domu. Zostaję wśród tych kwiatów, ponieważ przenikające przez nie światło zmienia pracownię w pastelowe niebo, a składzik, w którym mieszka tata, jest całkowitą ruiną. Tata przykleja taśmą folię do okien, żeby do środka nie wpadały owady i deszcz.

Kroczy my między obrazami, do centrum zajezdni i dalej, aż już nie mamy dokąd pójść i zostaje nam ostatnie graffiti. *Rozczarowane morze*, napisał Poeta. Tak się czuję, widząc rano tatę, wychodzącego ze składziku w szlafroku, z kosmetyczką w ręku.

– Czujesz się tak czasem? – pytam. – Płaski na brzegach?

Nie wiem, jakiej odpowiedzi się spodziewałam, ale na pewno nie tego, że zacznie gadać o *Veronice Mars* i maśle orzechowym Reese's. Podoba mi się, że potrafi rozmawiać jednocześnie o sztuce i czekoladzie, i telewizji i że żadne z nas nie milknie, głowiąc się, co by tu powiedzieć. W każdym razie do chwili, kiedy proponuję, że pokażę mu, jak się robi okręty w butelce, a on stwierdza, że to strata czasu. W sztuce nic nie jest stratą czasu. Tylko tracąc czas, możesz coś osiągnąć, mawia Al.

Shadow by o tym wiedział. Na pewno by się zgodził, poszlibyśmy razem do pracowni Ala, pokazałabym mu swoje portfolio i zrobilibyśmy okręt ze składanym żaglem, który pływa po morzu z kitu. Wyobrażam go sobie, w srebrnym garniturze, jak delikatnie podnosi żagle.

– Nie musisz szukać ze mną Shadowa – mówię, kiedy wracamy do miejsca, gdzie zostawiłam rower. – Możesz odejść. Albo zawiozę cię do Beth, jeśli chcesz.
– Wkładam kask.

Wzrusza ramionami.

– Możesz mnie wysadzić na stacji. – Potem kuli się jak biegacz przed startem. – Dobra, jestem gotowy. Ruszaj.

– Nabijasz się ze mnie.

– E-e. Jestem podekscytowany z powodu wyzwania.

Wygląda tak głupio, że dzięki temu ja tak głupio się nie czuję. Poddaję się i ruszam, a on biegnie za mną i wskakuje na rower już przy drugim podejściu.

– Teraz poszło znacznie łatwiej – stwierdzam.

– Następnym razem ty biegniesz. Porównamy definicje słowa „łatwiej”.

Mama mówi, że powinnam uważać na facetów, którzy niczego nie traktują poważnie. Tata twierdzi, że facet potrzebuje sporej dawki humoru, by przebrnąć przez życie miłosne. Jazz uważa, że mój tata również potrzebuje w tym celu sporej dawki humoru, skoro mieszka w składziku.

– To komu jeszcze po mnie złamałaś nos? – pyta Ed.

Udaję, że liczę. Nie zamierzam zdradzić, że po nim nie byłam na ani jednej randce. Przez cały czas szukałam Shadowa. Co w oczach niektórych osób, jak twierdzi Jazz, może wyglądać nieco żałośnie.

– Aż tylu ich było? – pyta Ed.

– No dobra, David Graham raz się ze mną umówił. Zgodziłam się, ale potem zmieniłam zdanie, bo usłyszałam, jak na plastyce powiedział, że każdy potrafiłby namalować taki badziew, jaki widział na wystawie Picassa. Facet, który tak twierdzi, jest idiotą.

– Faktycznie. *Kobieta z wroną*. Nie każdy umiałby to namalować.

Noc przetacza się obok nas, światła, drogi, drzewa.

– Podoba ci się ten obraz? – pytam. – Znasz go?

– Czemu tak cię to dziwi?

– Wcale nie. Po prostu sądziłam...

– Że sztuka to klub dla wtajemniczonych, do którego możecie się dostać tylko ty i Shadow? – kończy za mnie Ed.

– Nie. – A może. Nie wiem. Tak, zaskoczył mnie. Skoro tak lubi sztukę, to czemu nic nie powiedział na naszej randce? Dlaczego rzucił szkołę w połowie pracy nad projektem o Jeffreyu Smarcie i zostawił mnie samą z całą robotą? – Byłeś na tej wystawie?

– Poszedłem na nią z Bertem. Bertowi podobało się, że kobieta wygląda, jakby była zakochana w złym ptaku. „Zakochana w złych czasach”, powiedział.

– Kto to jest Bert?

– Mój dawny szef w sklepie z farbami. Zmarł dwa miesiące temu. Zawał w alejce numer trzy.

– Okropne.

– Lepsze niż zawał w alejce numer cztery, gdzie trzymamy tapety w kwiaty. Bert nienawidził tej alejki, ale napędzała biznes. Zmarł, patrząc na głębokie czerwienie.

– Odchodząc, pewnie lepiej patrzeć na coś pięknego. Tęsknisz za nim?

– Był dobrym człowiekiem. Płacił mi więcej, niż mógł sobie pozwolić. Dowiedziałem się dopiero po pogrzebie. Sporo mnie nauczył. I rysował strasznie fajne rzeczy. Zatrzymaj się.

– Jeśli przestanę pedałować, znów będziesz musiał biec.

– Wiem. Zatrzymaj się.

Spełniam polecenie, a on zsiada i wyciąga z kieszeni zeszyt. Rogi są pozaginane, brzegi brudne. Opieramy się o czyjeś ogrodzenie, Ed przysuwa się bliżej.

– Popatrz.

Przekartkowiec zeszyt, człowieczek podskakuje w powietrzu.

– Genialne.

Pokazuje mi wszystkie animacje po kolei. Dwaj faceci piją piwo. Pies pada na grzbiet i udaje martwego. Sprzedawca obsługuje klientkę przy ladzie. Mężczyzna oświadcza się na kolanach.

– To Bert prosi Valerie, żeby za niego wyszła – mówi Ed. Podoba mi się uśmiech, który pojawia się przy tym na jego twarzy. Podoba mi się sposób, w jaki trzyma zeszyt. Jakby te wszystkie rysunki składały się na miłość.

Ostatni przedstawia faceta w samochodzie, który macha na pożegnanie. Ed waha się, w końcu mówi:

– Ten narysował w dniu, kiedy zmarł. To ja. Z prawem jazdy.

– Skąd wiesz, że to ty? – Ed przysuwa miniaturowy rysunek blisko mojej twarzy. Rzeczywiście, widać podobieństwo. Coś w brwiach.

– Poza tym – dodaje – Bert przepytывał mnie przed testem, żebym zdał. – Znow przewraca kartki, facet uśmiecha się i macha prawkiem przez okno. – Za pierwszym razem mi się nie udało, ale Bert już planował, że przystąpię ponownie i będę prowadził samochód dostawczy.

– Każdy przynajmniej raz nie zdaje.

– Tak słyszałem. – Znow przeglądamy zeszyt. Ed zatrzymuje się przy rysunku przedstawiającym Berta pijącego piwo w słońcu, przerzuca kartki, by Bert kilka razy uniósł szklankę do ust. – Jak myślisz, co się dzieje z człowiekiem po śmierci? – pyta.

– Nie wiem. Jazz twierdzi, że wraca i dostaje drugą szansę.

Ed rozgląda się dokoła.

– Mam nadzieję, że tutaj nie wrócę.

– Nie lubisz tu mieszkać?

– A ty?

– Lubię to miejsce w nocy. Lubię most, światła samochodów poruszające się w ciemnościach. Kiedyś jeździliśmy po tym moście, rodzice i ja, bo tacie podobał się widok.

– Trochę dziwne – stwierdza Ed.

Kiwam głową. Ale nie jest to najdziwniejsza rzecz, jaką można powiedzieć na nasz temat. Już od dawna nie jeździmy razem po tym moście. Czasem tata i ja. Raz zabrał mnie na lody w południowej części Melbourne, po tym, jak zobaczyłam, że przybił na ścianie składziku tabliczkę z numerem.

– 132A? – zapytałam. – Wszyscy jesteśmy pod 132. – Wskazałam na dom.

– Tak, ale chłopak dostarczający pizzę ciągle się myli. Nie marszcz brwi, Luce – powiedział, a potem pojechaliśmy za most i świat, taki brudny za dnia, rozciągnął się pod nami gładki i pocętkowany plamami światła.

– Kiedy wrócisz? – zapytałam.

– Niedługo.

– Jazz twierdzi, że się rozwodzicie.

– Cóż, Jazz się myli. Powiedziałbym Jazz, gdybyśmy mieli takie plany. Czy mieszkałbym tuż obok i codziennie spędzał czas z twoją matką, gdybyśmy się rozwodzili?

– Nie – odparłam.

Jechaliśmy dalej, mijając billboardy, znikające zbyt szybko, by dało się je odczytać.

Tego wieczoru kazałam tacie odwieźć się do Ala. Naszkicowałam nowy okręt do mojej floty, niebieski, wygięty jak pół nieba. Pracowałam nad nim przez kilka kolejnych tygodni. W środku umieściłam most z zapalek i wykałaczek. Pokruszyłam szkło do czarnego kitu, by stworzyć światła pośród ciemności. Kupiłam samochodzik – zabawkę, zrobiłam trzy małe ludziki i posadziłam je w środku. Ta butelka zajęła mi najwięcej czasu. Al nie mógł uwierzyć, kiedy pokazałam mu rezultat.

– Jakbyś skurczyła świat i wsadziła go do szkła.

Ed zamyka zeszyt. Obserwujemy ulicę.

– Twój tata czasem się odzywa? – pytam.

– E-e. Mama opowiadała, że tuż przed jego odejściem strasznie się pokłócili. Ona miała piętnaście lat, on szesnaście, i kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży, zwał w takim tempie, że wybił w ścianie dziurę w kształcie taty.

– Tęsknisz za nim?

– Nie można tęsknić za dziurą. – Kartkuje zeszyt. – Mama ledwo go pamięta. Wiem, że dorastał w okolicy. Że nie lubił szkoły. Że jego ulubionym zespołem byli Smashing Pumpkins i że poznali się z mamą na ich koncercie, pod sceną. Jego pierwsze słowa do niej brzmiały: „Dzisiaj jest najwspanialszy dzień mojego życia”, wers z piosenki Smashing Pumpkins. Moim zdaniem to dowód, że był palantem. Moja mama uznała jednak, że jest superfajny, chociaż z perspektywy czasu musiała przyznać mi rację. A ostatnie słowa, które do niej wypowiedział, brzmiały z kolei: „Pierdolić to. Pierdolić”.

Śmieję się, ale nagle przystaję.

– Przepraszam. To w sumie nie jest śmieszne.

– Nie obchodzi mnie, że odszedł. Mama mi wystarczy. Nigdy nie byliśmy bogaci, ale robiła zakupy w sklepach z używanymi rzeczami, zawsze umiała fajnie urządzić mieszkania, które wynajmowaliśmy. Potrafi wyszukiwać tanio różne potrzebne rzeczy. Stare stoły, półki na książki. Mnóstwo winyli. Na drugie imię

mam retro.

– Serio?

– Nie, Phil. Edward Phil Skye. Po babci, Philomenie.

Próbuję z całych sił tego nie mówić. Udaje mi się przez całe dziesięć sekund.

– Dostałeś imię po kobiecie?

– Jesteś bardzo empatyczną osobą, ale pewnie już to słyszałaś. Nie przeszkadza mi, że mam po niej imię. Opiekowała się mną, kiedy mama kończyła dziesiątą klasę, ale potem zmarł dziadek, a ona zachorowała i poszła do domu opieki. Zostawiła mi kolekcję opakowań po cukierkach Pez. Mama regularnie ją uzupełniała. Zawsze szperała na używakach, wynajdywała stare wersje, z Popeyem i Space Manem. Mam tego chyba co najmniej ze sto.

Ed mówi to wszystko bardzo szybko. Ale gdyby zwolnić i się zastanowić, to człowiek uświadamia sobie, że jego mama straciła rodziców, musiała rzucić szkołę i zajmować się dzieckiem w wieku szesnastu lat. On też stracił tatę. Chciałabym coś powiedzieć, ale do głowy przychodzi mi tylko to:

– Na pewno jest jakieś opakowanie Pez z Picassem. – Chyba faktycznie nie jestem zbyt empatyczna.

– Dobry pomysł. Chociaż nie chciałbym zjeść cukierków z szyi mistrza.

– Może z pędzla?

– Może. – Mija nas grupa dzieciaków, na chwilę milkniemy. Ed przygląda się im, a ja jemu. Podoba mi się jego sposób prowadzenia rozmowy. Odpowiednia doza dziwactwa. Szkoda, że nie gadał więcej na naszej randce.

– Jak miał na imię twój tata? – pytam w końcu.

– John. Mama nie pamięta nazwiska.

– Pomyśl tylko, że można kochać kogoś na tyle, by pójść z nim do łóżka, a potem nie pamiętać jego nazwiska – mówię.

– Nie kochała go. Nie trzeba kogoś kochać, żeby uprawiać z nim seks.

– Wiem o tym – odpowiadam, starając się udawać, że wcale nie czuję się zażenowana tym, że uważam miłość i seks za to samo. Wiem, że to nie to samo, ale chciałabym, żeby te dwa zjawiska występowały przynajmniej dosyć blisko siebie, żeby przynajmniej muskały się, mijając. – Ale byłoby miło. Gdyby ludzie byli razem.

– Odwiedź rodziców Leo. Są razem, ale nie ma w tym nic miłego. Leo mówi, że ja mam lepiej.

– Daisy wspominała, że Leo mieszka z babcią.

– Bardzo dużo rozmawialiście na nasz temat podczas waszej wizyty w toalecie.

– To samo można powiedzieć o was.

– Rozmawialiśmy o niebezpieczeństwach związanych ze spędzaniem z wami czasu. – To brzmi prawdopodobnie.

– My też głównie o tym rozmawialiśmy – odpowiadam i to też brzmi prawdopodobnie. – Daisy wspominała, że Leo miał kiedyś kłopoty z policją.

– Nie wniesiono oskarżenia. Mama mówi, że Leo to dobry chłopak. Tylko czasem pracuje pod przykrywką.

– Ale jego rodzice nie są dobrzy? – pytam.

– Chyba za dużo pili. Od lat z nimi nie mieszka. – Najwyraźniej Ed uważa, że na tym należy zakończyć temat. W porządku. Mogę sobie uważać, że moi rodzice są dziwni, ale przecież widuję tatę codziennie. Chcę go widywać. Jasne, musiałam odczytać mu przepisy, żeby przestał wykorzystywać trawnik w roli łazienki, ale to w sumie drobiazg.

Ed milczy, tym razem dłużej niż poprzednio. Nagle rozlega się jego śmiech.

– Co?

– Nic. Tak mi przyszło do głowy. Uderzyłaś mnie, bo marzyłaś o panu Darcym, a ja nim nie jestem.

– Słyszałaś o panu Darcym?

– Istnieje, więc musiałem o nim słyszeć. Beth omawiała tę książkę na zajęciach z literatury. Kazała mi oglądać film, wiele, wiele razy. Znała tekst na pamięć, podobnie jak wszystkie inne książki Austin.

– Chyba jest inteligentna. – Staram się powiedzieć to od niechcienia, lecz dziwna sprawa, każda uwaga na temat Beth wychodzi z moich ust ubrana w długą balową suknię.

Ed spogląda na mnie i wiem, że wyłapał dziwną nutę w moim głosie, chociaż nie jest do końca pewien przyczyn jej istnienia.

– Owszem, jest inteligentna. – Znów przerzuca kartki, przyspiesza ludziki i zwalnia. – Inteligentniejsza ode mnie, co do tego nie ma wątpliwości.

Patrzę na jego dłonie.

– Jesteś inteligentny.

Znów robi to coś z brwiami.

– Skąd niby wiesz?

Zastanawiam się. Wiem, że jest, ale nie bardzo wiem, skąd wiem.

– Widzisz – mówi, nim zdążę odpowiedzieć. – Nie wiesz.

– Jesteś zabawny, a do tego potrzeba inteligencji. Tata twierdzi, że trudniej kogoś rozśmieszyć niż doprowadzić do łez.

– W końcu w tym celu wystarczy komuś przyłożyć.

– Właśnie.

– Możliwe, że widziałem gdzieś występ twojego taty? – pyta.

– Nie. Chyba że przesiadujesz do późna w klubach z open mic. – Patrzę na jego stare dżinsy i buty robocze, wyobrażam sobie, jak spędza czas z wagarowiczami. – Chociaż pewnie zdarza ci się przesiadywać do późna w klubach.

– Mówiłem już. Wcześniej chodzę spać. Muszę otwierać sklep o siódmej trzydzieści, bo przychodzą kontrahenci i trzeba przyjąć towar. Bert zjawiał się dopiero o ósmej trzydzieści, więc zawsze musiałem być na czas. – Ed stuka w zeszyt. – Nigdy się nie spóźniam – dodaje, a ja odnoszę wrażenie, że nie mówi do mnie, więc milczę. Opieramy się o ogrodzenie i obserwujemy ulicę. – Która godzina? – pyta.

– Wpół do pierwszej. – Noc się rozcieńcza, jak to wcześniej określił. Kilka osób czeka na ostatni tramwaj, czasem przejeżdża taksówka. Ed i ja.

– Rodzice Beth nie mają nic przeciwko, że spotykacie się tak późno? Czy raczej tak wcześnie.

– Nie pukam do drzwi – odpowiada. – Mamy swoje miejsce w głębi ogrodu. Jest tam wielkie drzewo, które zasłania widok od strony domu. Dostaję się tam przez ogrodzenie od tyłu.

– Romantycznie.

– Dopóki jej tata nas nie przyłapie. Mam opracowaną trasę ucieczki, więc raczej nikt nie odniesie obrażeń.

– Za wyjątkiem Beth. Ty przeskoczysz przez ogrodzenie, ale ona tam zostanie.

– Beth da sobie radę.

Wyobrażając go sobie, jak skacze przez ogrodzenie, myślę o tym, że niedługo odejdzie i zastanawiam się, jak długo możemy tak stać, zanim skończą nam się tematy do rozmowy. Szuram nogami, żeby wiedział, że może sobie pójść, jeśli tylko chce.

– Często pstrykasz bransoletką – mówi. – Dostałaś ją od jakiegoś faceta?

– Aha. – Pstrykam. – To szczęśliwa bransoletka mojego taty. Każdego, kto ją nosi, spotka szczęście.

– A jak ma się jego szczęście, odkąd ci ją pożyczył?

Widzę go w myślach, siedzącego na krześle przed składzikiem.

– W porządku. Wiesz, możesz już sobie pójść. Jeśli chcesz.

– Mówisz mi to już po raz drugi. A jeśli nie chcę?

Ciepło płynące z pobliskiego baru z jedzeniem na wynos sprawia, że powietrze przypomina satynę, mogłabym go dotknąć, gdyby przyszła mi ochota, skupiam się na tej myśli zamiast patrzeć na Eda.

– Jak sądzisz, gdzie jest teraz Shadow? – pytam, ponieważ nie mogę zmusić warg, by powiedziały, że jeśli chce zostać, to nie mam nic przeciwko.

– Czeka, aż się zjawisz i z nim to zrobisz – odpowiada Ed, a ja nawet nie muszę patrzeć, wiem, że znów się uśmiecha.

– Nie szukam wróżki-zębuszki ani nikogo w tym stylu. – Wsiadam na rower. – Shadow istnieje. Nie wiem, czy mu się spodoba, ale chcę spotkać faceta, przynajmniej jednego faceta, który uważa, że sztuka jest fajna. Czy proszę o zbyt

wiele? Chcę tylko poznać kogoś, z kim można porozmawiać, kto maluje i kto ma mózg.

Znów wykonuje swoją standardową akcję z brwiami.

– No co?

– Jest tym wszystkim, dopóki go nie spotkasz. Potem okaże się taki sam jak reszta. A, tak dla twojej informacji, wielu facetów posiada mózg.

– Radzę się przygotować, proszę pana. Coś czuję, że będzie pan musiał mnie gonić.

– E-e. Nie zamierzam więcej za tobą biegać. – Staje z tyłu i odpycha się jedną nogą. – Dawaj. Teraz. Do tej pory wszystko robiliśmy nie tak.

Jedziemy bocznymi ulicami, Ed kładzie dłonie na moich barkach, niewielki krąg światła perli się na drodze przed nami. Myślę o fotografiach Billa Hensona, które pokazała nam pani J., tych z nastolatkami w nocy. Kiedy na nie patrzyłam, czułam, że komuś udało się uchwycić ten stan, ktoś zrozumiał, jak to jest być nagim i lśnić w ciemnościach.

– A tak przy okazji – rzuca Ed – ja też uważam, że sztuka jest fajna.

ED



Nie odrywam dłoni od barków Lucy, chociaż jej skóra pali moje ramiona. Nie mam nic przeciwko temu. Droga turla się pod nami, a mój mózg turla się razem z nią. Myśli wypływają z mojej głowy prosto w dłonie, będą kapać, aż wymaluję z nich obrazy.

– Ja też uważam, że sztuka jest fajna. – To myśl numer jeden.

Myśl numer dwa dotyczy moich słów, że w razie zagrożenia przeskoczyłbym przez ogrodzenie i zostawił Beth samą. Ten plan zawsze wydawał mi się dobry, w ten sposób nie musiałbym się tłumaczyć tacie Beth, ale jakoś nigdy nie pomyślałem, co ona by zrobiła w takiej sytuacji.

Myśl numer trzy jest o tym, że powiedziałem Lucy, jakobym nie dbał o to, że tata nas zostawił. Zgadza się, nie dbam. Ale czasem jednak się zastanawiam, czy mamie nie byłoby lżej, gdyby został. Czy jestem taki sam jak on.

Myśl numer cztery dotyczy Lucy, jej pstrykania bransoletką i szurania stopami. Zawsze sprawia wrażenie, jakby chciała znaleźć się gdzie indziej. A ja bym chciał, żeby na chwilę została. Żeby się nie ruszała i opowiadała mi o dziwnych rzeczach w swojej głowie, skoro właśnie wywaliłem przed nią co najmniej połowę własnych dziwnych rzeczy.

Myśl numer pięć jest o tym, że chciałaby zrobić to z Shadowem. Nie podlega dyskusji, że nie miałbym nic przeciwko, by z nią to zrobić, ale jest to mało prawdopodobne, bo jak tylko się dowie, że to ja nim jestem, oferta stanie się nieaktualna. Mamy tu do czynienia z klasycznym paragrafem dwadzieścia dwa. Nie mogę z nią tego zrobić, jeśli nie potraktuję jej właściwie i nie powiem jej prawdy. A jeśli potraktuję ją właściwie i powiem prawdę, ona nie zechce tego ze mną zrobić.

– Należy dobrze traktować kobiety – powiedział raz Bert, kiedy wyładowywaliśmy farby.

– Dobrze traktuję Beth.

– Musisz być uczciwy – wyjaśnił. – Valerie mówi, że wszystko, czego chce ode mnie, to odrobina dobra i szczerść.

– Nie mogę powiedzieć Beth, że Shadow to ja. Zacznie się denerwować, że narażam się na niebezpieczeństwo.

– Nie dlatego jej nie mówisz. Nie mówisz jej, ponieważ to, co widać na murze, dzieje się tutaj. – I popukał mnie w głowę.

– Skręć w lewo – mówię do Lucy. – To tu. – To graffiti namalowałem po tym, jak Beth oddała mi moje rzeczy. Duch w słoiku. Lucy rozgląda się pospiesznie, jakby szukała malujących cieni, a potem kieruje wzrok na ścianę. Staję za nią i patrzę, jak patrzy na moją pracę. Czuję się, jakby złaziła ze mnie skóra, jeśli Lucy się teraz odwróci, zobaczy szkielet i od razu się zorientuje.

Ale nie. Spogląda na mnie, a potem znów na ścianę.

– Na pewno czasem tak właśnie się czuje – mówi, a ja milczę, bo każde moje słowo może mnie zdradzić. – Jakby utknął w ciasnej pułapce. A ktoś szczelnie zakręcił pokrywkę.

Tak, ktoś szczelnie ją zakręcił, pokrywka mocno tkwi w miejscu i nie da się otworzyć tego słoja, można go co najwyżej zbić. I tak właśnie się czasem czułem, pracując w sklepie po rozstaniu z Beth. Chciałem tylko malować. A potem Bert zmarł i już nie mogłem pracować w sklepie, i nie zarabiałem pieniędzy.

– W pokrywce są dziurki, żeby mógł oddychać. – Wskazuję na górną część słoja.

– I to jest właśnie najgorsze. – Lucy obraca rower, kierując na mnie światło. – Jego sztuka rzadko daje nadzieję, prawda?

– Może miał wtedy zły dzień. – Nie wiem, czy malując, kiedykolwiek czuję nadzieję. Czuję energetycznego kopa oraz ulgę. Może to jest nadzieja.

Spoglądam na miasto. Noce są tutaj nieprzyjemne, pełne smogu, który pożera gwiazdy.

– Kto czuje nadzieję w tym miejscu?

– Ja. Al zaproponował mi pracę na stanowisku asystentki. W przyszłym roku pójdę na studia.

– Może Shadow nie wybiera się na studia. Może nawet nie ma pracy.

– Ale jest dobry. Naprawdę dobry. I czyni wszystko lepszym dzięki swojej sztuce. Raz czekałam na przystanku, wkurzona, że się spóźnię, i nagle dostrzegłam tuż przy drodze niewielkie graffiti jego autorstwa. Przedstawiało robaka, patrzył na mnie oczami, które mówiły: Dasz wiarę? Czekam tutaj już pół godziny. Obrazek nie był podpisany. Słowa nie były potrzebne. Wystarczyły te oczy.

– Skąd wiedziałaś, że to jego? – pytam. – Skoro nie było tam żadnych słów?

– Po prostu wiedziałam. – Wypowiada te słowa w taki sposób, że nie odrywam oczu od jej dłoni.

– To jest błękit z jego nieba – dodaje, obracając je. – Wcześniej dotknęłam jednej z jego prac. Facet, który tak maluje, na pewno coś robi. Nie siedzi na tyłku.

Słuchając jej, czuję się tak jak wtedy, kiedy Bert mówił, gdzie będę za dziesięć lat.

– Będziesz sławnym artystą – oznajmił, a ja miałem ochotę uciec, ale skóra stawiała opór. Miałem ochotę rzucać puszkami w okna, by narobić hałasu, który brzmiałby jak ucieczka.

– Powinniśmy już iść – mówię. – Nie powinno się przebywać nocą zbyt długo w jednym miejscu.

Nie rusza się.

– Jak on wygląda? Bo przecież go widziałeś, nawet jeśli tylko przelotnie.

– Faceci nie przyglądają się za bardzo innym facetom. Chyba jest wysoki. Ciemne włosy. Mięśnie. Naprawdę porządne.

– Ale mu się nie przyglądałeś.

– Trudno przeoczyć mięśnie u tego faceta.

Lucy nie odpuszcza.

– Ale jak wygląda?

Kręcę głową.

– Nie wiem. – Patrzy na mnie, a ja szukam słowa, które by sprawiło, że porzuci ten temat. Chwytam się pierwszego, które przychodzi mi do głowy. – Na zagubionego – mówię niemal bezwiednie. – Chyba. Nie wiem.

Na razie to jej wystarczy. Wsiada na rower. Odpycham się stopą od ziemi, ale mam poważne wątpliwości, czy powinniśmy zagłębiać się w park. Z Leo mogę włączyć się po ciemku, ponieważ Leo jest ogromny i potrafi się bić. Znam trochę innych ekip, są w porządku, ale w nocy nie wszyscy mają przyjazne zamiary.

Lucy jednak nie chce mnie słuchać, zagłęwiamy się w park, jedziemy ścieżkami, którymi z nią wolałbym nie jeździć. Wijącymi się ścieżkami, które prowadzą do wnętrza parku i przywodzą na myśl drogi, które skręcają w stronę nieba i nagle się urywają. Ze swojego miejsca nie bardzo widzę, dokąd zmierzamy. Może jedziemy ścieżką, która nagle się skończy i spadniemy. Z Leo nieraz zdarzało nam się spaść tutaj ze wzniesienia.

– Może powinniśmy zawrócić. Nie wszystkie ścieżki są zabezpieczone ogrodzeniem. W niektórych miejscach stok opada naprawdę stromo – mówię. Chciałbym pojechać do Feast i coś zjeść. Pójść gdzieś, gdzie są światła i inni ludzie. Daleko od rzeczy, które maluję.

– Poczujemy żwir pod kołami, jeśli zjedziemy ze ścieżki, nie sądzisz? – pyta.

– Pewnie tak.

– No to się nie martw.

– Łatwo powiedzieć.

– Pozwól, by twój umysł odpłynął – mówi Lucy. – Niech poszybuję do miejsc, w których chciałbyś się znaleźć. Kiedy nie chcę czegoś zrobić, na przykład wygłosić mowy czy pisać klasówki, wyobrażam sobie, że jestem w pracowni Ala, robię szkło, obracam piszczel, wypuszczam oddech i sprawiam, że coś z niego wyrasta.

Ma w głosie coś takiego, że nagle jestem na murze, pośród nocy, ciemność otacza mnie ze wszystkich stron, widzę przed sobą świat, który sam stworzyłem. Teraz żadne z nas już się nie martwi.

I wtedy spadamy.

LUCY



Ciąży na mnie fatum. Na mnie lub na Edzie. Ta myśl pojawia się w mojej głowie, kiedy przelatuję na rowerze za skraj wzgórza, i czuję, jak Ed spada. Zdaje się, że stacza się bardzo szybko, mam nadzieję, że nie znajdzie się zaraz pod kołami.

Byłoby lepiej dla nas obojga, gdyby mocniej się trzymał. Bez jego ciężaru rower gwałtownie nabiera prędkości, pędzę w szaleńczym tempie, chyba prosto na spotkanie śmierci.

– Kuurrrwaaaaa – drę się, z całych sił zaciskając dłonie na kierownicy. Ramiona, nogi i twarz mocno się kurczą. Przejeżdżam po jakiejś wypukłości, jadę dalej. Mam nadzieję, że to nie był Ed.

Nagle doznaję olśnienia, w mojej głowie rozbłyska iskra, nie wiadomo skąd. Jeśli Dylan zna Shadowa, a jednocześnie przyjaźni się z Edem, to jak to możliwe, że Ed nie zna bliżej Shadowa? Moment jasności trwa jednak bardzo krótko i nic za nim nie idzie, ponieważ zderzenie z drzewem w środku nocy z reguły oznacza, że wszystkie światła gasną.

Zdejmuję kask i leżę nieruchomo, próbując odzyskać oddech.

– Ed? Żyjesz?

– Tak – odpowiada. Jest gdzieś niedaleko. – Co niezmiernie mnie dziwi,

ponieważ mniej więcej w połowie drogi przejechałaś po mnie rowerem. Randki z tobą są bardzo niebezpieczne.

– Nie jesteśmy na randce.

– Co za szczęście. Inaczej pewnie już bym nie żył. Jesteś cała?

Sprawdzam.

– Tak. Kamienie zamortyzowały upadek. A ty? – Podnoszę się i świecę na niego światłem przy rowerze.

– Nie bardzo. Mam na twarzy odcisk opony – odpowiada Ed, a ja, być może pod wpływem szoku, prychem nieopanowanym śmiechem. – Nie słuchaj plotek – mówi. – Faceci nie mogą się oprzeć dziewczynie, która najpierw przejedzie po nich rowerem, a potem prycha śmiechem.

Prycham ponownie.

– Nie martw się o mnie, nic mi nie jest.

Chwytam oddech, uspokajam się. Patrzymy w górę wzniesienia i oceniamy sytuację. Pan Twardziel wyrokuje, że musimy wejść z powrotem na piechotę, a ja wiem, że ma rację, ale wołałabym zadzwonić po policję czy strażaków, żeby nas stąd zabrali.

– Nie możesz wezwać policji, żeby pomogła ci się wspiąć na wzniesienie – stwierdza. Zastanawiam się, czy tata zdołałby zjechać do nas taksówką. Gdyby wiedział, że jestem z chłopakiem, to pewnie tak.

– Dobra, idziemy – mówię. – Ale najpierw zadzwonię do Jazz, żeby ktoś wiedział, gdzie jesteśmy. – Kładziemy rower na ziemi, a Ed, kulejąc, podchodzi do kamienia i siada. Jest dość daleko, pewnie mnie nie usłyszy, ale na wszelki wypadek przechodzę jeszcze trochę dalej.

– Żujesz gumę? – pytam, kiedy Jazz wreszcie odbiera.

– Aha. Moment.

– O – mówię, bo elementy układanki trafiają na swoje miejsca, przypominają mi się odgłosy zucia z imprezy. Dziwne, ale czuję ukłucie zazdrości.

– Dobra, już – mówi Jazz. – Gdzie jesteś?

– U stóp ciemnego wzgórza, w towarzystwie faceta.

Na kilka sekund zapada cisza.

– Czy to metafora?

– Nie. Naprawdę. Wypadliśmy z Edem ze ścieżki.

– Nic ci się nie stało?

– Jestem odrobinę roztrzęsiona, lecz ogólnie w porządku. – Zerkam przez ramię, żeby sprawdzić, czy Ed nadal znajduje się w bezpiecznej odległości, a potem szepczę: – Ed jest fajny.

– Coś się dzieje, prawda? – Na moment odsuwa się od telefonu, słyszę, jak przekrzykuje tłum: – Daisy, Leo, między Lucy i Edem coś się dzieje.

O Jezuu.

- Dobra, wróciłam.
- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Leo powtórzy Edowi, że to powiedziałam. A nic się nie dzieje. Ed jest z Beth – mówię, nadal szeptem.
- Serio? Ona jest tutaj. Rozmawia z Leo.
- Masz na myśli, że znajduje się w zasięgu twojego głosu, a ty właśnie się wydarłaś, że kręcę z jej chłopakiem?
- Nie pomyślałam. Zaczekaj. Zaraz to naprawię.
- Nie!
- Ale jej już nie ma. Słyszę, jak krzyczy:
- Lucy tylko by chciała, żeby coś się wydarzyło, ale Ed ma dziewczynę, więc nic z tego. – Wraca. – Załatwione.
- Załatwione? Teraz pomyślą, że żyję złudzeniami. Muszę kończyć. – I znaleźć sposób, by oddzielić swoje świadome ja od nieświadomego ja, by wymazać to wspomnienie.
- Czekaj. Nie pogadałyśmy o Leo. Tańczyliśmy, ale akcji nie było.
- A co to za dźwięk słyszałam, kiedy odebrałaś?
- Mówiłam. Żułam gumę.
- Myślałam, że się całujesz, tylko wstydzisz się powiedzieć.
- Byłaś przy tym, jak przebiegłam na czerwonym, żeby dostać numer Jacoba, prawda? Nie jestem wstydliva, Luce.
- Racja. No i uwielbia gumę do żucia.
- Wysłałaś sygnały?
- Jestem jak latarnia morska. On myśli o czymś innym. Gramy w pytania, a on ciągle patrzy na zegarek. Pytam: Spieszysz się dokądś? A on: Muszę coś załatwić. Mogę potem wrócić po ciebie na imprezę. Ja na to: Mogę pójść z tobą. A on: Nie, nie możesz. Więc myślę sobie, no cóż, nie jest zainteresowany. Ale potem bierze do ręki jeden z moich warkoczyków i obraca go w palcach. Może myśli o Emmie. Może ma się z nią spotkać. Chyba oszaleję. Może powinnam poprosić Daisy, żeby kopnęła Dylana gdzie trzeba i wtedy się dowiem?
- To mogłoby popsuć nastrój.
- Nastrój między tymi dwójkiem już dawno się popsuł. Dylan chciał z nią zatańczyć, ale ona tańczy z gościem o ksywce Goryl. Chyba jest wściekła o coś jeszcze, nie chodzi tylko o rzucanie jajkami. Przykro na to patrzeć. Teraz Dylan siedzi w kącie i się na nich gapi. Zaczekaj. Beth coś do mnie mówi.
- Beth? – O Jezu.
- Dobra – mówi Jazz. – Najświeższe wiadomości. Beth mówi, że zerwała z Edem jakieś trzy miesiące temu.
- Myślę. I myślę jeszcze trochę.
- To bardzo zła wiadomość.
- Dlaczego? Jeśli go chcesz, jest wolny.

– Jest wolny i nie chce, żebym wiedziała, że jest wolny, ponieważ nie chce, bym sądziła, że istnieje choćby najmniejsza szansa, że możemy zostać parą.

– Dobrze się czujesz? Twój szept nabrał takiego piskliwego tonu.

– Dobrze się czuję. On nawet nie podoba mi się w tym sensie.

– Ze mną rozmawiasz.

– Dobra. Może trochę. Nie wiem. Jestem zdezorientowana. Przejechałam go rowerem.

– Jeśli ci się podoba, to może jednak przystopuj z tymi atakami.

– Nie. Szukam Shadowa. Muszę trzymać się planu.

– Może Ed gra trudnego do zdobycia – mówi Jazz. – Romantyczne.

– Kłamstwo kłóci się z moim wyobrażeniem romantyczności.

– Twoje wyobrażenie romantyczności wymaga gorsetu i wehikułu czasu. Wyluzuj trochę. Czekać. Leo chce rozmawiać z Edem.

Znika, nie zdążyłam jej powiedzieć, czego się dowiedziałam na temat Leo. Podchodzę do Eda i podaję mu telefon. Ed przechodzi w miejsce, w którym przed chwilą stałam, a ja siadam na jego kamieniu. Wysilam słuch, ale mówi za cicho, udaje mi się pochwycić tylko pojedyncze słowa.

Jazz twierdzi, że kosmos udziela nam odpowiedzi. Zawsze uważałam, że to głupie, ale nikt inny nie chce mi nic powiedzieć, więc może to jedyna szansa.

Wyjmuję monetę, podrzucam. Orzeł oznacza, że Ed nie powiedział mi o Beth, ponieważ udaje trudnego do zdobycia. Dobra. Trzy rzuty. Nie, cztery. Pięć. No dobra, jest jeszcze Shadow.

Przez chwilę wpatruję się w monetę na swojej dłoni, robię różne sztuczki, których nauczył mnie tata. Przeplatam ją między palcami, tak że znika i pojawia się raz po raz.

– Chodzi o to, w co każesz uwierzyć publiczności – zawsze powtarza tata. – Ale również o to, w co publiczność pragnie uwierzyć. Ludzie chcą zobaczyć, jak magicznie wyciągasz z ucha monetę. Jeśli wykażesz się sprawnością, zrobisz to odpowiednio szybko, wtedy uwierzą.

Orzeł to Ed. Reszka to Shadow. Podrzucam monetę po raz ostatni i czekam, aż spadnie.

ED



Przyglądam się Lucy rozmawiającej przez telefon i zastanawiam się, jak jej powiedzieć. Może kiedy staniemy przed ścianą w skateparku. Albo pod tą z portretem Berta. Przedstawię ich sobie.

Albo mógłbym jej pokazać wagę, którą narysowałem niedaleko portu. Podobną do tej z obrazu Vermeera, *Kobieta z wagą*. Pani J. powiedziała mi kiedyś, że odważa ona coś bardzo istotnego, jak uczynki czy dusze. Poszliśmy z Bertem na wystawę Vermeera i kiedy patrzyliśmy na ten obraz, zapytałem:

– Jak myślisz, co trzeba zrobić, żeby dusza nabrała ciężaru?

– Nie wiem nic na temat duszy, ale człowiek powinien żyć dobrze. Inaczej nie ma sensu.

Lucy zerka na mnie od czasu do czasu. Słyszę tylko, jak powtarza „O, Jezu. Nie”.

Leo, coś ty naopowiadał Jazz? Szukam w myślach, jak wytłumaczyć, że skłamałem. Po chwili Lucy podchodzi do mnie i podaje mi telefon.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak – odpowiada i się uśmiecha, a ja odzyskuję oddech. Oddycham całkiem spokojnie. Odchodzę na bok, odwracam się do niej plecami. Słyszę śmiech

Leo, przykładam telefon do ucha.

– Spadliście ze wzniesienia? – mówi. – Niezła beka.

– No, niezła beka – powtarzam szeptem. – Jest ciemno i nie możemy zadzwonić po gliny, żeby przyjechały nam na pomoc, bo potem jadę obrobić szkołę. Nie chcę, żeby wyszło, że Lucy miała z tym coś wspólnego, w razie gdyby nas złapali.

Leo przestaje się śmiać.

– No, nie dzwoń po gliny. Definitywnie. Posłuchaj, Dylan i ja idziemy niedługo po vana. Potem wracamy po Jazz i Daisy, możemy podjechać pod park około wpół do drugiej. Do tej pory zdążycie wdrapać się na górę.

Jeszcze bardziej zniżając głos, mówię:

– Nie możesz wozić ich naszym ucieczkowym vanem.

– Może nie będziemy go tak przy nich nazywać. Ktoś mógłby nabrać podejrzeń.

– To jak go będziemy nazywać?

– Po prostu vanem?

– To niczego nie zmienia. Ktoś może je zobaczyć w tym samochodzie. – Zerkam na Lucy, która siedzi w kałuży światła od roweru i rzuca monetą. – Nie chcę jej w to wplątywać.

– Coś się dzieje, prawda?

– Nic się nie dzieje. I nie mów Jazz, że coś się dzieje.

– To samo powiedziałeś w piątej klasie, kiedy pani Peri oskarżyła nas, że coś kombinujemy, ale nie potrafiła dojść, o co dokładnie chodzi. Cała się zapieniła, a ty powtarzałeś: „Nic się nie dzieje”.

– I?

– Miałeś w spodniach rybkę ze szkolnego akwarium. Coś jednak się działo.

– Powiedz Jazz, że trzymałem w spodniach rybkę, to koniec z nami.

Zapada cisza. W końcu Leo mówi:

– Co sądzisz o Jazz Lady? Ma mnóstwo takich cienkich warkoczyków. Bardzo mi się podobają jej cienkie warkoczyki. I często groźnie mierzy palcem. Zna się na poezji. Wyrecytowałem jej kilka swoich wierszy i bardzo jej się podobały.

– Wierszy z murów?

– Wyluzuj. Innych wierszy.

– Jakich innych?

– No wierszy. Nie martw się.

– Nie martwię się. Nie wiedziałem, że piszesz coś jeszcze. Określiłbyś się raczej poetą czy komentatorem społecznym? – pytam, przypominając sobie wcześniejsze słowa Lucy.

– Nie wiem. – Chichocze. – A ty określiłbyś siebie raczej idiotą czy

palantem?

– Słuszna uwaga.

– No to co sądzisz o Jazz Lady?

– Chyba ci się podoba, więc postaraj się tego nie zepsuć. Odprowadź ją do domu, idź po uciezkowego vana i módl się, żeby cię nie aresztowali.

– Wiesz, w sumie to nie jest samochód używany w celach przestępczych, dopóki go w tych celach nie użyjemy. Mamy jeszcze mniej więcej dwie godziny. Więc może pojedziemy po was pod skatepark, kupimy coś do żarcia, pośmiejemy się, odwieziemy dziewczyny do domu, a potem, sam wiesz.

Zastanawiam się, a Leo dodaje:

– Tak przy okazji, Beth tu jest, szukała cię. Chce ci coś powiedzieć. Próbowwała dzwonić na twoją komórkę. Powiedziałem, że ci zablokowali, bo nie masz kasy i nie zapłaciłeś za abonament.

– Dzięki.

– Jej to nie przeszkadza. Chce do ciebie wrócić. Mam ją zabrać do vana?

– Nie mieszaj jej w to. Zadzwoń do niej. Posłuchaj, Lucy sądzi, że nadal jestem z Beth, więc nie mów Jazz.

Nie podoba mi się martwa cisza, która zapada po moich słowach.

– Leo?

– Wiesz, Jazz powiedziała, że między tobą i Lucy chyba coś się dzieje, bo Lucy tak zasugerowała, a Beth usłyszała, jak Jazz to mówi, więc Jazz jej powiedziała, że nic się nie dzieje, bo przecież jesteście razem, a Beth odparła, że nie spotykacie się już od trzech miesięcy.

– Kurwa.

– Nie jest aż tak źle – mówi, a ja się rozłączam, chociaż jeszcze nie skończył.

Podchodzę do Lucy. Właśnie wyrzuciła monetę w powietrze, łapię ją i kładę sobie na wierzchu dłoni.

– Co robisz?

– Zadaję kosmosowi pytania.

– Kosmos właśnie zrzucił cię ze stromego wzniesienia. Naprawdę chcesz go o coś pytać? – Lucy się nie śmieje. Instynktownie zakrywam nos, w razie gdyby znów chciała go złamać.

– Ciebie nie mogę spytać – mówi. – Jesteś kłamcą.

– Dobra, łokcie przy sobie. Spokojnie.

– To nie jest śmieszne, proszę pana.

– Co cię obchodzi, że już nie jestem z Beth? Przecież właśnie wybrałaś się na nocne poszukiwania Shadowa, żeby z nim to zrobić.

– Spokojnie. Chcę zabrać rower i dokończyć robotę.

Stoimy tak przez chwilę, nie wiem, co robić.

– Chcesz wiedzieć, co odpowiedział kosmos? – Podnoszę monetę.

– Właściwie to nie. – Wrywa mi ją z dłoni i nie patrząc, wsadza do kieszeni. Potem kilka razy owija pasek od kasku wokół kierownicy, zamyka klamerkę. Pewnie wyobraża sobie, że kierownica to moja szyja. Rusza w górę, a ja podnoszę rower.

– Zostaw – woła. – Jest za ciężki.

– Wcale nie. Leo podjedzie po nas vanem pod skatepark. Możemy wrzucić rower na tył.

– Doskonale – mówi Lucy.

– Doskonale – potwierdzam. Potykamy się o kamienie.

Bert idzie obok nas, ciężko dysząc. Mówi, że powinienem przeprosić.

– Zachowujesz się jak ostatni podlec – powiedział tamtego dnia, kiedy Beth przysłała do sklepu z moimi rzeczami.

– Nikt już nie używa takich słów.

– Śmiej się, ale ja nie straciłem swojej dziewczyny.

Podnoszę rower wyżej na ramieniu. Faktycznie jest za ciężki, ale czuję się lepiej ze świadomością, że mam możliwość ucieczki, kiedy już dotrzemy na górę. Poza tym czuję się jak ostatni podlec i chciałbym jej to jakoś wynagrodzić.

– Pospiesz się – mówi Lucy. – Nie chcę się minąć z Leo i Jazz.

Najwyraźniej moje wysiłki są na nic.

– Posłuchaj, okłamałem cię co do Beth, bo patrzyłaś na mnie jak na kupę gówna, która zaraz się na ciebie rzuci.

– Ale potem trochę się zaprzyjaźniliśmy, a jednak nie powiedziałeś prawdy.

– Przejechałaś po mnie rowerem. Kiedy niby się zaprzyjaźniliśmy? – Ale zgadza się, rozmawialiśmy, zrobiło się całkiem miło, a ja dobrze o tym wiem i powinienem był powiedzieć prawdę. – Przepraszam.

– Skłamałeś w jeszcze jakiejś kwestii?

To moja szansa. Shadow to ja. Straciłem pracę. Ledwo umiem czytać. Za kilka godzin zamierzam obrobić twoją szkołę, bo brakuje mi na czynsz, a Leo musi oddać kasę Malcolmowi Dove.

– E-e. W żadnej. Zerwałem z dziewczyną, nie miałem ochoty o tym mówić, wszystko.

Cykor, mówi Bert.

– Czemu z nią zerwałeś? – pyta Lucy.

– To już nie ma znaczenia. Stało się.

Nie chcę z nią rozmawiać o Beth. Już i tak pływam w mętnej wodzie, bo w pewnym sensie podobają mi się obie, niby beznadziejna sytuacja, ale w sumie nie mam szans u żadnej z nich, więc właściwie co za różnica. Może Beth się wydaje, że chce do mnie wrócić, ale to nieprawda. Po prostu mnie nie zna.

Kazała mi przeczytać książkę, którą omawiali na zajęciach z literatury.

– O Vermeerze – powiedziała. – Lubisz go.

Co wieczór siadałem i wytrwale czytałem stronę czy dwie. Ale mój mózg nie jest w stanie zatrzymać w sobie słów. Wypadają, zanim zdążę włożyć kolejną porcję. Nie jestem głupszy od Leo, więc skoro on potrafi zatrzymać słowa, to czemu ja nie?

Poprosiłem, żeby przeczytał tę książkę i mi opowiedział. Znałem wszystkie obrazy, o których w niej mowa, znałem *Dziewczynę z perłą*, wiedziałem, że Vermeer posługiwał się tym specjalnym pudłem, żeby widzieć rzeczywistość w inny sposób. Pani J. opowiedziała mi o camera obscura, kiedy jeszcze chodziłem do szkoły. Jak Vermeer przez nią patrzył i wszystkie przedmioty w pomieszczeniu mieszały się ze sobą, więc mógł malować inaczej, niż ludzie widzą świat. Podobał mi się ten pomysł. Obejrzałem o nim film dokumentalny. Wiedziałem sporo na jego temat, tyle że nie przeczytałem tej głupiej książki.

Ale nie mogłem powiedzieć Beth, bo była taka szczęśliwa, kiedy udawałem. Odbyliśmy bardzo długą rozmowę, a ja przez cały czas czułem się tak, jakby patrzyła na mnie przez to pudło Vermeera. Wszystko, co widziała, było prawdziwe, ale pomieszane, tak że tworzyło fałszywy obraz.

– O czym myślisz? – pyta Lucy.

– Że powinienem był zjeść trochę węglowodanów, zanim wyszliśmy z imprezy.

– Mam w kieszeni miętówki – mówi, a ja czuję, że być może jednak dostąpię łaski.

– Chętnie.

Siadamy na ziemi, w połowie drogi na szczyt. Lucy dzieli paczkę cukierków między nas dwoje.

– Nie lubię się spieszyć. Lubię, jak znikają powoli – oznajmia, a ja dopiero po chwili uświadamiam sobie, że chodzi o miętówki.

– Ja też.

– Jazz potrafi zjeść paczkę w niecałą minutę.

– W takim razie ona i Leo mają sporo wspólnego. Leo potrafi wchłonąć bułkę z nadzieniem kiełbasianym w niecałe trzydzieści sekund.

– Myślisz, że będą razem?

– Może. Leo pytał, co o niej sądzę. Powiedziałem, że wydaje się miła.

– Miła? Zbyt nudne. W pierwszym tygodniu naszej znajomości ścigała się z pociągiem, żeby dostać numer Jacoba Conroya.

– Udało się?

– Aha.

– W takim razie wydaje się idealną dziewczyną dla Leo.

– Zerwała z Jacobem w kinie, a następnego dnia wróciła, żeby umówić się z chłopakiem, który pracował na stoisku ze słodyczami.

– Ostro. Ale przynajmniej nikomu nie złamała nosa.

- Powinieneś wreszcie porzucić ten temat.
- Jak tylko blizna zniknie.
- Po chłopaku od słodczy umawiała się z Davidem Carterem, poznała go w pracy. W sobotnie przedpołudnia przepowiada ludziom przyszłość w kawiarni na Kent Street. Wszedł i zapytał, kim będzie jego kolejna dziewczyna. Jazz powiedziała, że spotka niewysoką szatynkę o zdolnościach paranormalnych i zamiłowaniu do teatru. Trzy tygodnie później oznajmiła, że ma przeczucie, że zerwą.
- Nie chcę tego dalej słuchać.
- Na ostatnią randkę umówiła się z Peterem Copelandem. Grał Puka w *Śnie nocy letniej*. Poprosił ją o spotkanie przed rozpoczęciem przedstawienia, rzuciła go w ostatniej scenie. Stwierdziła, że kiepsko wygląda w rajtuzach.
- A kiedy to było? – pytam.
- Nie umawiała się z nikim od egzaminów semestralnych. W tym roku jej rodzice są dość surowi w kwestii nauki. Nie pozwalają jej wychodzić wieczorem w weekendy, a resztę wolnego czasu przeważnie zajmuje jej praca. Desperacko marzy o jakiejś rozrywce.
- Sądzisz, że tylko tego oczekuje od Leo? Rozrywkowej nocy?
- Z Jazz nigdy nie wiadomo. Zawsze mi się wydaje, że jakiś facet bardzo jej się podoba, a potem się okazuje, że wcale nie.
- Przypomina mi się Leo klęczący przed ścianą poświęconą Emmie.
- Zdaje się, że to Leo może mieć poważny kłopot.

POETA



IMPREZA

00:30

Moglibyśmy zagrać w pytania, mówi Jazz Lady.

Skoro jesteś jasnowidząca, to po co chcesz mi zadawać pytania?

Ponieważ moje zdolności nie są jak czytanie książki.

Przypominają raczej oglądanie francuskiego filmu

bez napisów.

Lubisz francuskie filmy?

Lubię wszystkie filmy.

Jaki jest twój ulubiony?

Skomplikowane pytanie.

Ty też jesteś skomplikowaną dziewczyną, nie?

Moje cztery ulubione to:

Filadelfijska opowieść, Śniadanie u Tiffany'ego, Ptaki i Goonies.

Goonies?

Nigdy nie widziałeś *Goonies*?

Nie.

Zaraz powiesz, że nie czytałeś książek Dr. Seussa.

Nie czytałem.

Widzisz, mówiłam, że mam zdolności paranormalne. Ale, poważnie, co sobie myśleli twoi rodzice?

(Piwo, piwo, piwo.) Nie wiem.

A kto jest twoim ulubionym pisarzem?

Skomplikowane pytanie.

Ale ty też jesteś skomplikowanym chłopakiem, nie?

(Chyba mi się podoba.)

Czterech ulubionych to: Henry Rollins, Leonard Cohen, Pablo Neruda i Woody Guthrie.

Ulubiony fragment wiersza?

**w moim sercu mieszka ptak który
chce się wyrwać na wolność**

– Charles Bukowski

Serio?

Co?

Czy w twoim sercu mieszka ptak?

Aha, właśnie pije piwo. Ulubiony cytat z filmu?

Nazywam się Bond, James Bond. A twój?

Gdzie byłeś przez całe moje życie?

Dobre. Tak przy okazji, tkwiłam uwięziona w prywatnej szkole dla dziewcząt.

(Bardzo, bardzo mi się podoba.) Masz chłopaka?

Pracuję nad tym. Masz dziewczynę?

Nie. Jak się nazywa twój poprzedni chłopak?

Peter Copeland.

Ten, co nosił rajtuzy na szkolnym przedstawieniu?

Zazdrosny?

Nie. (Może. O każdego faceta, z którym się umawiałaś.)

ED



Zjadam ostatnią miętówkę i ruszamy dalej.

– Może poniosę rower – proponuje Lucy. – Mam niezłe mięśnie od dmuchania szkła.

Podrzucam rower wyżej na ramieniu. Niosąc go, przynajmniej mam usprawiedliwienie, dlaczego tak ciężko oddycham, idąc obok jej niezłych mięśni.

– Mówisz właściwie wszystko, co pojawia się w twojej głowie, prawda?

– To lepsze niż nie mówić nic, tak jak na przykład ty na naszej randce. Bardzo chciałam wtedy porozmawiać.

– Dałaś to jasno do zrozumienia. – Tym razem nie protestuję, że nazwała nasze spotkanie randką.

– Wszystko sobie obmyślałam. Sądziłam, że porozmawiamy o sztuce. O Rothce. Albo o książkach. O pogodzie. Tamtego dnia na północy szalał huragan.

To najdziwniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałem. Nie wiedziałem, że jest taka dziwna, kiedy się z nią umówiłem w dziesiątej klasie. Nie jestem pewien, czy bym się z nią umówił, gdybym wiedział.

– I jak przebiegła nasza rozmowa? Ta w twojej głowie?

– Myślałam, że zacznę jakoś tak: Nie uważasz, że obraz Rothki, który widzieliśmy w galerii, był super?

– Bardzo naturalnie.

– No, teraz może brzmi mniej naturalnie, bo właśnie spadliśmy ze wzgórza.

– Prawda. A co ja odpowiedziałem?

– Zostawiłam ci wolne miejsce.

– Miło z twojej strony.

– No i?

– No dobra. Tak. Obraz Rothki, który widzieliśmy w galerii, był super.

– Pamiętasz chociaż, o którym Rothce mowa?

– A ty co jesteś, śledczy? *Numer 301 (Czerwienie i fiolet na czerwieni/czerwień i błękit na czerwieni)*.

Chyba jej zaimponowałam.

– Co ci się w nim spodobało?

Zastanawiam się, pamiętając, że ostatnia nieprawidłowa odpowiedź kosztowała mnie złamany nos.

– Przez chwilę, kiedy patrzysz na ten obraz, staje się on całym światem, a ty w ten świat wchodzisz.

Próbuję ubrać w słowa odczucia, które budzi we mnie ten obraz, ale nie potrafię i właśnie o to chodzi.

– Sztuka tego rodzaju nie potrzebuje słów. Ten obraz mówi coś, wciągając cię do środka i odpychając, a ty wiesz, co to jest, chociaż nie pada ani jedno słowo.

– Na chwilę kładę rower na ziemi. – To miałem powiedzieć?

– Nie. Ale było dobre. Lepsze. – Podnoszę rower i ruszamy dalej. – Skoro tak lubisz sztukę, to dlaczego rzuciłeś szkołę w środku naszej pracy o Jeffreyu Smarcie? – pyta. – Zachowałeś się, jakbyś miał to gdzieś.

– To był kiepski moment. Bert zaproponował mi pracę, a mama potrzebowała pomocy przy płaceniu czynszu. Chciałem dokończyć nasze zadanie.

Spojrzała na mnie wnikliwie.

– Lubisz jego obrazy?

– Jego i Vermeera. Najbardziej ze wszystkich.

– Bardzo się różnią.

– Może. Ale u obu życie jakby zwolniło. To co zamierzałaś później powiedzieć?

– Pamiętasz pierwsze dzieło sztuki, które zrobiło na tobie wrażenie?

– Może *io* Sama Leacha. Myślałem o nim ostatnio, od śmierci Berta.

– Martwe ptaki?

– Ten po lewej stronie ma na piersi idealny odcień błękitu. Myślałem o tym obrazie, kiedy Valerie siedziała w sklepie, czytając kartki z pogrzebu, wszystkie pełne gównianych słów, które nie potrafiły wyrazić, co oznaczała śmierć Berta. Za

to ten obraz był blisko.

Drobne białe ciała rzucające cienie, chude łapki sterczące w powietrzu. Te ptaki były tak małe, że zmieściłyby się w mojej dłoni, ale jeszcze poprzedniego dnia fruwały.

– Czuję się jak ten obraz, kiedy znalazłem Berta leżącego w alejce numer trzy.

Zapada cisza. Unoszę się na fali przypływu, próbuję utrzymać głowę nad powierzchnią wody. Jestem znowu w sklepie, patrzę na Berta, który leży twarzą do góry, jego stare dłonie tym razem nie rysują, są nieruchome.

Był jedyną osobą oprócz pani J. i mamy, która wierzyła, że jestem kimś więcej niż jakiś palant smarujący mu po ścianie. Kiedy popełniłem błąd, tłumaczył mi i tyle. Nigdy potem tego nie roztrząsał, jak wiele osób ma w zwyczaju.

– Czego najbardziej ci brakuje po jego odejściu? – pyta Lucy.

To łatwe.

– Wyrazu jego twarzy, kiedy przeklął i zaraz sprawdzał, czy Valerie nie słyszała. Wspólnych wypraw do galerii. Chwil spędzanych na zapleczu przy piwie. Patrzenia, jak rysuje.

Wdrapaliśmy się już na szczyt, siadamy, żeby chwilę odpocząć. Zanim poznałem Berta, byłem wkurzony na tatę i martwiłem się, że jestem taki sam jak on, i zastanawiałem się, gdzie on teraz jest, ale nigdy tak naprawdę nie wiedziałem, jaki ten ojciec miałby być. Zanim zacząłem malować na murach, rysowałem jego portrety. Zawsze wyglądały jak tamto graffiti w zajezdni. Dziura w murze.

Tydzień przed śmiercią Berta poszliśmy na wystawę Rosalie Gascoigne. Tworzy prace ze znaków drogowych, skrzyń po napojach, pociętych i przybitych do drewna, tak że litery stanowią nieskładną mieszalinę. Kiedy stanęliśmy przed pracą zatytułowaną *Metropolis*, Bert zapytał:

– Czy to właśnie widzisz? Kiedy patrzysz na słowa?

– Mniej więcej. – Wiedział o moich problemach z czytaniem, słowach, które nie chcą się zatrzymać w mojej głowie, ale nigdy mu nie mówiłem, że w szkole czuję się jak ostatni kretyn, i tak samo przy Beth, kiedy zaczyna mówić o książkach. Tego dnia mu powiedziałem. – Ale to potrafię odczytać – dodałem, spoglądając na znaki drogowe. – Bo znajdują się w ograniczonej przestrzeni.

Podeszliśmy do mojej ulubionej pracy, *Ale głównie powietrze*. Bert odczytał tytuł i przez chwilę próbowaliśmy ogarnąć wzrokiem jej ogrom. Ściana bieli na drewnie, sięgająca od podłogi do sufitu. Niby nic takiego, a totalnie dominowała nad całą resztą.

– Przypomina mi tatę – powiedziałem.

Bert odparł bez wahania:

– Zero podobieństwa rodzinnego.

Obejrzeliśmy wystawę do końca, a zanim wyszliśmy, kupił mi album

o sztuce Gascoigne, drogi, więc nie chciałem przyjąć.

– Daj go Valerie czy komuś innemu.

– Chcę dać go tobie – odparł. – Kiedy ludzie będą rozmawiać o książkach, które czytają, możesz wspomnieć o tym albumie.

Mało brakowało, żebym powiedział, że jest dla mnie jak ojciec, ale jednak tego nie zrobiłem. Czekać na karetkę w alejce numer trzy, myślałem o tym, że pewnie bardzo by się ucieszył.

– Masz dziwną minę – mówi Lucy.

– Robisz się coraz bardziej czarująca – mówię. – Myślałem o Rosalie Gascoigne i albumie z jej pracami, który dostałem od Berta.

– Byłam na tej wystawie. Najbardziej podobała mi się *Samotność*. Te czarne O i U na żółtym tle, dokładnie tak czuje się człowiek, kiedy jest samotny.

– To była jedna z ulubionych prac Berta. Na równi z *Oknami*. Podobało mi się, jak umieściła linoleum na drewnie i potrafiła sprawić, że wyglądało jak szkło. Powiedział, że ta praca pokazuje, że każdy musi czasem zrobić sobie własne okna.

Teraz, kiedy już wie o Beth, czuję, że nie ma między nami aż tak wielkiej przepaści, jak mi się wydawało. Nie dzielą nas już dwie osoby, tylko jedna. Shadow. A ja nim jestem, więc to prawie tak jak byśmy byli tylko we dwoje.

– A ty robisz okna? – pytam.

Odpowiada, że nie. No, może. W końcu szkło jest przezroczyste, więc technicznie rzecz biorąc, wszystkie przedmioty, które tworzy, są oknami, nawet jeśli małymi i o dziwnych kształtach. Podoba mi się sposób, w jaki mówi. Jej słowa przypominają otwory w drewnie, zaglądam przez nie do innego świata. Chciałbym namalować mur, który by przypominał *Ale głównie powietrze*, tyle że u mnie dominowałoby światło.

– Kto jest twoim ulubionym artystą tworzącym w szkle? – pytam.

– Dale Chihuly. – Wyciąga telefon i przysuwa się bliżej, by pokazać mi jego prace. – Jedenastometrowy abażur w Muzeum Wiktorii i Alberta.

Wygląda jak te płataniny, które rysowała, tyle że zwisa z sufitu. Niebiesko-żółty. Ocean przechylony na bok.

– Według mnie wygląda jak uczucie wyciągnięte prosto spod czyjejś skóry – mówi.

– Powtórzę: nie przypominasz innych dziewczyn. – Powiększam obraz, żeby lepiej się przyjrzeć. – Szkło występuje w takim kolorze? Czy miesza się je jak farbę?

Tłumaczy, że do szkła dodaje się tlenki metalu.

– Kobalt daje głęboki odcień niebieskiego – mówi. – Żeby uzyskać ciemną zieleń, można dodać chromu. Złoto jest trochę podstępne, ale jeśli odmierzy się odpowiednią dawkę, można uzyskać czerwień.

Jej słowa są obrazami, a ja maluję je na murze w swoje głowie.

LUCY



Ed patrzy na abażur Dale'a Chihuly'ego i widzę, że jemu też się podoba. To Al pokazał mi jego prace. Siedziałam na schodach po pierwszym dniu przy dmuchaniu szkła, cała w oparzeniach i rozczarowana.

Wyszedł i usiadł obok mnie, z dwiema książkami, podręczną apteczką i paczką M&Msów.

– To się zdarza – powiedział, patrząc na moje ramiona i podając środek dezynfekujący. – Dobrze sobie poradziłaś.

– Widziałeś, co się stało, kiedy dmuchnęłam w puszczel? Szkło wyglądało jak kosmita. Nawet dmuchać nie potrafię.

– Kiedy nauczę cię wszystkiego, co potrafię, będziesz umiała zrobić coś takiego – odparł, otwierając jedną z książek na zdjęciu z abażurem Chihuly'ego. – Chyba tego właśnie chcesz?

Obejrzałam resztę zdjęć, skręcone szkło w żółciach, błękitach i srebrze.

– Tak, tego chcę. I tworzyć takie rzeczy jak twoje wazony-uchy.

– Możesz zacząć od robienia rzeczy podobnych do moich czy jego. Ale myślisz zupełnie inaczej niż wszyscy znani mi ludzie. Kiedyś pójdziesz własną drogą. Ale najpierw musisz się uczyć. – Podał mi drugą książkę, zatytułowaną *Właściwości szkła*.

– Zabrałam ją do domu i czytałam co wieczór – mówię Edowi. – Al w ramach dedykacji wpisał cytaty z Lina Tagliapietry, jednego z najlepszych na świecie artystów tworzących w szkło. Nie pamiętam dokładnie tego cytatu, ale chodziło o to, że nieważne, w jaki sposób tworzysz dzieło ze szkła, ważne, jak sprawić, by nie zniszczyło samo siebie.

– Jak to? – pyta Ed.

Procesy najtrudniejsze do zwalczania to te, które dzieją się pod powierzchnią. Kiedy coś tworzę, próbuję wyobrazić to sobie od początku do końca. Zaczyna się od bazowej mieszanki złożonej z krzemionki, sody i kleju, które osobno w ogóle nie przypominają tego, co z nich powstanie.

Ale wystarczy je podgrzać i zmienić w postać płynną, wyważyć właściwości, a masa pozostanie płynna wystarczająco długo, by dało się ją zmienić. By stworzyć z niej niemal wszystko, czego się tylko zapragnie.

– Wszystkie składniki szkła – powiedział mi Al – działają razem. Ale jeśli nie stworzy się odpowiednich warunków, staną się na powrót tym, czym wcześniej były. Jeśli nie odprężysz szkła, fragmenty o różnej grubości schłodzą się w różnym tempie, a to wywoła powstanie wewnątrz pracy naprężenia, które może ją rozsadzić na kawałki.

Chihuly rozumie szkło, potrafi zmieniać je w lód, kwiaty, abażury, które w moich oczach wyglądają jak tęsknota, złamane serce i nadzieja.

Nie mam pojęcia, jak to wytłumaczyć Edowi, ja to wiem, ponieważ widziałam, nie dlatego, że rozumiem cały proces w sposób naukowy. Al twierdzi, że pewnego dnia nauczę się więcej i zrozumie również teorię, ale na razie wystarczy, że znam szkło, wyczuwam je dłońmi i ramionami. Potrafię stworzyć przedmiot, który nie ulegnie zniszczeniu, ponieważ go czuję. I dzięki temu, że Al mnie prowadzi.

Mówię Edowi:

– Przyjdź do pracowni, to ci pokażę. Kwestię naprężenia w szkło najłatwiej zrozumieć, jeśli coś się zrobi i zniszczy.

Pamiętam, jak Al kazał mi wydmuchać wazon i nie wkładać go do odprężarki. W ciągu niecałych dziesięciu minut wazon popękał. Ale i tak zabrałam go do domu i umieściłam na parapecie. Podobało mi się, jak światło układa się na rysach.

– Pokażesz mi, jak się robi coś, co nie pęka? Z użyciem kobaltu? – pyta Ed.

– Kocham naukę – odzywa się głos za naszymi plecami.

Odwracam się.

– Cześć, Malcolm.

– Kurwa – mówi Ed. – Kurwa.

– Opowiedziałas Edowi o kropli księcia Ruperta? Kiedy wpuści się odrobinę rozgrzanego szkła do lodowatej wody, zawsze powstaje taka wielka główka

z cienkim ogonkiem.

– Jak łąza – mówię do Eda. – Nazwano je na cześć księcia Ruperta Reńskiego, który bardzo interesował się szkłem.

– Można walić w główkę młotkiem, ścisnąć szczypcami, torturować na wszelkie możliwe sposoby, a ona i tak nie pęknie – dodaje Malcolm.

Widziałam to na własne oczy, Al wszystko mi wytłumaczył, ale nadal nie do końca rozumiem.

– Zdaje się, że chodzi o to, że zewnętrzna warstwa szkła schładza się i twardnieje podczas gdy środek wciąż jest ciepły. Potem środek zaczyna się kurczyć i w szkłe powstaje ogromne naprężenie, tak duże, że kropla nie pęka.

– Wystarczy jednak choćby lekko popukać w ogonek, a ten się złamie, tym samym naprężenie znika i całość momentalnie wybucha – tłumaczy Malcolm.

– Fajna sprawa – dorzucam. – Trzeba to robić w wodzie czy słoiku z pokrywką, ponieważ szkło rozpada się w drobny pył i wybucha na wszystkie strony.

– To niemal metafora kondycji ludzkiej – mówi Malcolm. – Człowiek jest silny, ale wystarczy trafić w odpowiedni punkt i się rozpada.

Jego słowa wydają mi się bardzo poetyckie – do chwili, gdy wyciąga młotek.

– Kurwa – powtarza Ed. – Kurwa.

ED



– Kurwa. Kurwa. Ty go znasz? – pytam Lucy, a Malcolm obraca młotek w dłoniach. – Nie rozumiem, jak to możliwe.

– To facet, którego spotkałam na imprezie – mówi Lucy, nie odrywając wzroku od młotka.

Ja patrzę na garnitur.

– To jego wzięłaś za Shadowa?

– Na swoją obronę mogę powiedzieć, że nie trzymał wtedy w ręku młotka.

– Odbyliśmy z Lucy uroczą pogawędkę na temat miejsc, w których można cię znaleźć dzisiaj nocy – mówi Malcolm.

– Powiedziałaś mu, gdzie będziemy?

– Tak – odpowiada z wolna, ze zdezorientowaną miną. – Myślałam, że to twój znajomy.

Prędko wyprowadzam ją z błędu.

– Nie, to psychopata.

Spoglądam na rower, ale Malcolm kiwa palcem. Zaraz rozwali mnie w pył, jak pieprzoną kroplę księcia Ruperta. Jego zbiry stoją opodal, szurają nogami, czekają, szurają i czekają. Nikt nie chciałby spotkać tych typów w ciemnej uliczce.

Ani nawet w jasnej.

– A więc – mówi Malcolm – Leo jest mi winien pieniądze.

– Jutro je dostaniesz.

– Chcę teraz.

– Oszukałeś mnie – wtrąca Lucy, która widocznie wreszcie zrozumiała.

W niecałą minutę przeszła od dezorientacji do gniewu. Zastanawiam się, czy zakryć jej usta dłonią, ale nie ma na to czasu. – Zachowywałeś się tak, jakbyś po prostu chciał się później ze mną spotkać.

I chociaż głupio z jej strony, że to mówi, bo wpakowaliśmy się, jak by ujął to Bert, w niezłą kabałę, mimo woli, na widok jej zdziwionej miny, zaczynam się śmiać. Jakby nie mogła wyjść ze zdumienia, że jakiś facet, którego dopiero co poznała, okazał się inny niż w jej wyobrażeniach. Jakby to było takie niepojęte, że facet w eleganckim garniaku, który potrafi miło zagadać, wcale nie jest taki znowu miły.

– Nie pozwól mu się za bardzo do siebie zbliżyć – mówię. – On jada karaluchy.

– Karaluchy? – powtarza Lucy. – Karaluchy?

Malcolm uśmiecha się szeroko.

– Zjadłem tylko jednego. A teraz – stuka młotkiem o swoją nogę – chciałbym, żebyś przekazał Leo ode mnie wiadomość.

– Tylko tyle? Chcesz, żebym przekazał mu wiadomość? – pytam. – Dobra.

Czuję się szczęściarzem, ale tylko przez chwilę, bo nagle on i jego ludzie ruszają w naszą stronę i już wiem, że ta wiadomość przybierze formę sińca na mojej twarzy. Nie mogę oderwać wzroku od leżącego na ziemi roweru Lucy.

– Nie próbuj uciekać – ostrzega Malcolm – bo wtedy ona będzie musiała przekazać wiadomość.

Lucy zdążyła otrząsnąć się z karaluchowego szoku, słucha bardzo uważnie. Przysuwa się do mnie i bierze mnie za rękę, a ja z przerażonego robię się wściekły. Czekałem całą noc, żeby to zrobiła, i byłoby cudownie, gdyby tylko nie stał przed nami psychopata ze swoją armią odmóżdżonych najemników. Ponieważ mam dosyć syfu, o który od pewnego czasu ciągle się potykam. Chcę coś z tym zrobić, na przykład wepchnąć Malcolmowi pięść prosto w twarz i zwiać, ale wiem, że wtedy on zrobi krzywdę Lucy.

– Dam wam chwilę na zastanowienie, które z was przekaże wiadomość – mówi Malcolm, po czym podnosi rower i rusza w stronę swoich zbirów. Zawsze uwielbiał teatralne efekty. Pamiętam, że zanim zżarł tego karalucha, najpierw posypał go pieprzem.

– Potrzebny nam plan – mówię cicho. – Nie chcemy go wkurzyć, więc kiedy wróci, z niczym nie wyskakuj.

– Dobra – mówi Lucy, obserwując zbliżającego się w naszą stronę

Malcolma.

– Kto przekaże wiadomość? – pyta Malcolm.

Już mam odpowiedzieć, gdy Lucy mnie uprzedza:

– Czemu nie przekażesz jej bezpośrednio Leo? A, czekaj, ponieważ się go boisz. Pieprznięty karaluchozerca, tchórz, skurwysyn.

Patrzę na nią.

– Skurwysyn?

– Skurwysyn – potwierdza Lucy.

– Następną osobą, która nazwie mnie skurwysynem, przekaże wiadomość.

– Skurwysyn – mówimy chórem Lucy i ja.

Cholera. Klóćmy się, kto zanieś wiadomość, ale Malcolm tymczasem wybiera Lucy. Podchodzi do niej i świat w moim wnętrzu zaczyna poruszać się szybko, a świat na zewnątrz zastyga. Przez sekundę, kiedy opuszcza młotek, czuję się lepiej, ale potem znowu gorzej – bo nagle wyciąga cyrkiel i obraca go w palcach jak zadziorny sztukmistrz w cyrku.

– Zrobię jej kolczyk w brodawce.

– Na pewno, kurwa, nie – mówię. Po pierwsze, nie chcę, by cokolwiek przypominało mi o Malcolmie, jeśli jednak poszczęści mi się z Lucy, a po drugie, jej ciało podoba mi się takie jakie jest. Próbuję walczyć, ale zbiry mnie przytrzymują, w środku jestem jednym wielkim wirem, trąbą powietrzną, a kiedy Malcolm mówi jej, żeby podwinęła koszulkę, totalnie tracę kontrolę.

Oswobadzam jedno ramię i robię zamach, ale chybiam, wrzeszczę do Lucy, żeby uciekała, ona jednak nie chce, kopię Malcolma w kolano, w nadziei, że wkurzę go na tyle, by to mnie chciał zrobić kolczyk. Odnoszę zamierzony skutek.

Każę mi podciągnąć koszulkę i przykładam cyrkiel do skóry. Zamykam oczy, czuję dotyk ostrego czubka. Będzie bolało, i to bardzo. Lucy znowu bierze mnie za rękę, co jest miłe, ale w sumie już nie jestem w nastroju.

Malcolm przerywa.

– Uczynię ci przysługę. Najpierw przebiję ci ucho.

– Musimy zdefiniować... Kuurrrrwaaa! – drę się, gdy Malcolm wciska cyrkiel w płatek mojego ucha.

I wtedy Lucy wali go w twarz. Na moment odwracam wzrok, potem znowu patrzę. To zbyt piękny widok, by go przegapić. Leje się krew, słychać wrzaski, a mnie od razu poprawia się samopoczucie, bo ja nie wrzeszczałem, kiedy Lucy mi przywaliła, płakałem dopiero później, na skutek działania środków znieczulających.

– To nie był wypadek, proszę pana – mówi Lucy. A potem robi się biała jak ściana. Podczas gdy zbiry oglądają nos Malcolma, podnoszę rower, każę jej wsiadać i odjeżdżam. Kask z błyskawicą obija się o kierownicę.

Moje stopy naciskają pedały, serce wiruje jak szalone, co za wspaniałe

uczucie, nie daliśmy się palantowi, który uważa, że może nam rozkazywać, a my go posłuchamy, ponieważ przyparł nas do muru i nie ma dla nas drogi ucieczki. A jednak jest. Uciekliśmy. Pędzimy przez park, fruniemy, gdzieś z przodu wznosi się światło, to ze skateparku, latarnia wisząca nad ścianą, którą chcę jej pokazać.

– Co tam? – wołam.

– Będę wymiotować.

– To kiepsko, bo wszystko wyląduje na mnie. Chodziło mi o to, czy ich zgubiliśmy.

Czuję, jak się odwraca.

– Jest dobrze. Już ich nawet nie widać. Jak ucho?

– Jest w nim dziura na szerokość cyrkla, więc, no wiesz... Boli.

Trzyma ręce na moich plecach, pędzimy dalej przez park, na naszym ucieczkowym rowerze. Powietrze znów się porusza, rozstępuje się przed nami. Zatrzymuje się w skateparku, spadamy w trawę, otoczeni gorącym powietrzem i naszych oddechów.

– Nieźle mu przywaliłaś.

– Mam nadzieję, że nic mu nie będzie.

– Mam nadzieję, że trafi do szpitala.

– Myślisz, że jesteśmy tutaj bezpieczni? Może nas ściga.

– Uwierz, byłem w jego sytuacji. Donikąd nie pobiegnie. A nawet jeśli, zanim nas dogonią, będzie tu Leo.

Lucy wyciąga z kieszeni chusteczkę, starą i brudną, pewnie umrę na zakażenie, ale nic nie mówię, bo właściwie wszystko mi jedno. A to dlatego, że jestem tak blisko niej i widzę znamię na jej szyi, i znowu stoję pod tym murem, maluję te linie, zarys twarzy, który jest jedną wielką tajemnicą, a ja tak bardzo chciałbym ją zrozumieć. Tylko że tym razem z mojego samochodu nie idzie dym, bo jest zainteresowana. Być może.

Patrzy ponad moim ramieniem, dotyka mojego ucha, obejmuje spojrzeniem graffiti. Potężny sztorm, potwór. Fale wyższe od budynków. Całą noc mi zajęło, nim błękity i zielenie zaczęły się poruszać, zlewać ze sobą, łączyć i rozłączać. Nim żółte niebo zaczęło się obracać nad ciemnymi falami, nad dwiema postaciami na brzegu. Gość z deską surfingową, a obok mała rybka. Ja i Beth na samym początku. Ja i Bert. Ja i Leo.

Lucy patrzy na graffiti, potem znów na moje ucho, i nie wiem, czy rozpoznała mnie na tej ścianie czy nie. Jak mogłaby mnie nie rozpoznać? To przecież ja, facet na brzegu, uwięziony przez fale, szukający takiej, po której da się popłynąć.

– Co o tym sądzisz? – pytam, ale ona znów patrzy na moje ucho.

– Nie przebił go na wylot. Albo to zalecz, albo idź na całość.

Przysuwam się bardzo blisko, mój oddech dotyka jej oddechu, a ona się nie

cofa. W ogóle się nie porusza.

– Wolę iść na całość – mówię i czuję się jak totalny palant, ale to poczucie wcale nie psuje chwili. Lucy pochyla się do przodu, za chwilę ją pocałuję. Nareszcie ją pocałuję. Też się pochylam, moje wargi są tak blisko, bardzo blisko. Nagle Lucy robi się blada, a ja gwałtownym ruchem odsuwam się na bok, przekonany, że zaraz zwymiotuje.

LUCY



Oddech Eda wędruje po mojej skórze, czuję się, jakbyśmy zwisali z nieba czy sufitu. Dyndamy obok siebie, nasze stopy, pozbawione oparcia, wiszą w powietrzu. Gdybyśmy się dotknęli i usłyszałybym dźwięk dzwonów, wcale bym się nie zdziwiła. Przyciskam chusteczkę do jego ucha, palce mrowią. Pyta, co o tym sądzę, a ja odpowiadam, że może zostawić, żeby się zagoiło albo pójść na całość. Wybiera to drugie.

Mówi to tonem, który sugeruje, że jest fajnym gościem, nie palantem, a przecież wypowiadając takie słowa, ponosi najwyższe ryzyko. Nie jestem już niczego pewna, nie wiem, czy Ed ma na myśli to, co mi się wydaje, nie wiem, może to adrenalina płata mi psikusy. Nie wiem, czy to on mi się podoba czy Shadow. Może obaj. Na pewno nie Malcolm Dove.

Jak już mówiłam, dziewczyna nie potrafi jasno myśleć w stanie porażenia prądem, a jeśli Ed jest tosterem, to ja jestem dziewczyną z nożem. Chcę coś powiedzieć, może zapytać go, co ma na myśli albo po prostu pozwolić, żeby mnie pocałował, bo chyba właśnie do tego zmierzamy, ale w tym momencie w głowie przelatuje mi Malcolm z rozbitym nosem i Malcolm jedzący karalucha, czuję w środku coś kwaśnego i jestem pewna, że zaraz wymiotuję.

Chyba wszyscy eksperci się zgodzą, że wymiotowanie w chwili, gdy chłopak

próbuję cię pocałować, to bardzo zły pomysł. Zniechęciłby każdego, może za wyjątkiem kogoś naprawdę, naprawdę zainteresowanego, a ja nie jestem pewna, czy Ed jest aż tak zainteresowany. Próbuję nie myśleć o krwi Malcolma, lecz im mocniej próbuję, tym bardziej o niej myślę.

– Nos Malcolma – mówię do Eda, żeby nie odniósł błędnego wrażenia. – I karaluch. – Nie chcę, by myślał, że zemdliło mnie na myśl o jego pocałunku.

– Pochyl się do przodu – radzi. – I pomyśl o czymś miłym. Co jest dla ciebie miłe?

– Z pewnością możemy wykluczyć ten moment.

– Opowiedz mi jeszcze o szkle.

Pochyliłam się, tak jak mi kazał, i biorę kilka wdechów.

– Al twierdzi, że dobrze rokuję. W ten uprzejmy sposób daje do zrozumienia, że czasem tworzę piękne rzeczy, a czasem moje wytwory wybuchają.

– Nie jesteś do końca bezpieczną dziewczyną.

– Nie jesteś do końca bezpiecznym chłopakiem.

– Jaka była najgorsza rzecz, która spotkała cię w pracowni? – pyta Ed.

– Raz cofnęłam się i wpadłam na palnik.

– O kurwa.

– To właśnie powiedziałam. Tylko głośniej. Znacznie głośniej. – Podciągam rękaw i pokazuję mu białą rzekę oparzenia. – Czasem jestem w pracowni, a Liz, Jack i Al poruszają się w szybkim rytmie, mówią językiem, którego nie rozumiem, ponieważ nadal się uczę. A czasem w ogóle nie posługują się słowami.

Ed kiwa głową.

– Al mówi, że tak już jest. Każdy popełnia błędy. Niezależnie od doświadczenia przy pracy ze szkłem.

Uspokaja mnie szum samochodów dobiegający z bocznej drogi. Podobnie działa oddech Eda. Patrzy na graffiti Shadowa. Na fale i niebo kłębiące się wokół faceta z deską surfingową.

– Jak myślisz, to tsunami? – pytam.

– Fale tsunami nie są tak wysokie jak inne fale. Gdybyś pływała łódką po otwartym morzu, fala mogłaby przepłynąć pod spodem, a ty byś nic nie zauważyła. Dopiero bliżej brzegu robią się takie wielkie jak na tym graffiti.

– Nie wiedziałam. Człowiek jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Przyglądam się graffiti jeszcze przez chwilę.

– On wie, że znalazł się w niebezpieczeństwie, ale jest przekonany, że ryba go uratuje.

– To tylko graffiti – mówi Ed.

– Nic nie jest tylko czymś – odpowiadam. – Malujesz to, co masz w głowie.

– A więc może Jazz ma rację. Może gonisz faceta, który jest totalnym

zjebem.

– Każdy człowiek czasem tak się czuje. Jakby zatapiała go gigantyczna fala, fala pochodząca z wnętrza. Na pewno tak się czułeś, kiedy rzuciłeś szkołę.

– Miałem Berta.

– A więc miałeś rybę.

Wciąż wpatruje się w ścianę, a ja wpatruję się w niego, przypominam sobie to uczucie porażenia prądem, które wywoływał we mnie na zajęciach w szkole. Myślę o jego szkicowniku, którego nigdy nikomu nie pokazał.

– Nigdy nie widziałam, jak rysujesz – mówię. – Szkicownik zawsze chowałeś. Sam zrobiłeś ten T-shirt?

– Aha – mówi.

– Robisz wszystkie swoje T-shirty?

– Aha.

– A więc też jesteś dobry – stwierdzam, a on przenosi spojrzenie z muru na mnie.



ED

– No co? – pyta.

A ja nie myślę, ponieważ jeśli zacznę myśleć, nie zabiorę jej tam ze sobą. A muszę. Zabrnęliśmy za daleko. Chcę ją pocałować. Chcę odpowiedzieć na jej pytania. Chcę sam zadać jej pytania. Chcę na nią patrzeć, kiedy pracuje. A nie mogę mieć tego wszystkiego, dopóki nie pozna prawdy.

Tak więc idziemy dalej. W stronę części parku, gdzie nie docierają światła latarni. Tam, gdzie chodzę, kiedy nie ma ze mną Leo. Przez ogrodzenie, które wyznacza granicę skateparku. Robię nam drogę za pomocą światła przy jej rowerze. Przez ogrodzenie na pustą parcelę.

– Mamy prawo tu być?

– Pewnie nie – odpowiadam. Ale idę dalej, a ona idzie razem ze mną, prowadzę ją do przyczepy na samym końcu parceli.

Już nikt w niej nie mieszka, przychodzę tu, kiedy chcę malować, nie martwiąc się, czy ktoś mnie zaraz nie przyłapie. Przyczepę zrobiono w latach pięćdziesiątych, jest w kolorze jasnej zieleni. Mówię Lucy, że widziałem stare fotografie mojej prababci, która stoi przed przyczepą identyczną jak ta, przysłaniając sobie oczy przed błyskiem lampy.

Wchodzimy. Nie ma elektryczności, musiałyby nam wystarczyć światło rowerowe, ale na szczęście trzymam tu latarkę. Udaję, że znalazłem ją przypadkowo, włączam. Robimy świetlne drogi na sobie nawzajem i na graffiti.

Środkiem ściany biegnie namalowany przeze mnie korytarz, siedzą w nim ptaki, ściśnięte tak mocno, że skrzydła mają przyklejone do ciała bądź wykręcone pod dziwnym kątem. Tak mocno, że trzeba porządnie się przyjrzeć, by odróżnić pióra i dzioby. Z bliska widać, że niektóre próbują śpiewać.

Wzdłuż korytarza ciągną się drzwi, takie jak w mojej głowie. Niektóre są zamknięte, na takie kłódki jak chihuahua Lucy, inne na zamki szyfrowe, takie, jakich używamy w szkole. Niektóre w ogóle nie są zamknięte, ale za nimi znajdują się pomieszczenia, w których jest jeszcze więcej ptaków.

Te zamknięte wiodą do nieba, które rozciąga się na suficie przyczepy, błękit przechodzący w biel, czerń i znowu błękit. Jakimś sposobem ptaki wiedzą, że za zamkniętymi drzwiami znajduje się coś dobrego. Niektóre próbują otworzyć zamki szyfrowe, posługując się skrzydłami i dziobami, inne próbują zerwać je dziobem.

Ten graf malowałem kilka miesięcy. Czasem podczas pracy myślałem o sobie. Czasem myślałem o Leo, o tym, jak wyglądało jego życie, zanim wy dostał się z zoo. Czasem o mamie. Mówi, że niczego by w swoim życiu nie zmieniła. Wierzę jej, ale czasem widziałem ją w środku nocy, jak siedziała przy kuchennym stole i wkładała pieniądze do puszek podpisanych: „jedzenie”, „czynsz”, „gaz”, „elektryczność”. Na jednej zawsze widniał napis „Pez i drobniaki dla Eda”. Dopiero po pewnym czasie dotarło do mnie, że żadnej puszką nie przeznaczyła dla siebie.

Lucy przesuwa światło po ścianach, potem kieruje je na mnie. Wydaje mi się, że w panującej ciszy słyszę te ptaki. Zastanawiam się, czy gdzieś tu w pobliżu może są prawdziwe ptaki. Czy ten dźwięk pochodzi z mojego wnętrza.

– Skąd wiedziałeś o tym miejscu? – pyta Lucy, a ja odpowiadam, że Leo i ja zawsze przychodziliśmy do tego parku.

– Kłamiesz – stwierdza. – Znasz go. Naprawdę go znasz.

Do odważnych świat należy, jak powiedziała by Bert, więc odpowiadam:

– Trochę. Tak jakby.

Nie wygląda na zagniewaną, więc mówię dalej:

– Nie powiedziałem ci, bo pomyślałem, że możesz się rozczarować. Nim. Nie jest taki, jak ci się wydaje. To nie jest zły facet. Nie jest takim pojebem, jak twierdzi Jazz. – Próbuję się zaśmiać, ale wychodzi słabo. – Jakiś czas temu stracił pracę, a jego mama potrzebuje pomocy przy płaceniu czynszu. Romantyczna miłość, która ci się marzy, idealny facet w twojej głowie. On nie jest taki. – Wskazuję na ścianę. – Moim zdaniem jest taki.

Lucy kiwa głową, ale chyba jednak nie rozumie, a ja muszę sprawić, by zrozumiała.

– Zamierza okraść twoją szkołę. Skrzydło, w którym odbywają się zajęcia ze sztuki.

Wreszcie wypowiedziałem te słowa. Maluję dla nas ścianę, Shadow ponownie łączy się z osobą, której do tej pory był tylko cieniem, staje się cielesny. Nie potrafię odpowiednio szybko odnaleźć słów, które powinienem jej powiedzieć, sama wypełnia za mnie kontury.

– Skrzydło pani J.? Chce okraść innych artystów? On kradnie? Jest przestępcą.

– Wiedziałaś o tym. To grafficiarz.

– To co innego niż złodziej – mówi.

Zgadza się, ale chcę, żeby przyjrzała się temu miejscu, żeby naprawdę je zobaczyła. Dostrzegła, że ta ściana zaczyna się lata temu i wybiega w przyszłość. Oto, jak to jest być mną. Chcę, by powiedziała, że rozumie, rozumie Shadowa, jak to jest być nim. I jeśli nawet jest taki jak to graffiti, ona i tak go chce.

Nim zdążymy coś jeszcze powiedzieć, przychodzi esemes od Jazz.

– Są w skateparku – informuje Lucy, ruszając do wyjścia. Siadam na łóżku, pytam ją, co sądzi na temat tego obrazu. Długo nie odpowiada, ale czekam, ponieważ muszę się dowiedzieć.

– Wywołuje we mnie smutek – odpowiada. – I poczucie zagrożenia. Chcę już iść.

Wyłączam latarkę i wychodzimy. Lucy idzie bardzo szybko, niemal biegnie.



LUCY

Ed prowadzi mnie przez park, zabiera mnie do kolejnego graffiti Shadowa, chcę je zobaczyć, ale już z innych powodów. Chcę je zobaczyć, ponieważ jestem z nim. Dziwne światło i miękkie kroki, i owady śpiewające skrzydełkami. Nic bym nie dorysowywała.

Przechodzimy przez ogrodzenie oddzielające park od pustej parceli. Pytam, czy wolno nam tu wchodzić, a on odpowiada, że pewnie nie, ale i tak idziemy dalej. Nie potrafię rozpoznać ciemnego kształtu w kącie, a on nic nie mówi. To chyba szopa, a może drzewo czy skrzynia. Dopiero z bliska dostrzegam, że to przyczepa kempingowa, mała, o zaokrąglonych rogach.

– Mama ma fotografię mojej prababci, stojącej przed taką przyczepą – opowiada Ed. – Fotografia jest podkolorowana, barwy są sto razy bardziej intensywne niż w rzeczywistości.

Jego włosy tworzą wariackie kształty pośród nocy, mało brakuje, bym to powiedziała, lecz wygląda na zdenerwowanego i myślę sobie, że może przyprowadził mnie tutaj, żeby znów spróbować mnie pocałować, więc milczę, by nie zepsuć nastroju.

Wchodzę do środka, Ed znajduje latarkę, przesuwamy snopy światła po ścianach. Są tam zlew, niewielka wbudowana sofa i dwa łóżka. Szafki chyba

usunięto. Shadow zamalował całą powierzchnię ściany. Ogarnia mnie dziwne uczucie. Jakbyśmy znaleźli się w dryfującym salonie.

Cieszę się, że nie jestem sama w tych korytarzach, pośród ptaków, które próbują przebić się do nieba. Wyobrażam sobie, jak Shadow pracuje w miejscach, gdzie powietrze stoi, nie ma światła, a szyby pokrywa pajęczyna spękań.

– Skąd znasz to miejsce? – pytam, a Ed odpowiada, że on i Leo często bywają w tym parku. Brzmi prawdopodobnie, ale jakoś nie wierzę.

– Kłamiesz – rzucam, tak na próbę, przesuwając światło ze ściany na jego twarz. I już wiem. Ed zna Shadowa. Naprawdę go zna. Może nawet się przyjaźnią.

Mówi, że Shadow jest złodziejem. Przestępcą. Przez cały czas, kiedy Ed mówi, nasze cienie się poruszają, a ptaki wyfruwają na zewnątrz, i ja też chciałabym znaleźć się tam z nimi, z Edem, z dala od tych korytarzy. Nie chcę być z chłopakiem, który okrada szkołę.

Dostaję esemes od Jazz.

– Są w skateparku. – Chcę od razu tam iść, ale Ed siada na jednym z wąskich łóżek.

– Nie powiedziałaś, co myślisz o tym obrazie.

Nie chcę o nim mówić. Chcę stąd wyjść, by wydarzyła się pozostała część nocy. Chciałabym usłyszeć więcej na temat obrazów Vermeera, które podobają się Edowi, chcę usłyszeć więcej na temat Berta. Chciałabym rozmawiać z nim przez całą noc, a potem w ogóle nic nie mówić. Chcę pójść do pracowni i przedstawić go Ałowi. Jest we mnie zbyt wiele pragnień jak na takie mroczne miejsce.

– I co? – pyta Ed, a ja mimowolnie myślę, że może on chce, bym powiedziała coś, co sprawi, że uwierzy, iż to jego chcę pocałować, nie Shadowa. Mówię mu prawdę, bo chcę, żebyśmy stąd poszli. Mówię, że to graffiti budzi we mnie smutek i poczucie zagrożenia, bo tak jest. Nie podoba mi się wizja człowieka, który kryje się w ciemnościach i maluje takie rzeczy.

– Chcę już iść – dodaję. Chcę opuścić Shadowa, żebyśmy zostali sami, ty i ja.

Wyłącza latarkę i odkłada na miejsce. Idziemy z powrotem w stronę skateparku, upewniam się, że moja dłoń znajduje się tam, gdzie mógłby ją pochwycić. Ale tego nie robi.

Wszyscy już na nas czekają, Ed mówi, że poszliśmy na spacer, bo źle się poczułam.

– Mało nie zwymiotowała. – Prawda, lecz mało seksowna.

– Upiłeś ją? – pyta Jazz.

– Nie upiłem jej. Za to zaatakował ją Malcolm Dove. To znaczy, ściśle rzecz biorąc, zaatakował mnie, a Lucy złamała mu nos. Musimy się stąd ulotnić, w razie gdyby wrócił.

– Najpierw muszę napić się wody – mówię, bo naprawdę tak jest, a poza tym

chcę porozmawiać na osobności z Daisy i Jazz.

– Pięć minut – mówi Leo. – Ed ma rację.

Kiedy tylko odchodzimy poza zasięg głosu, zaczynam:

– Dobra. Znacie przebieg wydarzeń do chwili, kiedy spadliśmy ze wzgórza.

– Aha – potwierdza Jazz. – Ed jest wstrętnym kłamcą, a ty utknęłaś w krainie gorsetów i romantycznych uniesień.

– Właśnie. – Opowiadam, co działo się potem: sztuka i szkło, wizja przebitej brodawki, karaluchy, i jak Ed ruszył mi na ratunek, jak złamałam Malcolmowi nos, jak Ed o mało mnie nie pocałował, a ja o mało nie zwymiotowałam, i o tym, że Shadow jest kryminalistą.

Jazz otwiera usta, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Daisy splata ramiona na piersi.

– No i?

– No i rzekłabym, że kraina gorsetów została daleko za nami – wyrokuje Jazz. – Myślisz, że ten van, po który poszedł Leo, ma coś wspólnego z jego długiem?

– Może to van, którym zamierzają uciec – podsuwa Daisy.

– W takim razie głosuję, żebyśmy nim uciekli. W tej chwili. Malcolm wydaje się nieobliczalny.

Zerkam na facetów.

– Coś kombinują. Nie sądzicie, że coś kombinują?

– Możliwe – odpowiada Daisy. – Ale to porządni faceci. Dylan nie zabrałby mnie ze sobą, gdyby planowali coś złego.

– Czasem można odnieść wrażenie, że nadal ci się podoba – mówię.

– Owszem, ale kretyń zapomniał o moich urodzinach. Znowu. Kiedy powiedział: Planuję coś na dzisiejsze popołudnie, myślałam, że tym razem pamiętał. A potem rozbił mi na głowie tuzin jajek.

– Wszystkiego najlepszego i fajnych urodzin – mówimy Jazz i ja.

– Na razie się na to nie zanosi – stwierdza Daisy.

Jazz podaje nam po lizaku.

– Pytanie brzmi: czy mamy wsiąść z nimi do tego vana? Jeśli nie wsiądziemy, utkniemy w parku i nigdy nie poznam lepiej Leo. A Leo naprawdę mi się podoba. Tańczyliśmy i graliśmy w pytania. Powiedział, że w jego wnętrzu mieszka ptak.

– Ty chyba lubisz twardzieli? – dziwię się.

– Jego ptak pije piwo.

– Mój ptak siedzi obok innego ptaka, który zapomniał o jego urodzinach – mówi Daisy.

– Mój ptak chce się całować – dorzucam.

– Mój ptak ma kilka pytań – dodaje Jazz. – To jak, zaryzykujemy?

Daisy i ja kiwamy głowami. Spoglądamy na chłopaków, patrzymy na ruchome zarysy ich sylwetek.



ED

Dziewczyny prowadzą Lucy do kranu, a ja przechodzę od razu do konkretów.

– Malcolm przebije mi brodawkę, jeśli nie oddasz mu kasy.

– Nie cierpię słowa „brodawka” – wyznaje Leo.

– Ja też. Zwłaszcza jeśli znajduje się w jednym zdaniu ze słowami takimi jak: cyrkiel, Ed, Lucy.

– Trzymaj się mnie. Nic ci się nie stanie.

– Będę musiał trzymać się ciebie do końca życia, jeśli nie zwrócisz mi długu. Lucy też. Łażą z nim jakieś groźne typy. Zadzwoń do Jake’a, zorganizuj wsparcie.

– Jak dostanie kasę, przestanie się czepiać.

Przypomina mi się krew buchająca mu z nosa, wrzaski.

– Tego nie wiem, ale przynajmniej poproś Jake’a, żeby spłacił twój dług, a ty później mu oddasz.

– Nie chcę mówić Jake’owi, że wiszę Malcolmowi kasę.

Leo jest dziwnie tajemniczy. Nie licząc dzisiejszej nocy, nigdy nie sprawia takiego wrażenia.

– Po co ci w ogóle pięćset dolców? – pytam.

– Nie twoja sprawa.

Wskazuję na przekłute ucho.

– Owszem, tak.

Dylan przygląda się bliżej.

– Zdezynfekował ten cyrkiel? Bo jak nie, to dostaniesz zakażenia.

– Wiesz, nie wydawał się zatroskany moim zdrowiem.

– A ponieważ nadal może przebywać w parku, moim zdaniem powinniśmy już stąd iść – stwierdza Leo. – Całe szczęście, że mamy ucieczkowy samochód. Teraz możemy pełnoprawnie tak go nazywać, ponieważ zamierzamy nim uciec przed Malcolmem.

– Rozumiem, Leo. – Odnoszę również wrażenie, że próbuje zmienić temat, przez co jeszcze bardziej intryguje mnie te pięćset dolarów, więc pytam jeszcze raz.

– Mówiłem, dla babci.

– Niebieska płukanka do włosów podrożała? – pyta Dylan.

– Moja babcia spokojnie dałaby ci radę, więc lepiej się zamknij. – Ponieważ to prawda, Dylan posłusznie się zamyka. Leo zwraca się do mnie: – Beth powiedziała, że czeka na ciebie w waszym miejscu o piątej rano. Chciała zobaczyć się z tobą wcześniej, ale powiedziałem, że jesteś zajęty.

– Świetnie. Na pewno uważa, że albo jestem z dziewczyną, albo poszedłem na włam.

– A ty robisz te dwie rzeczy naraz. – Wyciąga kluczyki i zaczyna je obracać.

– Tak sobie pomyślałem. Jest dopiero pierwsza trzydzieści. Mamy mniej więcej godzinę, potem odwieziemy dziewczyny do domu. Jak się nazywa ta babka od hokus-pokus, którą miała oglądać w kasynie twoja mama? Jazz Lady uwielbia zjawiska paranormalne.

– Z tyłków wyłażą nam sekrety, a ty chcesz iść do jasnovidzącej?

– Mów za siebie. Z mojego tyłka nie wyłażą żadne sekrety.

– Wyłącznie gówno – rzucam, a Dylan robi krok w tył.

– Dobra – mówi Leo – w czym problem?

W tym, że Lucy niemal napadnięto z jego powodu, w tym, że mnie napadnięto, a on nadal nie chce powiedzieć, na co mu te pięćset dolców. Ale nieraz byłem w tarapatach, a Leo pomagał mi bez pytania.

– Po pierwsze, boli mnie ucho. A nawet gdybym chciał pójść na występ Marii, to nie mam kasy na bilet.

Wyciąga pięćdziesiąt dolarów.

– Masz. Jake dał mi na benzynę.

Nie biorę ich, ponieważ tym samym wziąłbym pieniądze z akcji, a to by znaczyło, że już nie ma odwrotu, a ja jednak mam nadzieję, że jest. Wyobrażam

sobie nowe graffiti, drzewo kapiące pieniędzmi, pod spodem stoi facet i je zbiera. Obok umieszczam dziewczynę, która bardzo przypomina Lucy, facet zaś bardzo przypomina mnie, a kiedy się całują, pieniądze miękko opadają im na ramiona.

Leo wtyka mi pięćdziesiątkę do kieszeni.

– Przestań się zamartwiać. Nawet nie wierzysz w zjawiska paranormalne. Wpadniemy na chwilę do kasyna. Byle dalej od Malcolma. Zjemy coś. Odwieziemy dziewczyny do domu.

– Kto się wybiera do domu? – pyta Jazz, podchodząc do nas razem z Daisy i Lucy.

– Ed się zastanawia, czy nie skoczyć po bluzę – odpowiada Leo.

– Jest ponad trzydzieści stopni.

– Powiedziałem mu, że niepotrzebnie się martwi.

Jazz celuje w nas palcem.

– Gadać. Coś kombinujecie.

– Wyluzuj – mówi Leo. – Nic nie kombinujemy.

Jazz celuje w nas dwoma palcami. Po jednym u obu dłoni.

– Jeśli Daisy będzie musiała kogoś skopać, żeby się dowiedzieć, co jest grane, to na pewno się nie zawaha.

Daisy stuka stopą, a ja stoję naprzeciwko Dylana. Widziałem ją w akcji, jeden kop wydobędzie prawdę z jego ust.

– Planowaliśmy niespodziankę – mówi Leo. – Mama Eda poszła na spotkanie z tą jasnowidzącą, pomyśleliśmy, że was tam zabierzemy. – Patrzy na mnie. Już nie ma odwrotu.

– Maria Contessa – mówię.

– Maria Contessa? Jest najlepsza w branży. Pomaga glinom w dochodzeniach. Moja mama była kiedyś na spotkaniu z nią. Przyjeżdża do Australii może raz na pięć lat...

Jazz nawija o Marii, a ja już wiem, że za chwilę, pełni tych wszystkich sekretów, pójdziemy na spotkanie z jasnowidzącą, która współpracuje z glinami.

Leo szeroko się uśmiecha.

– Zapraszam do vana. – Rusza przodem w kierunku ulicy, ramieniem obejmuje plecy Jazz.

– Naprawdę nic nie kombinujecie? – pyta Jazz.

– Ja na pewno nie.

– Przysięgnij.

– Czy wy coś kombinujecie? – pyta Lucy, kiedy czekam, aż Leo odpowie.

Wracam myślami do tamtej nocy, kiedy rozmawialiśmy z Leo w ciemnościach, kiedy powiedział, że nie lubi spać, bo zawsze mu się coś śni. Powiedział mi o tym, bo pośród ciemności czuliśmy się tak, jakbyśmy wcale nie przebywali na jawie, jakbyśmy w ogóle nie byli prawdziwi.

– Przysięgam – mówi Leo do Jazz.

– Możesz mi powiedzieć – dodaje Lucy. Jesteśmy już niedaleko ulicy, samochody sączą w noc słoneczny blask. Jestem bliski powiedzenia prawdy. To ja jestem facetem, którego ścigasz. To ja jestem facetem z gigantycznymi falami w środku. To ja mieszkam w tym korytarzu, to ja jestem smutnym gościem, który wzbudził w tobie strach. Nadal chcesz to ze mną zrobić? Ale nie mam czasu nic powiedzieć, bo w tym momencie Leo uruchamia silnik i traci wątek.

Podchodzę. Leo rozgrzewa silnik z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Tylko nie mów, że to jest nasz ucieczkowy van – mówię cicho, opierając się o szybę.

– Nic się nie martw. Jest lepszy, niż wygląda.

Przestaję się przejmować, że inni nas usłyszą.

– Jest różowy. Wygląda jak różowy volkswagen z wielkim napisem Wolna Miłość.

– No i co?

– To, że ludzie nas zauważą. – Policja nas zauważy.

– Ludzie już nas widzą – odpowiada, spoglądając na dziewczyny. – Wsiadaj, później pogadamy.

Powtórka z Jake’a w jaguarze. Tyle że tym razem złapią Leo, Dylana i mnie i tak łatwo się nie wywinie. Tym razem to gliny będą ciągnęły nas za uszy, a nie jego babcia. Może Lucy, Jazz i Daisy też się dostanie.

– Wsiadaj – mówi samym poruszeniem warg. Lucy zagląda do środka i stwierdza:

– Jest wyłożony różową tapicerką. A z tyłu nie ma foteli.

– Siedzi się na podłodze – wyjaśnia Daisy. – I trzeba się trzymać, o, tak. – Pokazuje. – Widzisz?

Lucy kiwa głową, wsiada i mocno zaciska palce na różowym futerku, którym wyłożono vana poświęconego wolnej miłości. Dylan i Daisy siedzą po tej samej stronie, co ona, więc stawiam rower po przeciwnej. Nie wsiadam jednak, myślę intensywnie. Gdybym był porządnym facetem, nie zabrałbym jej na tę przejażdżkę. Nie zabieraj jej na tę przejażdżkę, powiedziałaby Bert. Jeśli ją aresztują, nie będzie mogła pójść na studia. I uczyć się o szkłe.

– Ed? – zagaja. Idź do domu, odpowiadam jej w myślach. Idź do domu, zapomnij o mnie i o tym drugim. Wracaj do domu, poglądaj telewizję, wstań rano, zrób swoje zamknięte w szkłe wspomnienia, idź na studia. Ale nagle ona się uśmiecha i myślę tylko o tym, by usiąść obok niej, więc wciskam się do środka i zamykam drzwi.

– Czyj tak w ogóle jest ten van? – pyta Lucy, przesuwając dłonią po puchatych różowych ścianach.

– Crazy Dave’a – odpowiada Dylan bez zastanowienia.

– Zabrałeś dziewczyny do Crazy Dave’a? – pytam.

– Czekaliśmy za rogiem – tłumaczy Jazz. – Leo stwierdził, że możemy z nim pójść, jeśli zostaniemy na zewnątrz.

Przynajmniej Leo zachowuje się, jakby miał jeszcze z pół mózgu. Moment.

– Ten van należy do Crazy Dave’a? – Próbuję zachować spokój, ale nic z tego.

– Kto to jest Crazy Dave? – pyta Jazz.

– Taki jeden – odpowiada Leo. – Nikt. Kumpel mojego brata. – Patrzy na mnie w lusterku, jego wzrok każe mi się przymknąć.

– Tak go nazywają, bo raz zjadł pięć karaluchów – wyjaśniam, a Lucy zatyka mi usta i mówi, żebym nie śmiał wspominać o karaluchach, a wszyscy pozostali się śmieją i zaczynają gadać o miejskich legendach.

Leo skręca, my podskakujemy, noga Lucy dotyka mojej. Odchylam głowę do tyłu, w uchu pulsuje ból, przez przednią szybę wpadają światła, które migoczą i wszystko się zlewa, i chciałbym wysiąść, ale znajdujemy się na autostradzie i nie ma jak stąd uciec, dopiero jak Leo zjedzie, a i wtedy może nie.

Zamykam oczy i maluję w głowie, tworzę ścianę, na której stoi facet-cień, a z przodu biegnie cień-droga. Czuję bliskość Lucy i chciałbym wszystko jej powiedzieć, w tym momencie. Ale te cienie śmieją się ze mnie i pytają: Co by ci z tego przyszło? Co ty sobie wyobrażasz? Nie możesz wrócić do stóp tamtego wzgórza i z nią tam zostać. Wcześniej czy później musisz wdrapać się na górę.

Miałem szansę, kiedy żył Bert. Miałem miejsce, do którego mogłem pójść każdego dnia. Miałem kogoś, kto przeganiał cienie z mojej krwi. Ale teraz zostałem sam, łączę po galeriach, próbuję pisać podania o pracę pełne błędów ortograficznych. Podania o pracę, której i tak nie chcę wykonywać.

Daisy mówi Dylanowi, żeby spadał. Otwieram oczy i widzę, jak mierzy poduszką w jej głowę, ale chybia i trafia Lucy.

– Ups – mówi Dylan, Daisy przypuszcza atak, a Dylan nie pozostaje dłużny. Widać wyraźnie, że tym dwojgu pozostało akurat tyle miłości, żeby się wzajemnie pozabijać.

Lucy ich obserwuje, od czasu do czasu próbują wciągnąć ją w kłótnię, ale ona tylko patrzy, jakby oglądała mecz tenisa, śledzi wzrokiem piłeczkę przeskakującą z jednej połowy kortu na drugą.

– Mogłeś zrobić jej krzywdę – mówi Daisy.

– To pluszowe serce. Nikomu nie robi krzywdy.

– Podobnie jak jajka, prawda?

– O to właśnie chodzi, co? O jajka?

– Nie mów tego tak, jakbyś sugerował, że jestem głupia. Rozbiłeś na mojej głowie cały karton.

– Zgadza się. Cały karton. Poświęciłem dla ciebie ostatnie sztuki. – Splota

ramiona na piersi. – Świętowaliśmy.

– Możemy otworzyć okno? – wtrąca Lucy. – Chyba mam chorobę lokomocyjną.

– Jesteś kretynem – mówi Daisy do Dylana. – Umawiałam się z kretynem.

– Leo – wołam – otwórz okno. Szybko.

– Nie masz prawa nazywać mnie kretynem, jeśli już ze mną nie chodzisz.

Trochę szacunku.

– Wysoko postawiłeś sobie poprzeczkę. Tylko twoja dziewczyna ma prawo nazywać cię kretynem.

– Czemu jesteś na mnie taka wściekła? W zeszłym tygodniu się całowaliśmy. – Zwraca się do Lucy: – Wiesz, czemu jest taka wściekła?

– A skąd Lucy ma niby wiedzieć? – pyta Daisy. – Może mnie byś zapytał?

Podczas gdy Dylan i Daisy krzyczą na siebie, Lucy coraz mocniej blednie, oni jednak niczego nie dostrzegają, nakręcają się coraz mocniej.

– Może byście się wreszcie zamknęli? Nie widzicie, że ona źle się czuje? – mówię.

– Wypuście mnie. Szybko – prosi Lucy.

– Leo, zatrzymaj van – wołam.

Daisy patrzy na Lucy.

– Zaraz zwymiotuje. Zatrzymaj van.

– Jesteśmy na autostradzie, na pasie szybkiego ruchu.

– Za. Trzy. Maj. Van – krzyczymy chórem. Lucy zwiesza głowę, a ja kładę dłoń na jej plecach, przytrzymuję ją, żeby się nie kołysała. Robi mi się od tego naprawdę przyjemnie, co jest dość żałosne, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Trzymajcie się – woła Leo, van jedzie dalej, a ja mocniej chwytam Lucy. Potem się zatrzymujemy, Lucy wyskakuje i osuwa się na kolana. Ale nie wymiotuje. Klęczy tak, ale nic poza tym się nie dzieje.

– Wrażliwa jest, nie? – mówi Daisy.

Odgarniam włosy Lucy do tyłu i myślę o tym, że chciałbym znaleźć się bliżej. Ale cienie mówią, że musiałbym być kimś innym, by to się stało. Może i bym mógł. Może istnieje sposób, bym stał się kimś innym niż gość, który namalował tamto graffiti wewnątrz starej przyczepy. Jaki sposób? pytają cienie, a ja nie potrafię odpowiedzieć.

Pozostali idą na stację benzynową po drugiej stronie autostrady, żeby kupić coś do jedzenia. Rozglądam się w poszukiwaniu miejsca, gdzie moglibyśmy poczekać, z dala od tego, w którym prawie zwymiotowała.

– Mam pomysł – mówię, po czym wdrapuję się na ogrodzenie. Znajduję się na wysokości dachu vana, muszę jednak wspiąć się wyżej. Nie da się tam wejść inaczej, niż stając na samym szczycie ogrodzenia, a myślę sobie, że jeśli spadnę stamtąd z wrzaskiem, całkiem zepsuję mój image supergościa.

– Musiałbyś być Supermanem, żeby to zrobić – stwierdza Lucy.

– A nie jestem?

Uśmiecha się szeroko i uchyla drzwiczki po stronie kierowcy. Potem wdrapuje się na ogrodzenie i wchodzi na dach po otwartych drzwiczkach.

Idę za jej przykładem.

– Niektóre dziewczyny pozwalają facetom zachować wizerunek fajnego gościa.

– Jakie dziewczyny?

Nie znam odpowiedzi.

– Ja nie jestem taka znowu fajna – mówi Lucy, kładąc się na dachu. – Właśnie o mało nie zwymiotowałam.

Kładę się obok niej i próbuję ją rozśmieszyć opowieścią, jak to w wieku dziewięciu lat zwymiotowałam w samochodzie. Nie kryję żadnych upokarzających szczegółów, wspominam nawet o tym, że obok zatrzymał się szkolny autobus pełen dziewczyn, które wszystko widziały.

– Został mi uraz na całe życie.

– Im pewnie też – zauważa, pstrykając bransoletką.

Odwracam głowę, by na nią spojrzeć. Jesteśmy na tyle blisko, że moglibyśmy się dotknąć, ale tego nie robimy. Wracam myślami do tego, co mówiła w przyczepie, i nie wiem, co się stanie, jeśli powiem teraz, że Shadow to ja. Pewnie więcej się nie spotkamy.

Powinienem był powiedzieć prawdę na samym początku, a teraz jest za późno. Mogę malować kolejne mury, ale one nie cofną nas do tego punktu. A jeśli zostało mi tylko pięć minut na dachu wana poświęconego wolnej miłości, to wolę spędzić te pięć minut na rozmowie. Bo jutro będzie mi brakowało rozmów z nią.

LUCY



Leżymy z Edem na dachu vana, nic nie oddziela nas od nieba i od siebie. Widzę kropki białej farby na jego uszach.

– Masz dziwną minę – mówię.

– Te słowa nigdy mi się nie znudzą.

Pocałuj mnie, mówię w myślach. No dalej. Albo przynajmniej złap mnie za tyłek. Nie trzymam się za bardzo stylu Jane Austen, ale dzisiejszej nocy uczę się, że na Jane Austen nie zawsze jest odpowiedni czas i miejsce.

Ale mnie nie całuje. Zaczyna mówić, tak jak chciałam na naszej randce. Opowiada o obrazach Jeffreya Smarta, które mu się podobają. Mówi, że czasem nie może przestać myśleć o tych kontenerach czy facecie stojącym obok autostrady.

– *Droga ekspresowa Cahill* – mówię. – Pani J. powiedziała, że facet na tym obrazie ma wybór. Może wdrapać się na wzgórze albo zniknąć w cieniu za swoimi plecami.

– Może dlatego tak mi się ten obraz podoba – stwierdza Ed, mrugając. Czuję oddech jego rzęs.

Mówię mu rzeczy, które chciałam powiedzieć Shadowowi. O tamtym obrazie Rothki, o tym, że patrząc nań, widzę coś bliskiego miłości w zlewających się ze sobą czerwieniach. Opowiadam, jak Al mi pokazał, jak tworzyć rzeczy

w kolorze zmierzchu, nocy i miłości. O tym, że czasem chciałabym, żeby świat był ze szkła.

– Wtedy wszystko byłoby wyjątkowe.

– Rozumiem, dlaczego tego chcesz – mówi Ed, siadając. Jego oczy uciekają wraz z samochodami na autostradzie. Też siadam i patrzę razem z nim. Nie wiem, co właściwie się dzieje. Między nami wszystko ciągle się zmienia. Może dlatego, że Ed sądzi, iż wciąż jestem zainteresowana Shadowem, a może podejrzewa, że mam mu za złe kłamstwo.

– Ci wszyscy ludzie, którzy dokądś zmierzają – mówi. – Ten niebieski samochód. Jak myślisz, dokąd jedzie?

Już kiedyś w to grałam.

– Na pustynię. W stronę czerwonego piasku i gorącej ciszy.

– Pustynia jest brzydka. Właściwie martwa, nie?

– Nie, jeśli wiesz, gdzie patrzeć. – Pstrykam bransoletką trzy razy, żeby przyniosła mi szczęście i odwagę, po czym wreszcie mówię to, o czym myślę. – Nie powiedziałaś, że znasz Shadowa. Nie szkodzi. – Pstrykam jeszcze raz. – Rozumiem. Teraz i tak wszystko się zmieniło. Chyba skończyłam z całą aferą wokół Shadowa.

– Dwie godziny temu chciałaś z nim to zrobić – przypomina mi Ed, a ja odpowiadam, że wtedy nie wiedziałam, że będziemy to robić podczas odwiedzin w więzieniu.

– A więc już nie chcesz tego zrobić z facetem, który uwielbia sztukę?

Muszę powiedzieć to bardzo jasno i wyraźnie.

– Inni faceci też lubią sztukę. Ty na przykład.

Przesuwam się, tak że moje ramię dotyka jego ramienia, a on się nie cofa. Shadow może sobie okradać szkołę, może malować oceany. Niech robi, co mu się tylko podoba. Ja właśnie dotykam Eda.

Drapię dach vana, trochę farby schodzi.

– Wiesz – mówię. – Ten van chyba był kiedyś niebieski.

– Może. Może kiedyś był.



ED

Tamci wracają, Daisy i Dylan wciąż się kłóca.

– Czemu ona jest na niego taka wściekła? – pytam.

– Zapomniał o jej urodzinach.

– I to wszystko? Powiem mu, kupi jej kartkę z życzeniami.

– To chyba nie takie proste.

Nic nie jest proste, myślę sobie. Złazimy z dachu i wsiadamy do vana. Leo rusza, a ja mówię dalej, bo chcę słyszeć jej głos.

– Róż to gówniany kolor.

– Zależy. W zeszłym roku pani J. zabrała nas na wystawę artystki nazwiskiem Angela Brennan. Było tam pełno obrazów w żywych kolorach: różowe, zielone i czerwone. Myślę, że by ci się spodobały.

– Nie gustuję w różowościach.

– Spodobałyby ci się tytuł. Brzmiał *Wszystko jest tym, czym jest, i niczym innym*.

– Byłoby prościej, gdyby ludzie nazywali rzeczy tym, czym są naprawdę.

– Kim byś był, gdybyś nie pracował w sklepie z farbami?

– Pewnie pracowałbym w McDonalddie.

– Na pewno nie.
Zgadza się, nie.
– Pewnie poszedłbym na studia artystyczne. Ale nie skończyłem dwunastej klasy.
– W Monach College można zrobić taki kurs odpowiadający jedenastej klasie, jeśli uzyska się dobre wyniki, można pójść potem od razu na studia. Al powiedział mi o tym, kiedy byłam w dziesiątej klasie.
– Tylko praktyka?
– Trochę pisania pewnie też, ale głównie praktyka. Może byś spróbował?
– Nie mam kasy.
– Możesz dostać stypendium, no i pracować dalej w sklepie z farbami, na część etatu.
– Może – mówię i widzę, że Leo przygląda się nam we wstecznym lusterku.
Noc jest gęsta i tętni życiem. Wchodzimy do kasyna. Dochodzi druga, lecz nadal mnóstwo ludzi chce się dostać prosto w środek zabawy i blasku.
Kierujemy się do kolejki, która ciągnie się wzdłuż rzędu taksówek. Widać mnóstwo ludzi w tym mieście potrzebuje magii. Moja mama dałaby tej kobiecie ostatnie pięć dolarów w zamian za odrobinę nadziei, a kiedy ktoś tak bardzo jej pragnie, jest nieprzyzwoitością brać od niego pieniądze.
– Mam złe przeczucia – mówię do Leo i Dylana. Dziewczyny poszły do toalety.
– Od lat powtarzasz mamie, że to głupota, a teraz nagle uwierzyłeś? – pyta Leo. – Maria Contessa nie zdemaskuje nas przed dziewczynami.
– Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu nie chcę tam wchodzić.
– Ale ja chcę – odpowiada Dylan. – Chcę się dowiedzieć, czemu Daisy jest taka wściekła.
– Zapomniałeś o jej urodzinach.
Jego źrenice lekko się rozszerzają.
– Wiedziałem, że nie chodzi tylko o jajka. Nie wchodźcie beze mnie. Powiedzcie dziewczynom, że jestem w toalecie czy coś. – Biegnie do wejścia, znika w środku.
– Poważnie, ja tam nie wejdę – mówię do Leo. – Zapytam Lucy, czy chce coś zjeść, a potem odwieziemy ją do domu. – Nie chcę, żeby jakaś jasnowidząca powiedziała jej to, czego ja nie mogłem. Chcę spędzić resztę czasu, który został mi do aresztowania, na rozmowach z nią. – Spotkamy się tutaj o drugiej trzydzieści. Pół godziny to mnóstwo czasu, zdążymy je odwieźć i pojechać do szkoły.
– Wiem, że jesteś na mnie wkurzony – mówi Leo. – I wiem czemu.
– Zapomnij. Martwię się, że nas złapią, to wszystko.
– Nie wiedziałem, że ten van należy do Crazy Dave’a. Jake kazał mi pójść na Montague Street, a kiedy się zorientowałem, że to jego dom, było za późno, żeby

się wycofać. Ale nie pozwoliłem Jazz tam ze mną wejść.

– Wiem.

– Nie jestem kompletnym idiotą. Jeszcze całkiem mi nie odbiło.

– Ona bardzo ci się podoba, co?

– Zjada całe mnóstwo lizaków. Więcej niż ja bułek z kielbasą.

– To faktycznie sporo.

– No, sporo. – Nie odrywa wzroku od drzwi, czeka, aż ona się zjawi. –

Żałuję, że pożyczyłem tę kasę. Gdybym tylko znalazł inny sposób, żeby je zwrócić...

– Coś wymyślimy. Jakoś dogadamy się z Malcolmem.

– Niby jak? Myślałem przez całą noc, podczas gdy ona tańczyła wokół mnie.

O niczym innym nie mogłem myśleć. Ale ty nie powinienesz jechać. To mój problem.

– Jeśli ty jedziesz, to ja też.

Patrzemy na te drzwi już chyba całą wieczność, czekamy. Światło nad naszymi głowami gaśnie i znów się zapala, zmienia nas w nerwowe cienie. Po chwili Leo mówi:

– Chcę jej powiedzieć, że jestem Poetą. Nie po to, żeby ją zaliczyć. Żeby wiedziała.

– Powiedziałem Lucy, że Shadow zamierza obrobić szkołę. Jeśli Jazz się dowie, że to ty jesteś Poetą, to Lucy się zorientuje.

– To nieistotne.

Leo ma rację. Może Lucy dostrzeże, że tak czy inaczej mamy ze sobą coś wspólnego. A może nie. Ale będzie mogła zdecydować.

– Jak chcesz to zrobić? Po prostu jej powiedzieć?

– Taki jest plan – odpowiada Leo. W tym momencie tamci wracają. – Niedobrze.

– Aha. – Wszystko jest tym, czym jest, myślę, patrząc na Raffa, Dylana i dziewczyny idących w naszą stronę. Ale chciałbym, żeby było czymś innym.

LUCY



Kasyno to wirowanie i światła. Wszystko, co jest we mnie. W toalecie tłoczmy się w kabinie prawdy.

– Ed jest tym jedynym. To Ed – mówię. – Nie Shadow. Ed ma świetne włosy. Lubi sztukę. I nawet nie odstręczyło go moje wymiotowanie.

– Bardzo istotne cechy – stwierdza Jazz. – Ale ta najważniejsza?

– Prąd. Zdecydowanie prąd. Ale na dachu vana dziwnie się zachowywał. Coś się dzieje.

– To się stanie. Mam przecucie.

– Masz przecucie co do mnie? – pyta Daisy. – Co do mojego porażenia prądem?

– Owszem. Chyba spotkasz kogoś, kto razi znacznie lepiej niż Dylan.

– Poważnie?

– Oczywiście. Musisz tylko spisać listę wszystkich pożądanых przez ciebie cech, odczytać ją kosmosowi i załatwione.

– A kto to w ogóle jest ten kosmos? – pyta Daisy. – Ludzie zawsze o nim mówią, ale kosmos na pewno ma ważniejsze rzeczy do roboty niż słuchanie trzech lasek odbywających naradę w toalecie publicznej.

– Cały myk z teorią kosmosu polega na tym, żeby za bardzo się nad nią nie

zastanawiać – wyjaśnia Jazz.

– Okej. – Daisy wyciąga szminkę i zaczyna sporządzać listę na ścianie.

– A więc ty i Ed – mówi Jazz. – Leo i ja. Wszystko układa się nawet lepiej niż zaplanowałam.

– Głupio mi, że przez cały czas ganiałam za Shadowem. Myślicie, że się wygłupiłam?

– Tak to już bywa. Większość ludzi nie wie, czego chce, dopóki nie zobaczą tego w odległości paru centymetrów od twarzy.

– Podoba mi się, kiedy Ed znajduje się w odległości paru centymetrów od mojej twarzy.

– Jemu też się to chyba podoba.

– A tobie podoba się, kiedy masz Leo w odległości paru centymetrów od swojej twarzy? To znaczy, bardziej niż w przypadku Jacoba i całej reszty?

Jazz, po namyśle, stwierdza:

– Tak, bardzo.

– Skończyłam – oznajmia Daisy, patrząc na swoją listę. – Takiego faceta chcę spotkać.

Czytam.

– Interesujące. Nigdy nie spotkałam faceta, który prostowałby mi włosy podczas oglądania meczu.

– To by było bardzo praktyczne – wyjaśnia Jazz. – Do tej części z tyłu strasznie trudno się dostać.

– Aha. Równie praktycznie byłoby mieć faceta, który robi świetne kanapki z zapiekany serem i pomidorami. – Czytam dalej. – I takiego, który pracowałby w soboty w sklepie z warzywami twoich rodziców, i to bez słowa skargi, chociaż trochę się boi twojej mamy.

– A facet, który nadal chciałby z tobą być, nawet gdybyś w różowym wanie na środku autostrady nazwała go kretynem, to dopiero byłaby zdobycz – dorzuca Jazz.

– Podobnie jak facet, który całuje dokładnie tak, jak lubisz, ponieważ go nauczyłaś. To wszystko niezwykle istotne cechy – dodaję.

– No tak – potwierdza Daisy.

– Daisy! – woła Dylan, waląc pięścią w drzwi toalety. – Wiem, że tam jesteś. Wyłaź, mam dla ciebie prezent.

Jazz otwiera drzwi kabiny prawdy.

– Nie napalaj się za bardzo, ale coś mi się wydaje, że to może być facet z twojej listy marzeń.

– Kosmos chyba ma dzisiaj mały ruch – stwierdza Daisy.

Wychodzimy. Dylan wręcza jej bukiet.

– Wszystkiego najlepszego – mówi, a Daisy uśmiecha się na

ciemnofiołkowo i go całuje. Nie musi wiedzieć, że to zapewne dzięki Edowi przypomniał sobie o jej urodzinach.

– Wszystkiego najlepszego – mówi facet stojący obok Dylana.

– Dzięki, Raff – mówi Daisy po zakończonym pocałunku. – Lucy, Jazz, to są Raff, Pete i Tim. Chłopaki, przedstawiam Lucy i Jazz.

Wychodzimy z kasyna, wracamy do Leo i Eda. Daisy pyta Dylana, jak to możliwe, że pamiętał.

– Jakoś tak mnie olśniło. – Pstryka palcami. – O, tak.

Właściwie nie kłamie. Pewnie faktycznie go olśniło, po tym, jak Ed mu powiedział.

– A więc chodźcie z Daisy do szkoły? – pyta Raff Jazz i mnie.

– Aha. Świętujemy zakończenie dwunastej klasy z Edem i Leo. Stoją przed kasynem – odpowiadam.

– My też świętujemy.

– Do której szkoły chodzicie? – pyta Jazz, a ja wiem, że zamierza wydobyć z nich wszelkie możliwe informacje na temat Leo. Czyta w moich myślach i się uśmiecha.

– Delaware High – mówi Raff.

– A skąd znacie Dylana?

– On, Leo i Ed grają w naszej drużynie piłkarskiej.

Leo i Ed patrzą w naszą stronę. Stoją pod mrugającym światłem, które w jednej sekundzie zalewa ich blaskiem, a w kolejnej chowa w ciemnościach. To mruganie. Twarz Eda w świetle i cieniu. Sposób, w jaki na mnie patrzy, nerwowy i smutny, ramiona zwieszane jak rozczarowane morze. Niebieskie halo światła wokół niego. Uwięziony i zagubiony, i płaski na brzegach. Macha do mnie, a światło robi ptaka z jego dłoni.

– Wiedziałaś, że Ed to Shadow? – pytam Raffa, w nadziei, że nazwie mnie idiotką, a Ed znów będzie mógł się znaleźć kilka centymetrów od mojej twarzy.

– Aha – odpowiada. – Myślałem, że wiemy tylko ja i Dylan. Prace jego i Leo to jedne z najlepszych w tej okolicy.

Światło nad ich głowami ciągle mruga.

Jazz również na nich patrzy.

– Krótkie pytanie. Czy jesteśmy najdurniejszymi laskami na świecie?

– Prawdopodobnie tak – odpowiadam. Jestem już na tyle blisko, by dojrzeć niepokój na twarzy Eda.

ED



Wyraźnie widzę moment, kiedy Raff im mówi. Stopa Lucy zatrzymuje się na pół sekundy, potem znów dotyka ziemi i rusza dalej. Lucy nie odrywa ode mnie wzroku.

– Shadow – mówi, kiedy jest już tak blisko, że mogę jej dotknąć.

Nie mam odwagi skłamać.

Leo przesuwa się niepostrzeżenie, szurając nogami po ziemi. Szur, szur.

– Nie ruszaj się, Poeto – rzuca Jazz. Leo posyła jej uśmiech, taki sam jaki posłał swojej babci, gdy przyłapała go na sikaniu w krzaki róż.

Daisy nie jest taka szybka jak Lucy i Jazz, ale w końcu też chwyta.

– Kłamca – rzuca i ciska kwiaty na ziemię.

Patrzę na Lucy. Ona patrzy na mnie.

– Wszystko, co ci mówiłam na temat Shadowa. Pewnie uważałeś, że to bardzo zabawne.

– Wcale nie – odpowiadam, ruszając w jej stronę.

– Ale się śmiałeś. I to sporo. Musiały więc cię śmieszyć, przynajmniej niektóre rzeczy.

– To nie był pomysł Eda – mówi Leo. – Tylko mój. Myślałem, że będzie

fajna zabawa.

Po chwili namysłu Jazz odpowiada:

– Uznałeś, że okłamywanie nas przez całą noc to fajna zabawa? – Myśli jeszcze przez chwilę. – Przez cały ten czas rozmawialiśmy o poezji, cytowałeś mi fragmenty wierszy. Uważasz, że to była zabawa? Kiedy tańczyliśmy, po prostu się ze mnie nabijałeś?

Leo wygląda jak tamtej nocy pod domem Emmy. Patrzy na Jazz, niemal dotyka jej włosów, ale zaraz cofa rękę i nagle robi coś, co wszystkich wprawia w osłupienie.

Rzuca się biegiem przed siebie.

Obraca się i biegnie, rozpychając ludzi na boki, przeciskając się przez tłum. Metr osiemdziesiąt z hakiem. Jest raczej ewidentne, że nie nadaje się na kryminalistę. Dylan też nie, bo nagle spogląda na Daisy i również zaczyna zwiewać. A potem to samo robią Raff i jego kumple. Jazz i Daisy ruszają za nimi.

Ja nie. Lucy też nie. Stoi naprzeciwko mnie. Oczy, usta.

– Chyba jesteśmy kwita – mówi.

– Nie zrobiłem tego, żeby cię odzyskać. – Cholera, wcale nie. – Może początkowo. Przed imprezą, sam nie wiem. Ale później. – Moje słowa brzmią dość bezsensownie, ale mówię dalej, bo jej oczy przewiercają mnie na wylot.

Już wie, że ja to on, że straciłem pracę. Że później zamierzam obrobić szkołę. Wie o tym wszystkim, ale nie zna przyczyn.

– W twojej głowie Shadow był supergościem, a ja jestem nikim. – Jej oczy wciąż mnie przewiercają. – Ledwo umiem czytać.

Przez cały czas biegnę i ciągle nie mogę dogonić tych wszystkich osób w swoim wnętrzu. Znow stoję na autostradzie, jak ten facet z obrazu, na poboczu, otoczony betonem, nikt mnie tu nie usłyszy, nikt nie zrozumie, ponieważ musiałyby się znaleźć w środku mojej głowy.

Lucy już na mnie nie patrzy. Nie patrzy i nic nie mówi, a ja myślę o naszym niedokończonym eseju i clownach walących gruchę, i beznadziejnym nauczycielu nazwiskiem Fennel, i ptakach na moich grafach, trzepoczących skrzydłami na ceglany murze. Myślę o duchu w słoiku. Myślę o nadziei, którą dał mi Bert, i jak potem znalazłem go leżącego w alejce numer trzy, z dłońmi zaciśniętymi w ptasie szpony, zapadniętą starą twarzą i znieruchomiałym sercem. Myślę o Leo i marzeniach, które boi się mieć. Myślę o tym, jak bardzo bym chciał, żeby Lucy powiedziała coś, co zmieni moją opinię na własny temat. Chciałbym malować, teraz, w tej chwili, chciałbym włożyć słowa w jej usta, nie wiem jednak, co to miałyby być za słowa.

Leo zatrzymuje van za rzędem taksówek i krzyczy:

– Jeśli chcesz z nami jechać, to wskakuj. Już czas. A nawet po czasie.

– Nic nie powiesz? – pytam Lucy, ale ona jest nagą ścianą. Leo trąbi

i wrzeszczy, ale nie mogę odejść, dopóki ona czegoś nie powie. – Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Lucy otwiera usta, Leo trąbi, jeśli ona teraz powie to, co bym chciał od niej usłyszeć, to nie wsiądę do vana.

– Ma znaczenie.

I wszystkie ptaki spadają z nieba. Widzę, jak uderzają o ziemię, jak leżą brzuskami do góry. Niczym warstwa śniegu. Później namaluję to puste niebo i ptaki w dole. Namaluję i będę wiedział, że jest coś gorszego niż tkwić uwięzionym w słoju: nie być w ogóle nigdzie.

LUCY



– Shadow – mówię, a jego wyraz twarzy stanowi najlepsze potwierdzenie. Patrzę na niego i wszystko, co wydarzyło się tej nocy, wskakuje na odpowiednie miejsca. Farba na jego dłoniach, ciuchach i butach. Pewność, z jaką odnajdywał wszystkie ściany. Spojrzenia, które wymieniał z Leo i Dylanem. Śmiech w reakcji na moje słowa, że chciałabym to zrobić z Shadowem. Ta ostatnia scena powtarza się, jakby ktoś ją zapętlił, nie chce zniknąć.

– Wszystko, co ci mówiłam na temat Shadowa. Pewnie uważałeś, że to bardzo zabawne.

Odpowiada, że wcale tak nie uważał, ale pamiętam, że się śmiał, śmiał się z moich wyobrażeń na temat miłości.

Patrzy na mnie, a ja próbuję zobaczyć w nim Shadowa, faceta malującego na murach w środku nocy. Widzę go samotnego w ciemnościach, dokoła pokazują wszystkie rzeczy, o których myśli: malowane ptaki, malowane drzwi i korytarze, gigantyczne fale. Duch uwięziony w słoiku.

Jazz też zajarzyła. Przez całą noc rozmawiała z Poetą. Jej prawdziwy facet okazał się fikcją. Mój fikcyjny facet okazał się prawdziwy.

Od samego początku wiedziałam, że Dylan coś ukrywa, tylko że tak naprawdę nie chciałam wiedzieć. Chciałam odnaleźć Shadowa. Chciałam kwiatów

wiszących u sufitu. Chciałam zrobić to z Shadowem. O Jezu, jak tylko znajdę wolną chwilę, wsadzę to wszystko do butelki z floty wspomnień i zmiażdżę największym młotkiem, jaki tylko uda mi się znaleźć.

Jazz krzyczy na Leo, a z jego miny wynika, że ani trochę nie przypomina on Jacoba czy innych facetów, z którymi się umawiała. Jest koniem, który spada poprzez nią. Leo nie czeka, nie próbuje wyjaśniać. Biegnie. Dylan też biegnie. Zapomina o urodzinach Daisy, rzuca w nią jajkami, kłamie dla zabawy. Jazz i Daisy ruszają za nimi.

– Chyba jesteśmy kwita – mówię do Eda, kiedy zostajemy sami. Słowa wypadają mu z ust, ale nie mają sensu, a ja nie jestem pewna, czy to jego wina, czy może ja źle słyszę, bo w głowie właśnie odtwarzają mi się wszystkie nasze rozmowy z pięciu ostatnich godzin.

Patrzę na niego, próbuję zobaczyć go takim, jaki jest, zobaczyć coś więcej niż te fragmenty, które widziałam dzisiejszej nocy. Nie chcę jednak ułożyć się w całość. Shadow, Ed, włam do szkoły, z Beth, już nie z Beth, zatrudniony, zwolniony. Nie wiem, co jest prawdą.

– Ledwo umiem czytać – mówi i wtedy poznaję prawdę. Wszystkie fragmenty zaczynają pasować, widzę go. Jego twarz na sekundę się przekrzywia, jakby usiłował się nie rozpaść, jakby próbował zachować się w tym kształcie, który pokazuje światu, ale już dłużej nie potrafi, rozłazi się na wszystkie strony. Odwracam wzrok, bo łatwiej patrzeć prosto w światła niż na niego.

Leo zatrzymuje van za rzędem taksówek.

– Jeśli chcesz z nami jechać, to wskakuj. Już czas. A nawet po czasie.

– Nic nie powiesz? – pyta Ed. – Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Słyszę w jego głosie wszystko, co kiedykolwiek namalował. Słyszę tego człowieka na plaży, patrzącego na fale. Słyszę serca pęknięte od trzęsienia ziemi i rozczarowane morza. Widzę drzwi ciągnące się wzdłuż korytarzy w jego głowie. Zmuszam się, by na niego spojrzeć, ponieważ tego potrzebuje. Potrzebuje, by ktoś go zobaczył. Nienawidzę myśli, że tak długo był sam, że malował w samotności księżycy i ptaki schwymane przez ceglane mury, że milczał, nie zdradzał, kim tak naprawdę jest.

– Ma znaczenie – odpowiadam.

Jego twarz zmienia się w zamieć śnieżną, jak kropla księcia Ruperta. Potem Ed wsiada do vana i odjeżdża.

– Nie skończyłam – drę się za vanem. – Dla ciebie! To ma znaczenie dla ciebie! – Nie dbam o to, że nie umiesz czytać. Ani o to, że nie masz pracy. Ale ma dla mnie znaczenie to, że kłamiesz, i że zamierzasz obrobić szkołę.

Różowy van znika na końcu ulicy niczym odwrócony zachód słońca. Odprowadzam go wzrokiem i myślę o tym, ile razy Al próbował mi wytłumaczyć kwestię naprężeń, które spajają szkło, ale potrafią też je zniszczyć. Myślę o tym,

jak pokazał mi kroplę księcia Ruperta. Sądziłam wtedy, że rozumiem, ale nie rozumiałam. Te wszystkie sekrety, które Ed skrywał przez całą noc. Przez całe życie. Dopóki je ukrywał, tworzył spójną całość. Ale ja uderzyłam w odpowiedni punkt. Jedno lekkie uderzenie i wybuchnął, rozpadł się w pył.

...

Siedzę na ławce przed kasynem, majtając nogami i czekam na Jazz i Daisy. Światła mostu przesyłają wiadomości. Idź do szkoły. Znajdź go, daj mu wszystkie brakujące słowa, powstrzymaj przed włamem. Powiedz, że jest na to za dobry. Zbyt inteligentny. Zbyt utalentowany. Zabierz go do pracowni Ala, pokaż, jak szło zmienia się w coś innego, kiedy odpowiednio się je podgrzeje. I odpowiednio schłodzi. Że nie wszystko musi się skończyć gwałtowną nicością, jak kropla księcia Ruperta.

Czekam i pragnienie, by tam pobiec, z każdą chwilą narasta. Szkoda, że nie mam roweru. Od razu bym za nimi pojechała. Rower jednak leży w vanie. Wciąż myślę o tym, jak stałam w tej przyczepie, patrząc na ptaki o powykręcanych do tyłu skrzydłach, próbujące dziobem otworzyć zamki. O tym, jak Ed na mnie patrzył, jak czekał. A ja powiedziałam, że to miejsce mnie przygnębia i napawa lękiem. Że chcę już stąd pójść.

Dziewczyny, gdzie jesteście? Proszę, proszę, proszę, ja muszę zdążyć. Zanim aresztują Eda. Muszę mu powiedzieć, że nie dbam o to, czy ma pracę. Że i tak jest inteligentny i zabawny. Że niektóre z najpiękniejszych przedmiotów ze szkła, jakie kiedykolwiek zrobiłam, są pocięte spękaniem, a ja i tak je lubię, ze względu na kolory.

Jazz, Daisy, no dalej. Musimy zdążyć. Proszę, proszę, proszę, muszę zdążyć.

Wreszcie, po bardzo wielu „proszę”, wyłaniają się zza rogu.

– Zgubiłyśmy ich – mówi Daisy. – Pewnie pojechali do Feast, jest otwarte przez całą noc. Jak bardzo pragniecie zemsty?

– Bardziej marzy mi się hamburger z frytkami – odpowiada Jazz. – Więc chyba nie tak znowu bardzo.

– Nie pojechali do Feast. Pojechali obrobić szkołę. Ed mi powiedział.

– Jak to możliwe, że tego wszystkiego nie przewidziałam? – zastanawia się Jazz. – Chyba muszę zrezygnować z pracy. Nie mogę brać kasy od ludzi.

– Niektóre rzeczy niełatwo zobaczyć – mówię.

– Trudno cokolwiek zobaczyć, kiedy ma się zamknięte oczy. Przykro mi, że cię w to wciągnęłam, Luce. Nie przypuszczałam, że moja noc akcji będzie miała w sobie aż tyle, hmm, akcji.

– Chcę pójść pod szkołę. – Spoglądam na jedyną taksówkę. – Macie jakieś pieniądze? Mnie zostało piętnaście dolarów.

– No nie wiem, Luce. Jeśli nas tam złapią...

– Żegnaj szkoło, witaj pudło – mówi Daisy. – Dylan przecież nawet nie potrzebuje pieniędzy. Jego rodzice za wszystko płacą. – Po namyśle dodaje: – Za wyjątkiem naszych wakacji. – Uśmiecha się. – Nie chce, żebym umawiała się z surferami.

– Luce – mówi Jazz – nie chcę, żeby mój jutrzejszy wpis w pamiętniku brzmiał: *Bawiłam się przez całą noc. Trafiłam do więzienia*. Najchętniej poszłabym do domu, ściągnęła rodziców zza oceanu i pooglądała z nimi telewizję. Jasne, jestem wkurzona na Leo, ale trudno, wchłonę podwójną porcję lodów i batoników Hershey i jakoś dam radę.

– Nie chcę, żeby Eda aresztowali. – Taksówka może odjechać w każdej chwili, jeśli będziemy musiały czekać na następną, pewnie nie zdążymy. – Nie musicie ze mną jechać. – Proszę, pojedźcie ze mną.

– Może spróbuję zadzwonić do Leo? – proponuje Jazz.

– A ja do Dylana – dodaje Daisy.

Patrzę, jak obie wybierają numer. Proszę, proszę, proszę.

– Leo albo wyłączył telefon, albo nie odbiera.

– U mnie to samo.

Szybkim krokiem ruszam w stronę taksówki, żeby przypadkiem nie zmienić zdania. Nie chcę myśleć o tym, jak będzie wyglądała twarz pani J., kiedy ta się dowie, że aresztowano mnie z powodu próby włamu do szkoły.

Daisy zajmuje miejsce z przodu, pokazuje taksówkarzowi, jak ma jechać, a Jazz i ja siadamy z tyłu. Obejmuję ją z wdzięczności.

– Dzięki – mówi. – Zostaw to na później, kiedy będą brali ode mnie odciski palców. Jedno jest pewne. Mój monolog będzie rewelacyjny.

– Czy wy też zaraz zsikacie się ze strachu? – pyta Jazz, patrząc na szkołę, która w ciemności wygląda jak nawiedzony budynek. Obie podnosimy rękę. – Cóż, nie będzie to takie romantyczne zakończenie tej nocy, na jakie liczyłam. Szkoda, że nie jest jaśniej. Która godzina?

– Druga czterdzieści pięć – odpowiada Daisy. – Jasno robi się najwcześniej o piątej. Pewnie właśnie dlatego chcą obrobić szkołę o tej porze.

– Są tacy głupi – szepcze Jazz. – Czemu mi się podobają?

– Sama codziennie zadaję sobie to pytanie – mówi Daisy. – Chociaż Dylan w sumie nie jest głupi. Ze wszystkich egzaminów miał lepsze oceny ode mnie.

– Leo też jest inteligentny. Dzisiaj recytował mi poezję. Wiecie, że jakieś czasopismo opublikuje jego wiersze?

– Niemożliwe – odpowiada Daisy. – On naprawdę jest Poetą.

– Ed też jest inteligentny – mówię.

– Ed jest superinteligentny – poprawia mnie Daisy. – Kiedy rzucił szkołę, zachodziliśmy w głowę, co się stało. Stwierdziliśmy, że on i Leo musieli zrobić coś

złego.

– Dobra. – Jazz poprawia sukienkę. – Musimy ich uratować. Pamiętajcie.
Trzymamy się razem, a jak pojawią się gliny, zwiewamy.
Nie jestem jasnowidząca, ale to się rozumie samo przez się.

POETA



KASYNO

2:15

Tracę ją

Uciekam przed nią
mijam skrzyżowanie kasyna
mijam kolejkę do bankomatu
mijam własne odbicie w szybie
mam przerażoną minę
mijam znak który mówi droga jednokierunkowa
mijam bolidy przecinające niebo
znów mijam skrzyżowanie
znów mijam kolejkę do bankomatu
znów mijam własne odbicie w szybie
wciąż mam przerażoną minę
znów mijam znak który mówi droga jednokierunkowa
mijam bolidy przecinające niebo

i już ją straciłem

ED



Wsiadam do vana, Leo rusza, Lucy zmienia się w kropkę. Kropkę, u której nigdy nie miałem szans.

– Dylan, wyłącz telefon. – Leo rzuca w niego swoim telefonem. – I mój. Nie możemy popełnić żadnych głupich błędów.

– To jednak jedziemy? – Mam wielką chęć wyskoczyć z vana, prosto między samochody.

– Mam cię wypuścić? – pyta Leo. Nie jest zły. Po prostu pyta. Jedno moje słowo i się zatrzyma. Przez przednią szybę świat wygląda jak splątany rażący blask, który odbija się od vana i płynie dalej.

– Ty też nie chcesz tego robić. Uważasz, że to głupie. Bo jest głupie.

– Wiem. Ale jeśli się wycofam, Malcolm Dove przyjdzie do mnie do domu, zrobi krzywdę babci. A potem tobie i mnie.

– Wcześniej czy później trzeba się zatrzymać – mówię. – Stawić czoło głupim rzeczom, które się zrobiło, i nie robić kolejnych głupich rzeczy, by tamte odkręcić.

Van zwalnia, widocznie Leo słuchał.

– Silnik nie działa – oznajmia, wciskając pedał gazu. Samochody trąbią

wokół nas.

- Zjedź ze skrzyżowania – ryczy gość w samochodzie za nami.
- Nic nie poradzę, debilu – ryczy Leo w odpowiedzi.
- Może to uszczelka – sugeruje Dylan.
- Na pewno nie.
- A może skrzynia biegów.
- To nie skrzynia biegów.
- Olej?
- Nie.

– Leo, ta kasa, którą Jake dał ci na benzynę. Zatankowałeś, zanim pożyczyłeś mi te pięćdziesiąt dolarów, prawda? – Leo milczy, a ja mimo woli zaczynam się śmiać. – Genialny przestępca w akcji. Zapomniałeś zatankować ucieczkowy samochód.

- Dylan, potrzymaj kierownicę. Ja i Ed będziemy pchać.

Wyskakuję z vana i ustawiam się z tyłu.

– Całe szczęście, że nie rzucamy się w oczy – mówię. – Byłoby kiepsko, gdyby ktoś nas zapamiętał.

- Pchaj.

– Wiesz, jak powiedzą o nas w telewizji, to co najmniej połowa ludzi w tym mieście przypomni sobie, że nas widziała.

- Pchasz czy nie?

– Pcham. Donikąd się nie wybieramy.

– Owszem, dokądś się wybieramy. To chwilę potrwa, bo van waży chyba tonę, ale nic się nie zmieniło.

Obok śmigają samochody, ludzie wyzywają nas od najgorszych.

– Nadal masz dobre przecucie co do dzisiejszej nocy? – pytam, kiedy się odwracamy i próbujemy popchnąć van plecami. – Mijają nas kolejne samochody, kolejni ludzie bluzgają w naszą stronę. – Wygląda na to, że wśród kierowców panuje jednomyślność: jesteśmy palantami.

- Nieprawda. Jak to możliwe, że nikt się nie zatrzymał, żeby pomóc?

– Jest trzydzieści stopni, miasto świruje. Zatrzymałbyś się, żeby pomóc dwóm facetom pchać różowy van?

- Aha. Zatrzymałbym się.

– Jasne. Taki z ciebie dobry chłopak, Leo.

– Dziwny moment na takie wyznania, ale niech ci będzie. Kierunek: wysepka.

Udaje nam się dopchać van do wysepki, opieramy się o niego i z trudem łapiemy oddech.

- Spieprzyłem sprawę z Lucy.

– Witaj w klubie. Spieprzyłem sprawę z Jazz. Koniec lizaków. Chciałem

przeprosić, naprawdę, już miałem to zrobić, ale nagle moje nogi same rzuciły się do ucieczki. – Przecina dłonią powietrze. – O, tak.

– Nie miałeś dziewczyny od czasu Emmy. Może spanikowałeś.

– Potrąciłem taką starszą panią, rozsypały jej się monety. Można powiedzieć, że spanikowałem.

– Każdy czasem panikuje. – Myślę o tym, jak zerwałem z Beth. Jak okłamałem Lucy. Myślę o tacie, który uciekł od mamy. Liczy się to, co zrobi się potem. – Powiedz Jazz, że przepraszasz. Wy tłumacz, że twoja poprzednia dziewczyna nasłała na ciebie gliny.

– To chyba nie jest najlepsza autoreklama. – Leo osuwa się po ścianie vana, opiera o nią tył głowy. – Ciebie też okłamałem – dodaje. – Wcale nie koszę w soboty trawników. Te pięćset dolarów było mi potrzebne na kurs poezji. Babcia chciała, żebym na niego chodził, w soboty przed południem.

Nic nie mówię, bo nie wiem, co powiedzieć. Czuję się zaskoczony, a jednocześnie wcale nie.

– Pisałem wiersze. Wiszę Malcolmowi kasę, ponieważ chcę pisać wiersze. Padłeś ofiarą napaści w imię poezji. – Jak Leo raz zacznie używać słowa „wiersze” czy „poezja”, to długo nie przestanie. – Piszę głównie wolnym wierszem. Ale w zeszłym tygodniu stworzyłem haiku: Jestem w dupie/ wiszę mnóstwo kasy/ Malcolm mnie zabije.

Nie mogę przestać się śmiać. Dylan wysiada i pyta, co nas tak bawi, a ja odpowiadam, że Leo tworzy japońskie wiersze o tym, że Malcolm zamierza przerobić nas na miazgę.

– Nauczyciel powiedział, że moja poezja jest bliska rzeczywistości. Większość pań na kursie jest w wieku mojej babci. Bardzo je lubię. – Patrzy na mnie. – Przestań się śmiać.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – pytam, ale wiem dlaczego. – Nie chciałeś, żebym czuł się jak idiota, ponieważ ty potrafisz czytać, a ja nie.

– Co ty bredzisz. Potrafisz czytać, tyle że zajmuje ci to więcej czasu. Słyszałem, co mówiła Lucy. O tym kursie w Monash.

– Wykluczone.

– Wiem. Gdyby Bert nie zmarł, zostałbyś w tym sklepie na zawsze, zanudził się na śmierć, bo tak jest bezpiecznie.

– Lubilem pracować u Berta.

– Lubieś Berta.

Wkurzyłem się, gdybym nie wiedział, że ma rację, a on też o tym wie, więc się nie wkurzam. Wyjmuję szkiecownik i przez chwilę przerzucam kartki. Bert uśmiecha się i macha, jakby zgadzał się z Leo. – Był dobrym człowiekiem.

– Wspaniałym. Powiedziałyby, że powinieneś aplikować na ten kurs.

Przez chwilę obserwujemy przejeżdżające samochody, pojawiają się

i znikają, tak jak myśli o Lucy. Jak myśli o kursie Leo.

– Czemu nie powiedziałeś, że piszesz wiersze? – pytam.

– Pisałem haiku w towarzystwie starszych pań, w sobotnie przedpołudnia.

To co innego niż pisanie na wagonach. Czuję się trochę jak palant.

– Nie jesteś palantem.

Wzrusza ramionami.

– Już mi wszystko jedno. Lubię poezję. A każdy, kto jej nie lubi, może się gonić.

– A ty jesteś wielki i możesz kazać im się gonić.

– Właśnie.

Dalej patrzymy na samochody, słuchamy, jak ludzie wywrzaskują w naszą stronę coraz bardziej interesujące rzeczy. Nagle Leo mówi:

– Bert by ci poradził, żebyś pogadał z Beth.

– Powiedziałem Lucy o wszystkim. Bezrobotny grafficiarz, który rzucił szkołę przed ukończeniem dziesiątej klasy. Nie mogła się doczekać, kiedy wsiądę do vana. Beth zareaguje podobnie.

Leo odpowiada po dłuższej chwili:

– Ona wie, że straciłeś pracę. I wie, że Shadow to ty. Powiedziałem jej dzisiaj w nocy. Nie dba o to.

Myślę. Widzę ją, jak stoi naprzeciw mnie, z pudłem z moimi rzeczami, czeka, aż coś powiem. Czeka od wielu miesięcy. Widzę ją, jak czeka przy drzewie, jak się będzie czuła, jeśli nie przyjdę. Zatrzymuje się taksówka.

– Podwieźć was? – pyta kierowca.

– Jeszcze zdążymy do szkoły – mówi Leo.

– Nie zrobię tego – odpowiadam.

Machnięciem odprawia taksówkę.

– Jesteś mądrym facetem – stwierdza. – Wiesz, Emma mnie rzuciła, bo zszedłem wtedy z okna po linie, powiedziała, że jeśli nie przestanę zachowywać się jak kretyn, to między nami koniec. Powiedziałem, że przestanę, jak mi się zechce. Rzuciła mnie, bo wołałem pozostać kretynem. – Kręci głową. – A potem, żeby ją odzyskać, zniszczyłem ścianę jej domu.

– Ściśle rzecz biorąc, to ja ją zniszczyłem, ty jedynie udzielałeś wskazówek artystycznych.

Chichocze.

– Ten kurs dał mi do myślenia. Doszedłem do wniosku, że jesteśmy wystarczająco bystrzy i zdolni, żeby się stąd wyrwać. Tylko jesteśmy za głupi, żeby wpaść na pomysł, jak to zrobić.

– W takim razie kurs był wart tych pięciuset dolców.

Znowu chichocze.

– Włam do szkoły to raczej nie najlepszy pomysł.

– Ty też nie idziesz?

– Jutro zgłosimy się do pracy w McDonalddie. Powiem Jake'owi prawdę i poproszę, żeby na razie mi pomógł.

– Szepnę za wami słówko – obiecuje Dylan. – Ale teraz musimy napełnić to różowe cudo benzyną i odstawić do Crazy Dave'a. Inaczej każe nam zreć karaluchy.

Żaden z nas się nie rusza.

– Nie mogę uwierzyć, że rzucałeś w Daisy jajkami w jej urodziny – mówię.

– Byliście razem od dziesiątej klasy. Znasz ją od podstawówki. Jak mogłeś zapomnieć o jej urodzinach?

– Próbuję nie poświęcać jej zbyt wiele uwagi, bo mogłaby dojść do wniosku, że nie chce ze mną chodzić.

– Czegoś tak głupiego w życiu nie słyszałem – stwierdza Leo. Słucham, jak dzieli się z Dylanem sekretną wiedzą na temat kobiet: – Nigdy niczym w nie nie rzucaj. Od czasu do czasu powiedz, o czym myślisz, nawet jeśli akurat myślisz o deszczu. Napisz dla niej wiersz. I przestań zachowywać się jak kretyn.

– Nie umiem pisać wierszy.

– Dam ci jeden ze swoich.

Nagle, kiedy tak stoję oparty o niezatankowany różowy van, słuchając poezji, ogarnia mnie poczucie szczęścia. Mam Dylana i Leo za przyjaciół. Miałem Berta. Nie miałem taty, ale mam supermamę. Próbuję nie myśleć o tym, że nie mam Lucy. Przynajmniej Beth nie czuje do mnie nienawiści. To już coś.

– Lepiej zadzwonię do Jake'a i powiem, że nawaliliśmy. Może przywiezie nam benzynę. – Leo włącza telefon. – Cholera. – Sprawdza wiadomości. – Przysłał chyba z pięćdziesiąt esemesów. *Nie jedźcie pod szkołę. Odwołajcie akcję. Malcolm tam jest. Podaliśmy mu kod. Jesteście tam, debilu?* Pamięć chyba jest pełna – stwierdza Leo i wybiera numer Jake'a.

– To ja. – Słucha, krzywi się. – Sorry, Jakey. Jakoś ci to wynagrodzę. Serio? Nie, nie dawaj jej. Nie. Cześć, babciu. – Znów się krzywi. – Musiałem jakoś zapłacić za kurs poezji. Ty nie masz pieniędzy, żyjesz z emerytury. No dobrze, mogłem zapytać. Nie, jeszcze nie wracam do domu. Wrócę, jak będę gotowy. Dobrze. Wrócę, kiedy mi powiesz, że jestem gotowy. Kiedy to będzie? Dobrze, w porządku. Ja też cię kocham, babciu. Możesz powiedzieć Jake'owi, żeby przyjechał z benzyną na róg Flinders Street i Swanson? Zobaczy mnie. Trudno przegapić.

– Dobre wieści? – pytam, kiedy się rozłącza.

– Nie całkiem. Ale też nie całkiem złe. W każdym razie twoje brodawki są bezpieczne. Okazało się, że Malcolm złożył babci wizytę. Przyłapała go, jak zakradał się pod domem ze swoją armią i walnęła go laską w nos. Wrzask obudził Jake'a i jego kumpli. Malcolm powiedział, że wiszę mu pięćset dolarów, a Jake

powiedział Malcolmowi o robocie, na dowód, że później zapłacę.

– Długo jeszcze trzeba czekać na dobre wieści? – pytam.

– Jake zawiózł babcię do bankomatu, a ona oddała Malcolmowi pieniądze.

Kiedy nie słyszała, Jake podał mu kod do alarmu, żebyśmy na pewno byli kwita. Mój dług został spłacony w całości. Świetnie się złożyło, że zabrakło nam benzyny, nie?

– Wciąż nie mam na czynsz.

– Tak, ale czeka nas świetlana przyszłość w McDonalddie, poza tym i tak nie chciałeś tej roboty.

– To prawda. – Znów ogarnia mnie szczęście.

– Czemu od razu nie poprosiłeś babci o pieniądze? – pyta Dylan.

– Nie wiedziałem, że ma na koncie pięćset dolarów. Zresztą nawet gdybym wiedział, nie chciałbym ich jej zabierać.

– Oddasz – mówię.

Kiwa głową.

– Jak Jake przywiezie benzynę, możemy skoczyć do Feast i kupić coś do żarcia, zanim oddamy van.

Czekamy. Gadamy. Czasem drzemy się na przejeżdżające samochody. W końcu zjawia się Jake. Ale ja nie jadę do Feast. Leo wysadza mnie pod domem Beth.

– Jesteś za wcześnie – mówi.

– Zaczekam, jeśli będzie trzeba.

Przeskakuję przez ogrodzenie i kieruję się w stronę drzewa. Beth już tam jest. Słońce jeszcze nie weszło, ale wszędzie lada chwila. Świat rozcieńcza się w ciszy. Opieram się o drzewo, ptaki zrywają się z gałęzi.

– Chcę ci coś powiedzieć – zaczynam. – Wiem, że Leo już ci powiedział, ale chcę, byś usłyszała to ode mnie. – Pozostałe metody to pójście na łatwiznę, mam tego dosyć. – Nie przeczytałem tej książki o Vermeerze. Wiem o nim wszystko, bo byłem na kilku wystawach i oglądałem filmy dokumentalne, ale nigdy nic na jego temat nie czytałem. Rzuciłem szkołę, bo nie dawałem rady. Nie mam pracy. Nie mam pieniędzy. Shadow to ja. I przepraszam, że zerwałem z tobą w taki sposób.

Pochyla się i szepcze, że wie, i że za mną tęskniła, i nie dba o to, czy mam pieniądze czy nie. Przesuwa palcami po błękitach na moich dłoniach, pozostawionych odpryskach nieba.

LUCY



Daisy, Jazz i ja czekamy w krzakach niedaleko skrzydła, w którym odbywają się zajęcia plastyczne.

– Która godzina?

– Czwarta – odpowiada Daisy. Ma zamknięte oczy. – Minutę później, niż kiedy pytałaś ostatnim razem.

– Czekamy ponad godzinę. Oni nie przyjadą. – Jazz wstaje i rozprostowuje nogi.

Widzę, jak z vana wysiadają jakieś cienie, przechodzą przez trawnik i włączają do środka przez okno.

– Są.

Poruszamy się bardzo cicho, a ja czuję niepokojące mrowienie. Stajemy przy otwartym oknie, Jazz wsadza głowę do środka i szepcze:

– Leo, chodź tu. – Nie odpowiada. – Leo – powtarza nieco głośniej. Leo nadal nie odpowiada. – Pewnie są w sali komputerowej. Pakują sprzęt. Nie wejść tam, póki naprawdę nie będę musiała. Spróbuję jeszcze raz do niego zadzwonić.

Przyglądam się, jak wybiera numer.

– Leo – szepcze. – Odebrałeś. – Odsuwa telefon od ucha, przyciskamy się do niej, żeby słyszeć.

– No, odebrałem. Przepraszam, że uciekłem. I że kłamałem.
– Później porozmawiamy. Teraz wynoście się z budynku, zanim przyjdzie policja.

– Nie jesteśmy w szkole. Siedzę w knajpie, jem burgera.

– No to kto tu jest?

– Jazz. Uciekajcie. Zaraz przyjedziemy, ale musicie uciekać, szybko.

– Cześć, Lucy – mówi Malcolm, opierając łokcie na framudze okiennej i patrząc prosto na nas.

– Biegniemy! – wrzeszczę.

Rzucamy się do ucieczki, pędzimy skrótami koło damskich toalet. Biegnę najszybciej, ponieważ miałam okazję trochę poznać Malcolma, a sądząc po wyrazie jego twarzy, śmiem podejrzewać, że chce mnie zamordować.

– Gonią nas? – krzyczy Jazz, a ja odpowiadam, że nie wiem, nie tracę czasu na oglądanie się za siebie.

– Szybko! – drze się Daisy, wychodząc na prowadzenie. – Chyba są tuż za nami. – Biegnie dalej, odwraca się i zanim zdążę ją ostrzec, wpada prosto na strażnika i przewraca się na ziemię. – Cóż – mówi, kręcąc głową. – Tego się nie spodziewałam.

Strażnik patrzy na nas, my na niego, a moja przyszłość maluje się w czarnych barwach, a potem Jazz mówi:

– Całe szczęście, że pana spotkałyśmy. Szłyśmy skrótem przez teren szkoły i nagle zauważyłyśmy, że w skrzydle od plastyki pali się światło. Podejrzewamy, że ktoś się włamał.

Ten występ zasłużył na Złoty Glob. Strażnik to kupuje.

– Nie ruszajcie się. Może będziecie musiały zeznawać.

Kiedy tylko znika, biegniemy dalej. Nie mam ochoty więcej oglądać Malcolma Dove, starczy mi na całe życie. Zatrzymujemy się dopiero kilka przecznic dalej.

– Przynajmniej zrezygnowali z tej roboty – stwierdza Jazz, w jej głosie wciąż słychać szalony bieg. – Wszystko mogło się skończyć znacznie gorzej.

– Dostałaś wymarzoną akcję. – Daisy opiera się o ogrodzenie. – I przygodę. I coś ekstra.

– Nie miałabym nic przeciwko większej porcji romantycznej miłości. – W momencie, gdy to mówi, na końcu ulicy pokazuje się różowa plamka, przesuwa się pośród nocy jak zaczątek wschodu słońca, tyle że w przyspieszonym tempie. To oni, mówię w myślach. To Ed.

To Ed, wreszcie dostanę szansę, by wszystko naprawić. Powiem mu, że jest inteligentny, i jeśli nie umie czytać, to na pewno z konkretnego powodu. A jeśli taki powód jednak nie istnieje, to i tak nic nie szkodzi. Powiem mu, że to była najlepsza noc w całym moim życiu, że świetnie się bawiłam, kiedy się śmialiśmy

i rozmawialiśmy zza zasłony z rąk. Powiem mu, że chcę spędzać z nim czas, dzisiaj i jutro, i pojutrze. A któregoś dnia zabiorę go do pracowni Ala i pokażę przedmioty, które zrobiłam. Pokażę mu, jak się dmucha szkło, jak się je podgrzewa i jak się przemienia. Jak się dodaje kolor. Jak na koniec się je schładza i jak staje się tym pięknym przedmiotem, który wyszedł spod twoich rąk.

– Hej, czujecie? – pyta Jazz. – Przyszło ochłodzenie.

Wyciągam ramiona, czuję chłód przepływający po mojej skórze. Burza jednak nie nadeszła. Tylko wiatr. Czuję się jak rzeźba Nike z Samotraki, którą pokazała mi pani J. Jest zrobiona z marmuru i stoi w Luwrze. Rzeźba skrzydlatej bogini zwycięstwa. Po drodze straciła głowę, ale i tak wygląda triumfująco. Pół-anioł, pół-człowiek, skrzydła szeroko rozpostarte. Mówię do Jazz:

– Pocałuję Eda. – A ona się uśmiecha.

Podjeżdża van, wysiadają z niego Leo i Dylan. Leo podchodzi do Jazz, również ma uśmiech na twarzy, i w tym uśmiechu widzę to, czego nie widziałam wcześniej. Ona naprawdę mu się podoba. Jazz groźnie wyciąga palec.

– Nie umawiam się z facetami, którzy zaliczyli odsiadkę.

Leo bierze do ręki jeden z jej warkoczyków i powoli obraca.

– Nie pójdę do więzienia – mówi. – Zamierzam dorosnąć.

Otwieram tylne drzwi vana, mój wizg pojawia się i zaraz znika.

– Pusto.

– Postanowiliśmy jednak nie włąmywać się do szkoły – wyjaśnia Leo, wciąż obracając warkoczek Jazz.

– Ale gdzie jest Ed?

Leo przestaje obracać warkoczek, spogląda na mnie. I nie musi nic mówić, wiem, że Ed poszedł do Beth.

– To dobrze. – Siadam na krawężniku. – To dobrze. – Kładę się na chodniku.

– To dobrze.

Jazz kładzie się obok mnie.

– Patrzę na gwiazdy – mówię.

– Czy próbujesz poczuć się bardzo mała, żeby twoje problemy wydały ci się nieistotne?

– Nie. Patrzę na gwiazdy, ponieważ nie zasłania ich smog. Niczego od nich nie chcę, tylko żeby było je widać.

– Masz załamanie nerwowe?

– Nie. Jestem przygnębiona. Ale przynajmniej poznałam prawdę na temat Shadowa.

– Przepraszam, że cię w to wplątałam – mówi Jazz. – Jestem beznadziejną koleżanką.

– Miałaś rację. Rzeczywistość jest lepsza. Prawda jest lepsza. Może człowiek czuje się przez nią trochę głupio, ale jest lepsza. – Wyciągam się na chodniku. –

Ściganie Shadowa to było wariactwo.

– Podoba mi się to, że jesteś dziwna. Jesteś jedyną osobą z grona moich znajomych, która nie wątpi, że kiedyś dostanę Oscara.

– I Złoty Glob – dodaję i wydmuchuję w powietrzu niewielką statuetkę.

– Wszystko z nią w porządku? – pyta Leo.

– Tak. Chodź, przyłącz się do nas. Patrzymy na gwiazdy. – Leżymy tak i słuchamy rozmowy Daisy i Dylana.

– Przepraszam, że rzucałem w ciebie jajkami w twoje urodziny.

– Zapisz sobie datę, żebyś nie zapomniał za rok.

– Dobra. A jaka była wczoraj data?

– Dziewiętnasty października – wołamy chórem.

– Czy to znaczy, że za rok nadal będziemy razem? – pyta Dylan.

– To znaczy, że możesz mieć taką nadzieję – odpowiada Daisy. – Ale nie możesz mnie więcej okłamywać.

– Skoro tak, to ty nie możesz nazywać mnie kretyńcem.

– Dobra.

Dylan wyciąga kartkę z kieszeni i czyta:

– Gdyby moje uczucie do ciebie było tłumem kibiców, ogłuchłabyś od ich ryku. Gdyby moje uczucie do ciebie było bokserem, poległabyś na ringu. Gdyby moje uczucie do ciebie było cukrem, miałabyś w każdym zębie dziurę. Gdyby moje uczucie do ciebie było hajsem, wydałabyś fortunę.

– To nie ty napisałeś, prawda? – pyta Daisy.

– Pomysł był mój. Leo wymyślił resztę.

– Może być – wyrokuje Daisy i chowa kartkę do kieszeni.

Po chwili wstaję i wyjmuję rower z vana. Jest trochę obtłuczony, ale da się na nim jeździć. Odwiązuję kask, wkładam. Powoli ruszam ulicą, chłodny wiatr muska moją skórę. Szklista ciemność niedługo zniknie, zacznie się nowy dzień. Ptaki wariują, w tej chwili świat należy do nich. I do mnie. Jeżdżę z jednej strony ulicy na drugą. Nie myślę o ostatniej nocy jako tej, kiedy przegrałam z Beth. Ani tej, kiedy o mało nie pocałowałam Shadowa. Traktuję ją jak przygodę. Początek czegoś prawdziwego.

POETA



5:30

To już

Mówi że mi wybaczy
Mówi że tylko ten jeden raz
Mówi dalej, pocałuj mnie
Mówi zrób to coś z moimi włosami
Mówi dokładnie tego szukałam
Mówi że cieszy się z ochłodzenia
Mówię zobaczymy się jutro
Wskazuje palcem w niebo
Mówi że to już



ED

Beth przestaje szeptać mi do ucha, ponieważ wyczuwa, że coś się zmieniło. Że przyszedłem przeprosić, że między nami naprawdę koniec.

Siadamy pod drzewem na trawie, poranek wydaje nowe dźwięki, które zdają się nie pasować. Gdybym namalował tę chwilę, stalibyśmy pośród bezgwiazdnej nocy, trzymając się za ręce, w jednakowych T-shirtach z napisem KONIEC.

– Lucy? – pyta Beth.

– Nie podobam jej się. Nie jesteśmy razem.

– Ale chcesz z nią być. Powiedziałeś jej, że Shadow to ty?

– Na koniec.

– Jedna noc i wszystko jej powiedziałeś. Szkoda, że na pierwszej randce nie zламаłam ci nosa.

Spierzyłem sprawę. Kazałem Beth czekać dwa lata, zanim poznała prawdę. Kochałem ją, spałem z nią i z nią zerwałem, nie podając przyczyn. Bert powiedział, że między moim tatą i mną nie występuje żadne podobieństwo rodzinne, ale ono istniało, aż do dzisiejszej nocy.

Pytam, czy mogę pożyczyć rower jej brata, pytam, czy wybierze się ze mną na przejażdżkę, ten ostatni raz. A ona nie każe mi spierdalać. Wchodzi do domu, by

zostawić wiadomość dla rodziców, spotykamy się przy frontowym wejściu, niedaleko drzwi do garażu.

Wyprowadzamy rowery na ulicę, Beth podaje mi kask brata, sama wkłada swój, różowy.

– Inna dziewczyna kazałaby mi to włożyć w ramach zemsty – mówię.

– Ale ja jestem bardzo fajną dziewczyną – odpowiada i rusza przodem.

Zajebiecie fajną, powiedziała by Bert. Wyprzedzam ją i kieruję się w stronę Hoover Street. Śmieję się na myśl, jaką miałby minę, mówiąc te słowa.

Zatrzymujemy się przy murze, który chcę jej pokazać. Ja z trawą wyrastającą z serca, ona z kosiarką. Odjeżdża, żeby popatrzeć z pewnej odległości, potem podjeżdża bliżej, tam, gdzie stoję.

– Myślałem, że ukradnie cię jakiś facet z twojej szkoły. Odszedłem, zanim to się stało.

– Kretyn – mówi, a ja wcale się nie obrażam. Byłem kretynem. – Przechodziłam obok tego graffiti tysiące razy. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to my. Ale zawsze myślałam sobie, że dziewczyna ma świetne włosy.

– Myślałaś coś jeszcze?

– Że jest wspaniałe – odpowiada, po czym stawia stopę na pedale i odjeżdża.

Jadę za nią, żeby na pewno trafiła bezpiecznie do domu. Nagle mówi, że wybiera się na studia.

– Chcę studiować literaturę. Tutaj i za granicą. Chcę wyjechać, poznać fascynujących ludzi i napisać książkę. – Bierze wdech i mówi dalej.

Kiedyś to namaluję. Ona i ja. Tak jak w tej chwili. Na naszych koszulkach nadal widnieje napis „koniec”. Ale teraz jedziemy poprzez słodko pomarańczowe niebo, każde w swoim kierunku, w stronę rzeczy, których każde z nas pragnie.

Beth daje mi dwa piwa i pożycza swój rower, bo chcę pojechać do portu i odnaleźć Berta.

Na miejscu otwieram oba piwa. Rozmawiamy o ostatniej nocy i o miejscach, do których mógłbym pojechać. Przybyło ci kolejne, mówi Bert. Wiem. Być może Lucy nie chce być ze mną, ale muszę tę sprawę zakończyć. Może spróbować. Do odważnych świat należy.

Po drodze wpadam do domu po farbę. Mama siedzi przy stole, wypisuje swoje smętne cyfry. Całuję ją w policzek.

– Jak tam Maria?

– Stek bzdur – odpowiada z uśmiechem. – Gdzie byłeś?

– Na mieście. Świętowaliśmy, Leo skończył dwunastą klasę. – Zabieram jej kawałek tosta. – Wiedziałaś, że chodzi na kurs poezji?

– Nie, ale wcale mnie to nie dziwi. Moi chłopcy są bardzo utalentowani. – Czochra mi włosy.

– A jak cyferki?

Spogląda do zeszytu, przesuwa długopisem wzdłuż kolumn.

– Damy radę opłacić czynsz. W tym miesiącu wilk już nam nie grozi.

Robię jej herbatę i siadam naprzeciwko.

– Jutro idę do McDonalda zapytać o pracę. Leo też się wybiera.

I pomyślałem, że może aplikuję na taki kurs, o którym ktoś mi powiedział.

Zamyka zeszyt z cyframi, przytula go do siebie, uśmiecha się.

– Ale tego nie zrobię, jeśli rzucisz szkołę. Będziemy solidarnie uczyć się i głodować.

Kiwa głową, upija herbaty.

– Zgoda.

Być może wilk wciąż krąży w pobliżu, ale nie zostanie z nami na zawsze.

Widzę w głowie graffiti, które przedstawia biegające psy, gonię je w uniformie z McDonalda. Przynajmniej nie jest to pomarańczowy uniform więźnia.

LUCY



- Mama i tata siedzą na leżakach przed składzikiem. Piją kawę i rozmawiają.
- Jest szósta rano. Czekacie na mnie? – pytam, wjeżdżając przez bramę.
 - Cieszymy się ochłodzeniem – odpowiada mama. – I świętujemy kilka wspólnych sukcesów. Na przykład to, że udało nam się wychować córkę, która właśnie ukończyła dwunastą klasę.
 - Gratulacje, Lucy Dervish – dodaje tata.
 - Jeszcze czeka mnie rozmowa kwalifikacyjna z organizatorem kursu.
 - Na pewno dobrze ci pójdzie – mówi mama z uśmiechem. – Wczoraj wieczorem byliśmy u Ala. Zadzwoił spytać, czy nie chcielibyśmy zobaczyć twojego portfolio.
 - I co sądzicie? – Siadam między nimi na ziemi.
 - To była najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Moja córka jest artystką.
 - Włożyłaś mnie do butelki. Jak tego dokonałaś? – pyta tata.
 - Jesteś składany. Jak już byłeś w środku, rozłożyłam cię za pomocą doczepionego sznurka i przykleiłam na kit.
 - Zadałaś sobie sporo trudu.
 - Jesteś dla mnie ważny, tato. A co jeszcze świętujecie?

– Skończyłam pisać powieść. A twój tata wkrótce upora się z przygotowywaniem nowego występu. Niczego nie zdradzę, ale pokazał mi go wieczorem i bardzo mi się podobał. Jest smutny i niezwykle zabawny.

– Humor bez dodatku smutku to tylko rzut tortem w twarz – mówi tata.

– Za nas – mówi mama, unosząc filiżankę z kawą.

– Zapomnieliście o jednej rzeczy. Zapomnieliście dodać, że się rozwodzicie.

Nic nie szkodzi – dodaję, kiedy mama kręci głową. – Mam prawie osiemnaście lat. Dam sobie z tym radę.

– Nie rozwodzimy się, Lucy. Mówiłam ci milion razy. Kocham twojego ojca, a on kocha mnie.

– Mieszka w składziku.

– Może przy pisaniu kolejnej książki to ja przeniosę się do składziku. A tata zostanie w domu. A może wyjadę, na miesiąc czy dwa. Jesteś już w takim wieku, że chyba bym mogła. Mogłabym?

– No, tak. – Nie mogę dłużej powstrzymać słów cisnących się na usta. – Jesteście dziwni. Cała ta sytuacja jest dziwna. Jesteście małżeństwem. Powinniście być nierozłączni.

Mama się śmieje.

– Wychowaliśmy bardzo konserwatywną córkę. Za dużo *Dumy i uprzedzenia*.

– To może się zmienić – stwierdza tata. – Jeszcze nie jest za późno, nawrócimy ją na Margaret Atwood.

– Bardzo śmieszne. Przezabawne. Wkraczam do świata dorosłych związków międzyludzkich. Potrzebuję porządnej rady.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że powinnaś wybierać te związki, które są dla ciebie dobre. Ja muszę pisać. Twój tata też. – Mama wzrusza ramionami. – Wiesz, jak się kłócimy, kiedy brakuje nam na to czasu. Ale cię kochamy. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem. – Wielu innych rzeczy nie wiem i nie rozumiem, ale to tak. – Ale i tak uważam, że to dziwne.

– Za rodzinę Dervishów – mówi mama, znów unosząc filiżankę. – Wspaniałą i tylko trochę dziwną.

To jest chyba tak jak ze sztuką. Widziałam w mamie i tacie bardziej siebie niż ich. Patrzą, jak ze sobą rozmawiają, jak się śmieją. Kto powiedział, że romantyczna miłość umarła? Nieprawda. Po prostu mieszka w składziku.

– A może włączysz kuchenkę turystyczną i usmażysz mi naleśniki?

– Magia – mówi mama.

Zdejmuję bransoletkę i oddaję tacie.

– Na szczęście przy nowym występie. Chociaż po dzisiejszej nocy mam poważne wątpliwości co do jej działania.

Tata zabiera się za gotowanie. Nagle rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości. To Al. *Shadow tu jest*. Widzę w myślach Eda malującego na murze, mam nadzieję, że to graffiti będzie inne od tych porzucanych po całym mieście. Ale wiem, że nawet jeśli częściowo się różni, ponieważ wrócił do Beth, to jeden fragment należy do mnie. Fragment, na którym mówię mu, że ma znaczenie fakt, że nie potrafi czytać, że jest splukany, że nie ma pracy. A ja nie chcę, by malował mnie w ten sposób.

Wkładam kask i łapię rower.

– Zaraz wracam.

– Gdzie się pali, Lucy Dervish? – pyta tata.

We mnie. Pod skórą. Ognia jest chyba tyle, że trochę mogę oddać Edowi. Wyruszasz w drogę pod ciemnym niebem, które powoli blednie, różowieje. Jestem mu winna parę słów. *Dla ciebie*. To ma znaczenie dla ciebie.

Jadę Rose Driver, gdzie pracują śmieciarki, zagłuszając woń jaśminu. Splątane ogrody obejmują pijane domy ciągnące się wzdłuż ulicy. Proszę, muszę zdążyć. Muszę zobaczyć się z Edem, zanim noc oficjalnie się skończy, zanim Ed namaluje ten fragment, mnie mówiącą, że jest kimś gorszym, niż jest naprawdę.

Plamki świateł fabrycznych gwiazd powoli gasną. W tle wznosi się miasto, szare budynki mierzą w niebo. Lubię to miejsce zarówno w świetle, jak i w ciemności. Lubię stopy skrzyń w porcie i stare budynki. Lubię ulicę Ala, te wszystkie zakłady ściśnięte na niewielkiej przestrzeni. Lubię, jak wśród nich niespodziewanie pojawiają się jego pracownia i ściany pomalowane przez Shadova. Na szczycie wzniesienia odrywam dłonie od kierownicy.



ED

Szybko maluję sprayem niebo. Oczy, z przodu i z tyłu. Maluję żagle, a rzeczy tkwiące w mojej głowie przepływają z puszek na mur. Popatrz, Lucy. Zobacz mnie i siebie, trafiliśmy na tę ścianę, tak ogromni, że na pewno nas nie przegapisz, nawet jeśli zjawisz się tutaj, kiedy mnie już nie będzie.

Szef Lucy siedzi na schodkach przed pracownią, obserwuje mnie i pisze coś na telefonie. Od czasu do czasu odwracam się, by sprawdzić, czy Lucy już przyszła, a on wciąż tam siedzi.

Kończę, cofam się, by spojrzeć na nową ścianę. Wiem, że to mój najlepszy utwór. Słyszę siorbnięcie. Mężczyzna podaje mi kawę.

– Podobają mi się twoje prace. Shadow, prawda?

– Zgadza się. A właściwie Ed.

– Al. – Wyciąga rękę, a ja nią potrząsam. – Różni się od pozostałych – stwierdza, wskazując na nowe graffiti. – Dobrze.

– Wypróbuję nowy styl – odpowiadam. – A mnie podoba się twoje szkło. Te kwiaty na suficie. Myślałem, że to trąbki, ale Lucy mnie poprawiła. Wysłałeś jej wiadomość, prawda?

Ma zaskoczoną minę, ale tylko przez sekundę.

– Nawet kilka. – Znowu pisze. – Spodziewam się, że zaraz wyłoni się z za tego wzgórza. Wcześniej dzisiaj pracujesz.

– Nie kładłem się spać. To raczej późno niż wcześniej.

– Ja zawsze zaczynam o tej porze. Wschód słońca to idealna pora na dmuchanie szkła. Wtedy są najlepsze kolory.

Podchodzi do schodów, a ja idę za nim, siadamy, czekając na Lucy. Rozmawiamy o mojej twórczości, kiedy zacząłem i jakie mam plany.

– Rzuciłem szkołę w dziesiątej klasie – mówię. – Ale Lucy wspominała mi o takim kursie, może się zapiszę.

– W Monash. Dobry pomysł. – Opowiada mi o kursie, a im dłużej mówi, tym mocniej się przekonuję, że chciałbym to zrobić. Przypomina mi Berta.

– Ale jest pewien problem – mówię. – Nie za dobrze potrafię czytać, nie wiem, jak będzie z esejami.

– Może powinieneś mieć asystenta, który będzie za ciebie pisał. Próbowaleś kiedyś?

– Zanim rzuciłem szkołę, Leo za mnie pisał. I nie mam portfolio.

Al spogląda na mur.

– Może jednak masz. Lucy robi niezłe zdjęcia. Moglibyście pożyczyć mój aparat, zrobić kilka fotek twoich graffiti.

– Można zrobić z tego portfolio?

– Nie jestem pewien. Ale znam taką jedną kobietę, Karen Josepha. Spytam ją.

– Pani J.

– Zgadza się, pani J. Była nauczycielką Lucy.

– Znam ją. Jest bardzo fajna.

– Bardzo.

Patrzemy na wzgórze, czekając na Lucy, której jednak najwyraźniej się nie spieszy.

– Lubię Vermeera. A ty? – pytam po chwili.

– Lubię. Byłeś na wystawie?

– Tak, z przyjacielem. Moim szefem ze sklepu z farbami. Po jego śmierci straciłem pracę.

– Szukam kogoś do sprzątnięcia. Masz referencje?

– Aha. Mam.

I proponuje mi pracę, ot tak, po prostu. Wchodzimy do pracowni, oprowadza mnie. Daje mu numer Valerie.

– Możesz poprosić też panią J. Na pewno cię zarekomenduje.

– Nie wątpię.

Chodzę dokoła, patrzę na szklane przedmioty.

– *Flota wspomnień* – mówię, biorąc do ręki jedną z butelek Lucy. Są

niesamowite. Jakbym widział wewnątrz jej umysłu. W jednej z butelek tkwi miniaturowy mur autorstwa Shadowa. Błękitne niebo na ceglach. – Odcień błękitu jest dokładnie taki jak trzeba.

Zostawiam wiadomość dla Lucy i wychodzę. Jestem już na końcu ulicy i wtedy się pojawia, jej kask z błyskawicą na boku pędzi w moją stronę. Zatrzymuję się i czekam.

– Cześć – rzuca.

– Cześć – odpowiadam. – Poznałem twojego szefa. Zaproponował mi pracę przy sprzątanii. – Chcę, by wiedziała, że nie jestem facetem, którym byłem ostatniej nocy. Nie wiem, kim jestem, ale na pewno nie nim.

– To świetnie – mówi i zdejmuję kask.

– Nie wyglądasz na bardzo szczęśliwą. Wyglądasz tak. – Naśladuję jej minę.

– Poważnie? Chciałam wyglądać na szczęśliwą z twojego powodu – odpowiada. – Na pewno tak wyglądam?

– Aha.

– Może byłoby łatwiej, gdybyś zasłonił mi twarz.

– Wciąż jesteś romantyczką, jak widzę.

Sama zakrywa sobie twarz.

– Zanim wyszedłeś z kasyna, chciałam powiedzieć, że to wszystko, o czym mówiłeś, ma znaczenie, ale dla ciebie. To, że rzuciłeś szkołę, że nie masz pracy i nie umiesz czytać, ma znaczenie dla ciebie, nie dla mnie.

Coś pojawia się w moim wnętrzu. Niewiele tego, ale więcej niż do tej pory.

– Nie włamałem się do szkoły.

– Wiem. Pojechałam cię uratować.

Patrzę na plamkę na jej szyi.

– Myślisz, że do końca życia będę musiała uciekać przed Malcolmem?

– Brat Leo się tym zajął. Ale trzymałbym się z dala od ciemnych parków.

– Nie powinieneś być mnie okłamywać – mówi. – Jest mi teraz strasznie głupio z powodu tego, co mówiłam na temat Shadowa. Powinieneś być powiedzieć mi prawdę. Akurat to ma znaczenie.

– Wiem. – Jestem jej coś winien za to, co zrobiłem. Myślę o tym obrazie Vermeera z wagą. Na końcu zawsze trzeba coś zważyć. Nawet jeśli nie ma tego dużo. – Podobasz mi się. Nie chciałem, żebyś wzięła mnie za kretyna, dlatego kłamałem. Próbowałem ci powiedzieć, kiedy zatrzymaliśmy się na autostradzie.

Milczy całą wieczność.

– Teraz jest odpowiedni moment, żeby mi powiedzieć, że nie jestem kretynem.

– Czemu wróciłeś do Beth, skoro ci się podobam?

– Nie wróciłem do Beth.

– Poważnie?

– Dobra, zabierz ręce z twarzy, to strasznie dziwne.

Odsłania twarz, uśmiecha się, a ja myślę o obrazach, o kolejnych murach. Zielone labirynty, dwoje ludzi błądzących pośród nich. Drzwi, za którymi kryje się coś dobrego. Nieba w dokładnie takim odcieniu błękitu, jakiego szukałem.

LUCY



Z zamkniętymi oczami słucham, co mówi Ed. W jego głosie pojawiło się coś nowego. Może prawda. Podobam mu się. Nie wrócił do Beth.

– Poważnie?

– Dobra, zabierz ręce z twarzy, to strasznie dziwne.

Odsłaniam twarz, uśmiechamy się do siebie. Ed nie wrócił do Beth. Moi rodzice się kochają, ale nie chcą mieszkać razem przez cały czas. Dylan i Daisy się kłócą, ale zostaną razem, w każdym razie co najmniej do jej następnych urodzin. Leo jest poetą i podoba mu się Jazz. Tak wygląda podsumowanie.

Nie wiem nic na temat miłości. Wiem tylko, że chcę pocałować Eda. Chcę, by był szczęśliwy. Jest w każdym razie szczęśliwszy niż wcześniej, widzę to teraz, kiedy już nie zakrywam twarzy.

– Poszedłem się z nią spotkać – mówi. – Okazało się, że poszedłem się pożegnać. – Znow się uśmiecha. Ja też. – Masz niesamowity uśmiech.

– Mój tata mieszka w składziku, ale rodzice się nie rozwodzą.

– Fajnie.

– Chciałam ci powiedzieć. W ramach szczerości.

– Jasne. – Ed przysuwa się bliżej, a ja okropnie się denerwuję.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Nie przestawaj.

Jego wargi dotykają znamienia na szyi, a potem przesuwiają się i docierają do ust, krew zmienia się w rozgrzane szkło, karmelowe i połyskliwe, porusza się w rytmie jego oddechu.

– Więcej mnie nie okłamiesz – mówię, a on potwierdza, że taki właśnie jest plan. – Rzuciłeś szkołę, bo nie umiesz czytać – dodaję, a on, że tak, poza tym jedna dziewczyna złamała mu nos. Mówię: – Twoje graffiti to moja ulubiona rzecz w tym mieście.

A on:

– Zrobiłem jedno specjalnie dla ciebie. Może moje ostatnie na jakiś czas.

– Dlaczego?

– Zastanawiam się nad tym kursem, o którym wspominałaś. Chciałbym pracować na papierze.

– Myślałam, że chodzi o zastrzyk adrenaliny?

– To Leo. I jak, chcesz zobaczyć?

Prowadzimy rowery w dół wzgórza, w kierunku pracowni Ala.

– Wow.

– Dzięki.

Na murze widnieje słońce. Kula płonącego szkła, która przejmuje władanie po odchodzącej nocy. Nie podpisał tego graffiti. Ale wiem, kim jest. Wiem, kim ja jestem. Jeszcze nie wiem, kim jesteśmy razem. Ed wyjmuję sprej i domalowuje małego żółtego ptaka. Nie przypomina tamtego, który leży brzuszkiem do góry.

Ten nie śpi.

PODZIĘKOWANIA

Wielkie dzięki, Allison Wortche. Dzięki Twojej redakcji, pełnej uwagi i oka do szczegółów, moja książka bardzo zyskała. Dziękuję, Sue Cohan, za staranne przygotowanie tekstu do druku. Dziękuję, Catherine Drayton, za to, że jesteś fantastyczną agentką, i że zobaczyłaś w tej książce to, co zobaczyłaś. Dziękuję wszystkim z wydawnictwa InkWell, zwłaszcza Lyndsey Blessing. Dziękuję też wydawcom w Australii, Claire Craig, Brianne Collins i Simone Ford za niezwykle staranną pracę. Za rozmowy o sztuce podziękowania niech przyjmą: Elizabeth Abbott, Marcus Jobling, Duro Jovicic, Kirsten Matthews, i Karen Murphy. Dziękuję, Bethany Wheeler, za to, że hojnie podzieliłaś się swym czasem i wiedzą na temat szkła. Wszelkie ewentualne błędy są wyłącznie moją winą. Wszelkie zasługi są Twoje. Szczególne podziękowania należą się młodym ludziom, którzy podzielili się ze mną swymi historiami. Wielkie dzięki moim siostrzeńcom i siostrzenicom, za to, że pozwalali zadawać wszelkie możliwe pytania i nie kazali mi spadać. Poza tym dziękuję: Alison Arnold, za wątek o samochodzie, Dianie Francavilla, za niesamowitą wiedzę na temat literatury i filmów młodzieżowych, nieocenionej Emmie Schwartz, za porady pisarskie, Ange Maiden, za śmiech. I wreszcie pragnę podziękować moim braciom; Cate, Celli, Rasowi, i oczywiście mamie i tacie.

